

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/109

1956



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Fr. FEITÖ : **“ NIEZALEŻNA REPUBLIKA ”
WĘGIERSKICH PISARZY**

Zd. BRONCEL : **PERSPEKTYWY DIALOGU**

W. WEINTRAUB : **O ZAPRZEPASZCZANY
DOROBK KULTURALNY**

M. DE GHELDERODE : **HOP SIGNOR !**

SPIS RZECZY

François Feitö :	„Niezależna Republika” węgierskich pisarzy	3
Zdzisław Broncel :	Perspektywy dialogu	15
Paweł Hostowiec :	Notatnik nieśpiesznego przechodnia ..	29
Czesław Miłosz :	Próba porozumienia	38
Marian Pankowski :	Michel de Ghelderode	51
Michel de Ghelderode :	Hop Signor!	61

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	Kwestia rosyjska	95
Londyńczyk :	Kronika angielska	100
Berlińczyk :	List z Berlina: „Polski tydzień w polityce niemieckiej”	106

K R A J

Wiktor Weintraub :	O zaprzepaszczany dorobek kultural- ny	111
Stanisław Westfal :	Zmiany w polszczyźnie krajowej (dokończenie)	117

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Mieczysław B. Lepecki :	O Janie Hemplu, mistrzu Bolesława Bieruta	126
-------------------------	--	-----

KRONIKA KULTURALNA

Bolesław Taborski :	Perspektywy, czy ich brak?	133
---------------------	----------------------------------	-----

KSIAŻKI

Michał Sokolnicki :	Na progu wojny	141
—	Nadesłane nowości wydawnicze	151



T. Felsztyn, St. Westfal, J. Horzelski, Kl. Hrabek, A.J. Brawner, A. Vincenz, J. Rud- nycki, T. Terlecki, M. Pan- kowski :	Listy do Redakcji	153
--	-------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad-Novembre 1956

INSTYTUT



LITERACKI

W OSTATNIEJ CHWILI

Sensacyjne wydarzenia w kraju nastąpiły w chwili gdy bieżący numer „Kultury” był już na maszynach. Omówimy je więc dopiero w numerze grudniowym. Będziemy zresztą mieli wtedy więcej elementów dla ocen i wniosków. Chcemy tymczasem podkreślić ich historyczną doniosłość nie tylko dla Polski ale dla całej wschodniej Europy.

Powstająca nowa sytuacja w kraju stawia przed nami — emigracją — nowe zadania i nowe obowiązki.

NA NAGROBEK DLA JANA OLECHOWSKIEGO

Aleksander Kwiatkowski, Washington „jako skromny wyraz uczuć dla wielkiego poety i b. kolegi-karpaczyka”	1.750 fr.
Halszka Poniatowska i Kazimierz Vincenz, Zuerich-Solothurn (Szwajcaria)	500 ”
K. Sowiński, Monachium (Niemcy)	3.500 ”
Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn	2.000 ”



DALSZE WPLĄTY NA DOM „KULTURY”

Bolesław Taborski, Richmond, Surrey (Anglia)	3.000 fr.
F. Turynowa, Urbana, Ill. (USA), ponownie	1.750 ”
Irena Witwicka, Montreal (Kanada)	3.800 ”
Eugene Perkowski, Bridgeport, Conn. (USA)	400 ”
B.A. Kaczorowski, Yukon Territory (Kanada)	1.100 ”
Dr. J. Pawlikowski, Montreal (Kanada)	1.100 ”
J. Soltysiński, Rezende, Estado de Rio (Brazylia)	3.100 ”

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

“Niezależna Republika” węgierskich pisarzy

Więcej się mówi, ostatnio, o „węgierskich pisarzach”, o ich oświadczeniach, artykułach, proklamacjach, niż o samej literaturze węgierskiej, która jest mało znana zagranicą. Prawdziwa przyczyna tej nieobecności Węgier na światowym rynku literackim jest prosta: Węgrzy, podobnie jak Polacy, przodują w piśmiennictwie najtrudniej przetłumaczalnym — w poezji. Temperament węgierski jest liryczny, muzyczny, teatralny, bynajmniej nie obiektywny. Wydał Liszta, Bartoka, wizjonerskich malarzy (jak zadziwiający Csontovary), wulkanicznych poetów jak Petöfi, Ady czy Attila Jozsef. Ale słowo tych poetów nie rozbrzmiało w świecie żadnym echem. Jeden z nich, Desider Kosztolonyi mawiał smutnie „każde dziecko węgierskie jest dzieckiem niemym”.

Podobnie, to co stanowi o wartości węgierskich powieściopisarzy, to rzadko konstrukcja, czy ściebia psychologiczna: będzie to raczej ton, słowna muzyka, impresjonistyczna gra barw u Juliusza Krudy, biblijna i barokowa wybuchowość Milana Fusta (jego wspaniała „Opowieść o mojej żonie” ukaże się wreszcie niebawem w tłumaczeniu francuskim), męski, jeśli nie wprost brutalny folklor Zygmunta Moricza itd. W tłumaczeniu, dzieła te przestają być do siebie podobne. Zaledwie się je rozpoznaje. Jest w nich wszystko — prócz oddechu. I nie jest to wina tłumaczy: wielu z nich dokonało cudów. To same utwory rozpadają się w ręku tłumacza. Ta słabość pochodzi w znacznej mierze z niestałości i niedokładności samego języka węgierskiego. Właściwie nie istnieje węgierska proza literacka. Każdy pisarz, który chce pisać prozą musi ją odtwarzać na własny rachunek i zwykle ogrom tego zadania już go wyczerpuje. Ten chaos gwar ludowych, mniej lub więcej bękarckich wyrażań, najróżniejszych dialektów, jakim jest język węgierski, wymaga twórcy, „poety”, założyciela nowego języka: stąd mamy geniuszy, ale nie mamy tradycji.

Otóż wydaje mi się (i mam nadzieję że moja interpretacja nie będzie uznana za zbyt marksistowską), że to niewykończenie węgierskiej prozy, jej charakter „surowcowy” odzwierciedla samą strukturę społeczeństwa w którym — z przyczyn nad którymi nie możemy się tu zatrzymać — klasa średnia zasadniczo „prozaiczna”, organizacyjna, jeśli nie wytwórcza, nie miała czasu uformować się i nadać społeczeństwu swój styl. Stąd mamy wulgarność (usianą tu i ówdzie skarbami folkloru, z których można obficie czerpać) i poetycką arystokrację, a pośrodku pustkę, którą społeczne przewroty ostatnich dwudziestu lat jeszcze uwydatniły.

Nieobecność kulturalnej klasy średniej — może tworzy się ona obecnie — wraz z jej normalnymi zdobyczami w dziedzinie politycznych obyczajów, demokracji itd. — tłumaczy również inne oblicze węgierskiej literatury: jej charakter polityczny. Wszędzie tam gdzie polityczny instynkt narodu jest hamowany przez sztywną organizację ucisku, dążenia narodowe wyrażają się — z braku parlamentarzystów, mężów stanu, publicystów — ustami filozofów (Niemcy XIX wieku), lub poetów (Polska czy Węgry XIX i nawet XX wieku). Iskrę rewolucji 1948 roku wykrzesał poeta — Petöfi, który wydrukował, wbrew cenzurze, poemat-pobudkę, wzywający Węgrów do buntu. Znaczna część wierszy Ady'ego czy Attili — to wezwanie do czynu, artykuły wstępne, wiecowe przemówienia, ubrane w poetycką formę. I to w świetną poetycką formę. Stąd nic dziwnego że „destalinizacja” wydała już na Węgrzech obfity plon poetycki, w którym wiersze śpiewają i krzyczą, to czego proza nie ośmieliłaby się zaszeptać. Tak jak w rapsodii Liszta, tkwi w nich cała suma ludzkich dążeń i namiętności. Jesteśmy świadkami rewolucji... słownej. Potoki łez i krwi płyną... wierszami. Surowe Słowa, niczym trybunały rewolucyjne skazują tyranów. Cały naród świadczy o swym dążeniu do życia w godności łącząc się z poetami by zgotować wspaniałą pogrzeb (widowisko patetyczne i majestatyczne zarazem, podobne do tego które sprawiła sobie Francja Ludwika Filipa oddając hołd prochom Napoleona) — ideowemu i gorącemu komunizmowi, niewinnie skazanemu synowi ludu. W męczeństwie Rajka, zmuszonego do zbyszczeszczenia się aby ratować honor Partii (którego nie uratował), zwolennicy i przeciwnicy odnajdują się we łzach. Jest w obecnej literaturze węgierskiej — a zwłaszcza w jej poetyckim kwiecie — dziwna mieszanina krzyków rozpaczki, szlochów, samooskarżeń i nadziei, która mnie głęboko wzrusza. Chciałbym przynieść jej echo Polakom zasłuchanym w swój własny bunt.

WYZWOLENIE PISARZY — ZNAK ROZKŁADU TOTALIZMU

Siedemnastego września 1956 pisarze węgierscy — około dwustu powieściopisarzy, poetów i krytyków — zbrali się na zjeździe którego celem było określenie nowego programu ich

związku i wybór nowego zarządu. Zjazd odbył się w atmosferze patetycznego oporu, którego echa doszły nawet na zachód. Istotnie, pomijając całkowicie zalecenia, sformułowane zresztą, z dużym taktem i szacunkiem przez przedstawiciela Partii Juliusza Kallaja — dawnego „titowca” zrehabilitowanego ostatnio i mianowanego dyrektorem departamentu spraw kulturalnych w Komitecie centralnym — pisarze zażądali niemal jednogłośnie całkowitej *autonomii* ich związku wobec rządu i partii. I, wprowadzając tę autonomię natychmiast w życie, wybrali nowy zarząd, wykluczając z niego wszystkich bez wyjątku stalinowców i rakoszystów; wszystkich tych, którzy w okresie terroru (1949-1952) wykazali się szpiclowskim powołaniem w denuncjacjach swoich mniej (lub wcale nie) ortodoksyjnych kolegów. Wykluczono więc Aladara Tamasa, narzuconego przez partię, nigdy nie wybranego sekretarza generalnego związku pisarzy, który zachowywał się jak stalinowski kacyk, pertraktując z pisarzami za pośrednictwem swego sekretarza i nie racząc ich nawet dopuszczać przed swoje oblicze; Aleksandra Gergely, który przez lata wyładowywał wszystkie swoje kompleksy pisarskiej miernoty, atakując każdego pisarza podejrzanego o oryginalność lub o uczciwość intelektualną; Józefa Darwę, powieściopisarza — ministra propagandy, odpowiedzialnego za cenzurę — i innych. Wykluczono nawet z zarządu Belę Illesa, sowieckiego pułkownika, postać oryginalną i nie pozbawioną talentu, który, spośród dawnych emigrantów moskiewskich związanych z tyranem Rakosim, okazał stosunkowo najwięcej tolerancji. Wzamięn za to weszli masowo do zarządu, obok niezależnych i odważnych komunistów (Laszlo Benjamin, Tibor Dery, Juliusz Hay, Lajos Konya), anarchiści, socjaliści i niezależni lewicowcy (Paweł Ignotus, najlepszy węgierski krytyk i esseista; wielki poeta i powieściopisarz proletariacki Ludwik Kassak; E. Kolozsvari-Grandpierre, potomek hugenotów, który obserwuje zawiłą rzeczywistość węgierską z uśmiechem sceptycyzmu); narodowi ludowcy, których rasistowska ideologia, zabarwiona marksizmem i obracająca się wokół kultu chłopu przypomina rosyjskich Es-Erów z końca ubiegłego wieku; Luliusz Illyes, który, mimo politycznych zawieruch, buduje dzieło poetyckie ważne i różnorodne; nierówny autodydakta Peter Veres, pisarz w długich butach, przekornie flirtujący z intelektualistami — i nawet Lorinc Szabo, najgenialniejszy bodaj poeta współczesnych Węgier, którego kołtuński antysemityzm i dekadenski podziw dla brutalnej siły zawiodły w roku 1938 na stronę nazistów — i nawet Laszlo Nemeth, węgierski Drieu La Rochelle, płodny i niechlujny, nacjonalista, kosmopolita, spenglerianin, a zarazem niewiklwy kronikarz węgierskiej klasy średniej z której pochodzi.

Dając tak długą listę nieznanym czytelnikowi polskiemu nazwisk chciałem wykazać różnorodność nowego dyrektoriatu węgierskich pisarzy, w którym wszystkie intelektualne i duchowe rodziny mają dziś swych przedstawicieli, prócz jednej — stalinowskich inkwizytorów. Jest to rodzaj rządu koalicyjnego, opar-

tego o „defensywne przymierze” o którym mówił na zjeździe Juliusz Hay i które zostało zawarte „między pisarzami węgierskimi, bez względu na ich różnice polityczne czy filozoficzne, w celu zapewnienia sobie wzajemnie wolności słowa, prawa do mówienia prawdy”. Chodzi tu — ciągnął Hay — o „świętą unię”, zapewniającą „równość praw wszystkim kierunkom literackim” i „zrodzoną z przekonania że w walce o prawdę, wszyscy pisarze są solidarni. Doświadczenie wykazało nam że żaden z tych kierunków nie mógłby walczyć o swoje prawa bez solidarnej pomocy innych”.

Ale przymierze zwrócone jest zawsze *przeciw* komuś. Przymierze węgierskich pisarzy zwrócone jest oczywiście przeciw Partii, lub, dokładniej — monopolowi ideologicznemu i kulturalnemu, sprawowanemu przez sekretariat komitetu centralnego. Już przed samym zjazdem, pisarze węgierscy, z najstarszymi bojownikami komunistycznymi na czele (trzeba ten element podkreślić: to komuniści byli w tym wypadku inspiratorami) odrzucili autorytet partii nie tylko w dziedzinie literackiej, ale także w dziedzinie organizacyjnej. W praktyce usunęli cenzurę i prze-forsowali tezę według której literatura jest sprawą zbyt poważną na to by ją powierzać biurokratom.

Fakt paradoksalny, i nie oparty co prawda na dłuższym doświadczeniu: związek pisarzy węgierskich stanowi obecnie państwo w państwie, którego działalność, nie tylko literacka, ale również ideologiczna i polityczna wymyka się spod kontroli partii. Pisarze — których publiczność stale rośnie („Gazeta Literacka” jest najpoczytniejszym dziennikiem w kraju, a „Ludas Matyi”, węgierskie „Szpilki” — również w forpoczcie destalinizacji, ukazuje się w 410.000 egzemplarzy — cyfra imponująca dla kraju o 10 milionach mieszkańców) stali się ową „drugą partią”, do której komuniści nie chcą dopuścić. Mimo że przewódcy komunistyczni tego ruchu uważają się szczerze za „autentycznych” komunistów, za „leninowskie” skrzydło partii — sam Związek jest w istocie czymś w rodzaju frontu narodowego w miniaturze, odzwierciedlającym o wiele wierniej „kraj rzeczywisty” — te nowe Węgry robotnicze, inteligentkie i chłopskie bez kapitalistów, bez wielkich właścicieli ziemskich, w których jednak ton nadaje właśnie inteligencja — niż jakiegokolwiek fikcyjne masowe organizacje powoływane do życia przez Partię (Obrońcy Pokoju, Patriotyczny Front Ludowy itd.). Po upadku stalinizmu powstała na Węgrzech polityczna pustka, komunistyczne kadry nie potrafiły nawiązać kontaktu z ludnością która je ignoruje, ale skądinąd ludność sama nie ma innych możliwości wyrażenia swych aspiracji — niż te które proponuje im partia. W tych warunkach pisarze samorzutnie stali się wyrazem narodu, korzystając z tej wolności krytyki którą im przyznano w imię doktryny XX Kongresu P.K. Z.S.S.R.

Pisarze węgierscy mówią teraz z rządami Węgier jak równi z równymi. „Szabad Nep”, organ Centralnego Komitetu robi im wymówki? Odrzuca je z pogardą, ufni w poparcie całego

narodu. A zarząd Partii jest jakby zahipnotyzowany tą nieoczekiwaną opozycją. Tym bardziej że pisarze mają w dziennikarzach zaufanych sprzymierzeńców, których większość (w łonie samej redakcji „Szabad Nep”) podziela ich poglądy i *odmarwia atakowania ich*.

Jest to nowy fakt społeczny, sam w sobie zasługujący na analizę. Można by analizować to wytworzenie się „Państwa” w państwie jako fenomen rozkładu (czy kryzysu młodzieńczego) systemu totalnego. Zapewne, tendencją do „autonomii” artystycznej czy intelektualnej zawsze istniała w świecie komunistycznym. Ale na Węgrzech po raz pierwszy tendencja ta ugruntowała się w formie zorganizowanej, mając do dyspozycji potężne środki propagandy (prasę, radio, klub Petöfi). Być może — unikajmy przesadnego optymizmu — że ten kryzys totalizmu zostanie przezwyciężony i że za kilka miesięcy czy lat wszystko powróci do normy: zarysowuje się obecnie w krajach Europy Wschodniej komunistyczny wariant „oświeconego absolutyzmu”, z którym zbuntowane sumienia mogłyby od biedy (i pod naciskiem siły) pójść na ugodę. Ale nie mogą się powstrzymać od nadziei, że nawet w takim wypadku przykład pisarzy węgierskich i polskich zachowa wartość historyczną, jako zapowiedź nieuniknionej ewolucji, jako etap w poszukiwaniu form organizacji społecznej bardziej odpowiednich od stalinowskiego więzienia czy od jego bardziej oświeconych wariantów dla tych nowych społeczeństw Europy wschodniej, chaotycznych, rozproszonych, które wynikły ze zniszczenia feudalizmu i kapitalizmu i które obecnie gorączkowo szukają jakiejś formy świadomości. Partia komunistyczna mogłaby tu odegrać mimowoli rolę akuszerza jakiegoś nowego typu społeczeństwa korporatywnego i federatywnego w którym wielkie zawody zorganizowane by były w ciała zbiorowe — państwa które by mogło wreszcie zawrzeć z ludnością nowy „kontrakt społeczny” i które by było bodaj podobniejsze do utopii Proudhon’a, niż do przewidywań (zresztą celowo nieokreślonych) naukowego marksizmu.

HISTORIA BUNTU PISARZY

Bunt pisarzy węgierskich zaczyna się właściwie w czerwcu 1953, kiedy, pod przewodnictwem Imre Nagy partia komunistyczna węgierska wkroczyła — ze zbytnim pośpiechem — na drogę „destalinizacji”. 4 lipca 1953 Imre Nagy przedstawił przed parlamentem bilans polityczny i gospodarczy pięciu lat terroru ze spokojną i zacięłą precyzją. Oświadczał — to co wszyscy wiedzieli, ale czego nikt się dotąd nie ośmielił powiedzieć głośno — że partia jest całkowicie odcięta od ludności, skompromitowana nawet w oczach klasy robotniczej, nie mówiąc już o chłopach i inteligencji, że jedyna polityka, dzięki której można by uniknąć powstań robotniczych (jak w Berlinie) — to polityka reform, koniec terroru policyjnego, rehabilitacja niewinnych, podniesienie poziomu życia poprzez ograniczenie inwestycji przemysłowych,

koniec propagandy pomyślanej jako ciągłość łgarstw i systematyczne fałszowanie rzeczywistości.

Na nikim to samooskarżenie partii nie zrobiło większego wrażenia jak na pisarzach komunistycznych czy komunizujących. W latach 1949-1952 pisarze ci przeszli przez specjalną tresurę narzuconą im przez władze intelektualne partii, mającą na celu wprowadzenie norm „żdanowizmu” — w istocie swej niemożliwych do zrealizowania — do twórczości artystycznej. Większość z nich przeszła przez zachodnią formację marksistowską: komuniści z przekonania, ich temperament artystyczny był osobisty, anarchizujący, ich umysłowość analityczna i krytyczna. Żądano od nich rzeczy niemożliwych chcąc przekształcić ich w Aragonów i Fedinów, chcąc im narzucić technikę polegającą na przedstawianiu najordynarniejszych łgarstw jako najniewinniejszych prawd, na uznaniu najpotworniejszych absurdów za normalny bieg rzeczy, na oskarżaniu o zbrodnie ludzi o których wiedzieli że są niewinni i na obronie niewątpliwych zbrodni.

Tresura ta zaczęła się w chwili sprawy Rajka. Nazajutrz po podłym wyroku, podczas gdy zachodnia opinia poruszona była zbrodnią, pisarz-urzędnik z komitetu centralnego, Tamas Nagy rzucał w „Szabad Nep” apel do pisarzy, apel mający charakter rozkazu: „Węgierscy pisarze, oskarżamy przed ludem tego awanturnika (Rajka), zanim literatura zachodnia ze swoim „humanistycznym” zrozumieniem nie zrobi z niego bohatera... Pokażmy tego potwora w takich barwach, by odwrócić się od niego ze wstrętem nawet przyszłe pokolenia”.

Dla wielu poetów i pisarzy, którzy pamiętali procesy moskiewskie, równało się to z samobójstwem moralnym (*). Jakże zazdrościli oni tym komunistom których nie nie kosztowało stwierdzenie, że Rajk — komunistyczny Saint-Just — był zdrajcą. Reakcjonisci triumfowali, oportuniści prześcigali się w podłości. Tymczasem komuniści szczerzy i ideowi dokonali cudu. Uwierzyli — gdyż „Partia nie może się mylić”. To były ostatnie słowa przed naszym ostatecznym rozstaniem w czerwcu 1949 — ze względu właśnie na sprawę Rajka — mego drogiego przyjaciela, poety Andrzeja Havasa, który był wówczas sekretarzem poselstwa w Paryżu. Odwołany do Węgier po zaaresztowaniu Rajka, został on natychmiast wrzucony do więzienia i zakatowany na śmierć. Dowiaduję się teraz że połamano mu wszystkie zęby. Syn generała Farkasa, Włodzimierz, przodujący sadysta policji, szczał mu w usta (była to — twierdzi się na Węgrzech — „specjalność ideologiczna” tego stalinowca). A gdy Havas, który nie mógł zrozumieć czego się od niego chce, który nie mógł uwierzyć by jego własni towarzysze mogli go tak potwornie katować, wreszcie zwariował, bito go nadal aż

(*) Opowiadano mi że mój przyjaciel Andrzej Nemeth, jeden z najsubtelniejszych i najinteligentniejszych spośród tych ludzi, autor świetnej książki o Kafce, słuchał radiowych sprawozdań z procesu Rajka ze stenogramem procesu Bucharina w rękę.

do śmierci. Pisarze węgierscy gotują teraz Havasowi narodowy pogrzeb. To ten Havas właśnie mówił mi uparcie, gdy wykazywałem mu punkt po punkcie niezbitą absurdalność zarzutów przeciw Rajkowi: „Partia nie może się mylić. Nic się nie liczy wobec wierności Partii...” Uwierzyli i inni pisarze komuniści — uwierzyli, w sensie samobiczowania. Przystępowali do stalinowskiego misterium, tak jak się wstępuje w oczyszczającą kąpiel, pozostawiając w tyle brudne łachy „burżuazyjnego poczucia winy”. Pancierz wiary, tej wiary „quia absurdum”, stawał się wówczas oznaką tych pisarzy, różnica pomiędzy nimi, a „tłumem” innych, których oskarżali oni o różne odchylenia — nacjonalistyczne i kosmopolityczne, formalistyczne i naturalistyczne, subiektywne i obiektywne. Poddali się oni całkowicie duchowemu przewodztwu Rewaja, głównego Strażnika Praw „sztuki” marksizmu-leninizmu-stalinizmu. Przestano wówczas pisać dla czytelników: pisano dla „Akademia Utca” — siedziby Rewaja. Aby przypodobać się Partii. „Ad maiorem gloriam”... Kłamano... Kłamano nieraz z pewną dozą absurdalnego bohaterstwa...

Aż wreszcie nadszedł dzień w którym okazało się że wszystkie te poświęcenia, cały ten opaczny heroizm z jakim pisarze zniszczyli swe własne sumienia, były nie tylko niepotrzebne, ale nawet szkodliwe. „Oddalibyście większe usługi samej Partii odrzucając kłamstwo, mówąc prawdę, nie odwracając się od ludu...” — tak im zaczęto mówić w samych kołach partyjnych. Można sobie wyobrazić wściekłość, potworne rozczarowanie, jakie wywołały te słowa pełne zdrowego rozsądku. Oto nagle okryto ich śmiesznością, oto stają się gorzej niż łgarzami — głupcami, którzy uwierzyli w patetyczną misję kapłanów Najwyższej Prawdy, tkwiącej na piedestale złożonym z milionów kłamstw!

Pierwsi odzyskali zmysły mali i zręczni oportuniści o łatwym piórze (nie będę ich wymieniał). Rozpoczęli oni „wyścig do prawdy”. Partia żąda krytyki? Proszę bardzo! Inni oportuniści, ostrożniejsi, przestrzegali przed nietrwałością „odwilży”. Zerkali w stronę Z.S.S.R., gdzie właśnie zganiono Erenburga za śmiałość...

Tym niemniej „odwilż” przybierała na sile. Zachęceni przez Imre Nagy, pisarze „szli w teren”, informowali się o istotnej sytuacji, zdawali z niej sprawę w wierszach, reportażach, nowelach. Inni wyciągali z szuflady dzieła napisane w okresie terroru.

Formowały się klany. „Stalinowcy”, z Sandorem Gergely na czele, protegowani przez Rakosiego, odnaleźli, po krótkim okresie dezorientacji, pewność siebie. Silniejsza jednak była grupa komunistów „reformistów”, podtrzymywanych przez „ludowców” itd. Zarząd Partii kilkakrotnie interweniuje w tych kłótniach, doradzając „złoty środek” równie oddalony od „sekcjaryzy” (tak się nazywa teraz zapamiętałych stalinistów), jak od „drobnomieszczańskiego prawego odchylenia”. Z jednej strony Partia gotowa była przyznać pisarzom prawo do „większej wolności”, z drugiej strony żądała od nich „bardziej wyostrego

poczucia odpowiedzialności". Pisarze byli zatem upoważnieni do pisania z większą niż poprzednio swobodą, pod warunkiem by nie podważali prestiżu Partii, i ukazywali ją w perspektywie „naprawionych błędów”.

Ale jak zastosować taki program w praktyce? Jak pokazać, na przykład, w pieśni miłosnej, czy w szlochu, niezwykły postęp Partii w świetlaną przyszłość? „Nie zastępuje się walki klas miłością” pisał w roku 1952 Rewaj. Zapewne. Ale stąd, jeśli ma się ochotę do płaczu, podejrzenie o pesymizm i burżuazyjną dekadencję jest bliskie. Dla cenzorów z partii, każde osobiste wzruszenie wydaje się podejrzanym odchyleniem. Zresztą czy sama zasada liberalnej cenzury nie jest absurdalna?

Kontratak stalinowskiej biurokracji przybrał znacznie na sile wraz z konsolidacją pozycji Rakosiego, na skutek bezpośredniej interwencji Chruszczowa. Z chwilą usunięcia Imre Nagyego od rządów a potem i z szeregów partii za rzekome odchylenie, pisarze reformiści stracili swe główne polityczne oparcie. Partia odzyskała dawną bezczelność i rościła sobie na nowo „bezwzględne prawo do pełnej kontroli nad życiem kulturalnym”.

Tym razem jednak ostrzeżenia i groźby trafiają w pustkę. Przyczyna jest prosta: pisarze zrozumieli że „nowa linia” zapoczątkowana przez Chruszczowa nakazuje wprawdzie walkę z odchyleniami, ale zabrania Rakosiemu uciekania się wobec komunistów „opornych” do środków *administracyjnych i policyjnych*. W tej to chwili (maj 1955) Juliusz Hay, Tibor Dery i młody powieściopisarz Tomasz Aczel, laureat nagrody Stalina, zaczynają kierować walką z „intelektualną biurokracją”, to znaczy opierają się kontroli życia kulturalnego przez partię. Ich walka przybiera charakter bardziej zaciętej we wrześniu 1955, kiedy dochodzą do wiadomości publicznej pierwsze wyniki ankiety prowadzonej w sprawie Rajka, ankiety, którą Partia starała się zresztą sabotować. Dla wielu pisarzy, odkrycie prawdy, to znaczy strasznego faktu że *wszystko było kłamstwem* w procesie z roku 1949, jest wielkim wstrząsem. „Uświadamialiśmy sobie nagle że służyliśmy zbrodniczym koncepcjom politycznym, że byliśmy narzędziami oszczerstwa i kłamstwa”, pisał Otto Major. „Zapewne, oszukano nas, ale to nie zmniejsza naszej osobistej odpowiedzialności. Niektórzy z nas przeszli wówczas przez załamania nerwowe. Inni nie mogli znaleźć ulgi nawet we łzach, nawet w nerwowym szoku. Męczyli się paroksyzmami złości, wpadali w najczarniejszą rozpacz... Z tego to kryzysu zrodziła się jedność moralna naszych pisarzy, na zasadzie solennego zobowiązania aby już nigdy nie kłamać, aby już nigdy nie służyć celom nieludzkim. Aby mówić prawdę”... („Irodami Ujsag”, 29. 9. 1956).

Ale jaką prawdę? Same słowo ma dla dialektycznych biurokratów dźwięk podejrzanym. Prawda jest dla nich zbyt często jednoznaczna z kłamstwem które służy ich interesom (przynajmniej pozornie). I biurokraci zaczynają represje. Poeta proletariacki Beniamin, który ośmiela się krytykować Rakosiego w sa-

tyrycznym wierszu zostaje najsurowiej prześladowany, usuwa się ze stanowisk ludzi którzy ośmielają się go bronić, zawiesza się czasopisma które wdają się nieostrożnie w dyskusję. Jednocześnie cenzura wstrzymuje druk kilku książek i zdejmuje ze sceny nie tylko sztukę Haya, ale również klasyczny dramat narodowy Madacha o upadku rewolucji 1848 roku.

Ale ta fala represji, którą montuje Rakosi, powoduje tym razem prawdziwy bunt. Na zebraniu zarządu Związku Pisarzy (10. 11. 1955) wybucha skandal. Sześciu członków zarządu i trzech członków sekretariatu (wszyscy komuniści) odmawiają kooperacji ze stalinistą Tamasem i zgłaszają dymisję. Jeden z nich, Tibor Dery, pisze jednocześnie memorandum do Komitetu Centralnego, podpisane przez większość kolegów. Protestuje on tam przeciw „pogwałceniu autonomii Związku” i przeciw wtrącaniu się władz do życia literackiego i kulturalnego. Memorandum wyraża jednocześnie solidarność z dziennikarzami z redakcji „Szabad Nep”, wyrzuconymi na skutek ich dążeń do reform, i wypowiada się za „całkowitym zerwaniem z metodami antydemokratycznymi, obowiązującymi obecnie, które paraliżują życie kulturalne i niszczą autorytet i wpływ partii”.

Tymczasem przychodzi XX Kongres i obalenie, częściowo publiczne, częściowo tajne, kultu „Big Brothera”, terroru i autokracji. Całe Węgry — z pisarzami na czele — interpretują rezolucje kongresu jako potępienie Rakosiego, usprawiedliwienie Imre Nagy i zachętę — z najwyższych źródeł — do uzdrowienia życia publicznego poprzez realistyczną ocenę rzeczywistości, do demokratyzacji.

Od tej chwili walka pisarzy przeciw cenzurze przekształca się w szerszą walkę przeciw dyktaturze: „Partia musi się wytłumaczyć przed narodem”... Kiedy Rakosi próbuje zadusić destalinizację w zarodku, pisarze reagują bardzo ostro. Rakosi rehabilituje Rajka po raz pierwszy mimochodem, między dwoma zdaniem o sytuacji gospodarczej, zrzucając całą odpowiedzialność za proces z 1949 roku na węgierskiego pod-Berię, Gabor Petera. Pisarz Sandor Lukacsy wstaje wtedy na zebraniu Związku i krzyczy: „to oświadczenie jest godne Judasza!” Kilku stalinistów protestuje. Zamieszanie i zgiełk wzrasta do tego stopnia, że przedstawiciel centralnego komitetu Bela Szalai, który przewodniczył zebraniu, każe ewakuować salę.

W trzy dni później, pisarze zbierają się ponownie. Przedstawiciel komitetu centralnego, Horvath, zawiadamia o wykluczeniu z Partii Lukacsa za obrazę Rakosiego. Pisarze gwałtownie protestują, wśród nich prezes związku Peter Veres. Horvath w imieniu Partii proponuje wybór na stanowisko sekretarza Związku Csabaja, mało znanego pisarza. Propozycja ta jest odrzucona stoma głosami przeciw trzem. A Tomasz Aczel — jedyny Węgier laureat nagrody Stalina — wyraża „całkowitą nieufność inteligencji węgierskiej do Rakosiego” — i żąda jego dymisji.

Zaczynają się zebrania w Klubie Petőfi, w których uczest-

niczą pisarze opozycyjni. Artykuły w „Gazecie Literackiej” przybierają wciąż na sile. 5 maja Juliusz Hay pisze że stalinizm „zatrącił całą naszą literaturę”... „Nadszedł czas powrotu do prawdy, do prawdy uniwersalnej, bezwarunkowej, głębokiej, ...” W sukurs Hayowi przychodzi największy żyjący filozof marksistowski, Georg Lukacs, protestując przeciw „dogmatyzmowi” stalinowskiemu.

Ale co fascynuje kraj, i co stanowi o prestiżu opozycyjnych pisarzy, to nietyle treść ich wypowiedzi, co ich odwaga wobec władz. Dery i jego przyjaciele są rzeczywiście pierwszymi ludźmi którzy na Węgrzech po długich latach zachowywali się tak jakby się niczego nie bali — którzy mówili *jak wolni ludzie*. A przecież Rakosi był jeszcze u władzy, z nietkniętym policyjnym aparatem, kierowanym przez kata Farkasa. „Obiektywne warunki” strachu istniały nadal. A jednak Dery i jego przyjaciele ignorowali je celowo. Pisarze mówili głośno to co wszyscy wiedzieli od dawna. Ale przez to samo rzeczywistość przestała być niema. Posłannictwo pisarzy przenikało do coraz szerszych kręgów społeczeństwa. Zebrania w klubie Petöfi stawały się coraz bardziej burzliwe. 27 czerwca wzięło udział w zebraniu klubu przeszło 2.000 osób. Zebranie przerodziło się niemal w bunt. Przedstawiciele komitetu centralnego musieli uciekać przed groźnym tłumem. Ulica budapeszteńska pełna była wzburzonych ludzi przez całą noc.

Rakosi dokonał wówczas ostatniej próby utrzymania się u władzy. Zwołał zebranie Komitetu Centralnego i przeforsował na jego członkach wniosek nagany przeciw „agitatorom”. Dery i Tardos, uznani za „odpowiedzialnych” zostali wykluczeni z Partii. Innych ukarano dyscyplinarnie. Rakosi wysłał również agitatorów do wszystkich węgierskich fabryk. Mieli oni za zadanie przedstawienie robotnikom opozycyjnych pisarzy i intelektualistów jako reakcjonistów, jako „agentów burżuazji, dążących do przywrócenia kapitalizmu”. Nie po raz pierwszy starał się Rakosi wyzyskać w ten sposób tradycyjną niechęć proletariatu do inteligencji, przedstawiając się jako „obrońca robotników”. Ale tym razem manewr nie wyszedł. Echa żądań pisarzy doszły nawet do fabryk. Robotnicy zażądali aby im przedstawiono tekst przemówień Derygo i Tardosa... W ten sposób nie potrafił Rakosi przygotować odpowiedniego terenu do ostatniej policyjnej represji którą zamierzał zastosować. Tym bardziej że Kreml radził mu umiarkowanie (wizyta Mikojana i Susłowa). 17 września Rakosi zmuszony jest do dymisji i rząd partii obejmują stalinieści którzy go zdradzili (Gero), wraz z słabszymi „zrehabilitowanymi titowcami”.

Powracamy teraz do Zjazdu pisarzy. Istotnie, pisarze odrzucili rady Kallaja, dyrektora spraw kulturalnych w nowym zarządzie partii, który polecał im „zająć się pisaniem dobrych książek”. Sekretarz Związku odpowiedział mu w imieniu pisarzy że interwencja w sprawach politycznych jest, zwłaszcza w obecnej chwili, nie tylko prawem, ale obowiązkiem pisarzy...

W przeddzień zjazdu, 8 września 1956, Juliusz Hay ogłosił w „Irodalmi Ujsag” credo pisarzy, żądających pełnej wolności w literaturze:

„Tak, żądamy całkowitej wolności literatury. Wolności najzupełniejszej, najbardziej nieograniczonej, jaką można sobie wyobrazić wśród ludzi żyjących w cywilizowanym społeczeństwie. To znaczy, że nie chcemy aby było zabronione pisarzowi cokolwiek co nie jest prawami państwa zabronione wszystkim obywatelom. Oczywiście, pisarz, tak jak każdy obywatel, nie może być upoważniony do nawoływania do zbrodni, do pożaru, do kradzieży, do obalenia republiki, do prześladowań rasowych. ...Ale musi on mieć prawo (tak jak i każdy obywatel) do mówienia prawdy bez żadnego ograniczenia; do krytykowania kogośkolwiek i czegośkolwiek mu się podoba. Pisarz musi mieć prawo do melancholii i smutku; do myśli o śmierci; do wiary w Boga Wszechmogącego; do niewiary w Boga; do wyrażania wątpliwości co do statystyk oficjalnych; do niemarksistowskiego myślenia; do marksistowskiego myślenia, nawet jeśli ta myśl daje wyniki niezgodne z oficjalnym punktem widzenia; do widzenia ruin domów których nikt nie naprawia, do kochania Zakładów Stalina, lub do ich niekochania; do obrony ludzkości nawet w wypadkach, w których mniej wrażliwe sumienia nie widzą nic nieludzkiego; do oryginalnego i własnego stylu...”

Komunista Hay i wszyscy komunistyczni pisarze węgierscy którzy biorą udział w tej dyskusji żądają wolności nie tylko dla siebie, ale również i dla niemarksistów: „dla spirytualistów, katolików, anarchistów, indywidualistów, formalistów, pesymistów, dekadentów, nacjonalistów...” Zapytani o przyczyny tak szerokiego liberalizmu, odpowiadają oni: „Pomagając biurokratom z partii nałożyć kaganiec na pisarzy niemarksistowskich, gotowaliśmy sobie naszą własną niewolę”. I dalej: „Poddając się duchowemu przewodztwu sekretariatu partii, daliśmy się zawieźć na drogę kłamstwa... ale drogę zapłaciliśmy za to kłamstwem, widząc jak obniża się poziom naszych dzieł i jak daleko oddalamy się od samych zasad marksizmu-leninizmu”.

To właśnie żądanie moralnego oczyszczenia socjalizmu tkwi u sedna obecnego buntu literackiego na Węgrzech. Chodzi o demifistyfikację, o odkłamanie życia publicznego. I to siła tego wymagania moralnego sprawia że „destalinizacja” nie jest manewrem taktycznym, mającym na celu uzyskanie na czasie (czym miała być początkowo w oczach wielu „aparaczyków”), ale płodnym kryzysem ideologicznym, pierwszym symptomem tej wielkiej Reformy socjalizmu, którą uważałem za nieuniknioną od roku 1949. „Kłamstwo, fikcja, mit, są przeciwieństwem zasad moralnych i warunków życiowych socjalizmu. Prawda jest tle-

nem bez którego nie może on żyć...”, pisałem wówczas w „Esprit” we wnioskach mego studium o procesie Rajka.

Moralny bunt lewicowych pisarzy węgierskich — podobnie, jak równie ważne i charakterystyczne dążenie polskich pisarzy i intelektualistów do wolności — wydaje się usprawiedliwiać te optymistyczne przewidywanie, dokonane w chwili gdy socjalizm wschodni wydawał się wpadać coraz głębiej w przepaść nieludzkiego terroru fizycznego i intelektualnego. Tragiczni pogrobowcy, ocaleli z ruin tylu fałszów, tylu bezużytecznych poświęceń, lewicowi intelektualiści krajów Europy środkowo-wschodniej znajdują się obecnie przed olbrzymim zadaniem: przemyslenia na nowo socjalizmu, w świetle jego zdobyczy i jego klęsk, uwzględniając straszliwe szkody dokonane przez stalinizm, podobnie jak i postęp techniczny i naukowy ostatnich dziesiątków lat; przywrócenia socjalizmowi szczodrych i humanistycznych zasad moralnych, które staliniści zlikwidowali doszczętnie.

François FEITÖ

(Tłumaczył K.A. JELEŃSKI.)

Perspektywy dialogu

I

Jakie są perspektywy przejścia dialogu między emigracją a Krajem z wymiany myśli w listach i prywatnych rozmowach do publicznej dyskusji w druku? Utrzymanie i rozwinięcie pierwszych nieśmiałych prób, jakie się dziś pojawiają, zależy od trzeźwego stanowiska obu stron i wyswobodzenia się z więzi frazesów. Na emigracji trzeba zrozumieć i docenić jak ważne jest bezpośrednie dotarcie do krajowego czytelnika. Wśród publicystów i pisarzy krajowych konieczne zaś jest zdanie sobie sprawy z jak daleko idącymi zastrzeżeniami ocenia się zakres uzyskanej przez nich swobody krytyki, jeżeli równocześnie z dyskusją o wolności poczta wyłapuje z przesyłek czasopisma emigracyjne i książki zagraniczne. Po obu stronach te dwie charakterystyczne obawy, obawa przed konfrontacją emigracyjnego słowa z krajową rzeczywistością i reakcją krajowego czytelnika, oraz obawa przed usłyszeniem zarzutów, wypowiedzianych bez jakiegokolwiek reżyserii, wstępnych pouczeń, bez jakiegokolwiek ubezpieczenia, są wskazówkami ukrytej wewnętrznej słabości.

Kto bowiem na emigracji zasadniczo odrzuca możliwość drukowania w kraju, często ulega niepokojom, że ten kontakt może okazać się na dłuższą metę bardzo trudnym egzaminem dla literatury powstającej poza krajem. Znamienne że najgłośniej protestują ci, co mają najmniej do powiedzenia, podczas kiedy pisarze o żywym dorobku, nie ustający w pracy literackiej, spokojnie rozważają nową sytuację szukając dla niej najwłaściwszych rozwiązań. W kraju znów wszelkie krępowanie kontaktu z Zachodem jest robotą ludzi o skompromitowanej w oczach społeczeństwa karcie moralnej i politycznej; ci zagrządzają drogę paryskim i londyńskim periodykom w języku polskim aby „rewolucja w rewolucji” miała dostatecznie płytkie dno: pogłębienie może grozić utonięciem.



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon: FREmantle 7888/9

Ostatnie fakty i reakcje obu środowisk powinny zarysować linię wyjściową powstającej dzisiaj „sytuacji dialogu”. Do faktów, przed paru laty zgoda nie przewidywanych, należą zapowiedzi ukazania się w Polsce książek Kossak-Szczuckiej, Kuncewiczowej, Gombrowicza, Parnickiego, Wańkowicza. Jeżeli nie zahamuje dalszego rozwoju „sytuacji dialogu”, trzeba się spodziewać rozszerzenia tej listy, choćby dlatego że nie da się dokonać wznawienia najważniejszych pozycji literatury okresu 1918-1939 bez zwrócenia się do autorów od wielu lat przebywających na emigracji. Pisarze, którzy zgodzili się na przedruk, będą mieli prawo oczekiwać że również i dalsze ich książki pojawiają się w wydaniu krajowym i wydaniu emigracyjnym, tym bardziej że pominięcie jakiegoś tomu przez wydawnictwo państwowe w kraju od razu zwróciłoby uwagę czytelników i świata literackiego. Oto jedna perspektywa, perspektywa w zasadzie pomyślna, ale uzależniona od wielu warunków nieodczynnych dla takiego obrotu sprawy.

II

O warunkach tych wiele się mówi, ale nie stworzono ich jeszcze w kraju, gdzie, jak dotąd, skromna tylko część środowiska literackiego zaczyna domagać się zaprowadzenia w tym zakresie jakiegoś ludzkiego porządku na miejsce dotychczasowych absurdów. Za to z naszej strony w sprawie drukowania w kraju nagromadzono masę dziwnych argumentów i wprowadzono tyle względów, które wzajemnie się wyłączają.

Najgorszą drogą jest zastępowanie wyczerpującej dyskusji przez tradycyjny środek emigracyjny na wszelkie trudności, przez demonstrację, przez gromkie uchwały, zakazy i nakazy. W chwili gdy bieżący zeszyt „Kultury” dojdzie do rąk czytelników, niewątpliwie wystąpi z różnymi oświadczeniami zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, zwołany na początek listopada. Przygotowanie tekstu uchwał powierzono specjalnej komisji, powołanej przez zarząd Związku i złożonej z ludzi, reprezentujących wyłącznie jeden punkt widzenia. Bez względu na to, jak odniesie się do tych projektów londyńskie zebranie pisarzy, sam pomysł tworzenia komisji, o dowolnie dobranym składzie, działającej poza zasięgiem walnego zebrania, nie świadczy dobrze o stosunkach w miejscowym środowisku literackim.

Najciaśniejszym stanowiskiem jest powoływanie się na uchwałę tegoż Związku Pisarzy, powziętą w 1947 roku i twierdzenie że załatwiła ona sprawę raz na zawsze aż do bliżej nieokreślonego zjawiska, o którym się mówi jako o „odzyskaniu przez Polskę niepodległości”. Uchwała ta przeciwstawiła się wszelkim próbom udzielania zgody na druk utworów w kraju. Bilans wystąpienia był niefortunny i skutki przestrzegają przed nieprzemyślanym powtarzaniem podobnych akcji. Dyskretnie nie przypominaj się dzisiaj, jak nikła liczba członków podpisała ten apel i ile wywołał on głosów protestu na emigracji, jak

źle został przyjęty w kraju. Ówczesna demonstracja stanowiła błąd psychologiczny wobec literatury krajowej, w stosunku do przyszłości oparła się na naiwnych przewidywaniach politycznych, w stosunku do położenia z 1947 roku była przeoczeniem możliwości, jakie jeszcze przez krótki czas miały istnieć. W dwa lata później przyszedł zjazd szczeciński, zamykanie pism literackich powstałych po wojnie i likwidowanie wszelkich niepaństwowych zakładów wydawniczych. Wtedy okazało się, że przepuszczono ostatnią — na długo — sposobność bezpośredniego kontaktu kulturalnego z krajem. Jest w tym lekcja aby w naszych warunkach programy maksymalne nie doprowadzały do lekceważenia ograniczonych, ale praktycznych możliwości. Całe życie można czekać na królestwo niebieskie, lecz nie można w pracy kulturalnej, społecznej, politycznej całego życia przeczekiwać. Odczuwa to bardzo ostro akurat nie najstarsze, lecz najmłodsze pokolenie emigracyjne, mając ciągle przed oczyma sytuację starszych od nich ludzi pióra.

Powoływanie się, przy dzisiejszym tempie wydarzeń, na decyzję sprzed dziesięciu laty, jest szkodliwym passeizmem.

Pomysły zresztą jakichkolwiek demonstracyjnych uchwał w tych sprawach budzą obawy, że w Związku Pisarzy istnieją tendencje przekroczenia naturalnego zakresu zadań stowarzyszenia zawodowego. Byłyby to niezdrowe i nieuzasadnione ambicje, grożące odślonieniem zbliżania się i tej emigracyjnej organizacji do świata fikcji, w jaką ześlizgnęły się już formy naszego życia politycznego. Oto bowiem krótka lista autorów nie należących do Związku: Z. Kossak-Szczucka, M. Kuncewiczowa, A. Bobkowski, J. Czapski, W. Gombrowicz, Zb. Grabowski, Cz. Miłosz, M. Pankowski, J. Pietrkiewicz, J. Mackiewicz i T. Parnicki nie utrzymują ze Związkiem kontaktu, St. Balińskiego od bardzo dawna nie widać na posiedzeniach literackich, nie bierze też udziału w wieczorach Związku. Oddział amerykański jest martwą fikcją, w praktyce ustala też współpraca między Związkiem a pisarzami którzy wyjechali z Londynu do Monachium; grupy polskich autorów w Ameryce Poł. czy Australii istnieją zupełnie odrębnie. Tak więc Związek, mający siedzibę w Londynie, od dość dawna jest tylko miejscowym — potrzebnym zresztą i lubianym — klubem literackim, byłoby jednak przesadą gdyby chciał przemawiać w imieniu literatury emigracyjnej.

Wymienieni wyżej pisarze stanowią — chyba łatwo się z tym zgodzimy — wcale niezły dobór nazwisk ze współczesnej literatury polskiej. Jakie może być praktyczne znaczenie uchwał, wykraczających poza wewnętrzne sprawy organizacyjne, gdy zapadają one bez udziału czołowych przedstawicieli piśmiennictwa; jeżeli o piśmiennictwie chce decydować tak zwana „większość” powstająca z pobłażliwego objęcia tytułem pisarza i członka Związku ludzi bez jednego poematu, bez jednej powieści, bez jednego większego studium krytycznego.

Póki pora trzeba umieć wyciągnąć wnioski z losów niedoszłego Kongresu Kultury. Popierał go liczny zespół literackich

i naukowych organizacji o pięknych nazwach. Mimo to Kongres się nie odbył, ponieważ okazało się, że ci, którzy na nim mieliby naprawdę coś do powiedzenia, albo znajdują się poza organizacją, albo też są odsuwani od czynnej roli przez komitety, wyłonione z tych stowarzyszeń. Podobnie dzieje się ze z góry przygotowanymi rezolucjami w sprawach wymagających troskliwej analizy: zamierzony Kongres, „kongres w przedpłacie”, nie doszedł do skutku kiedy zorientowano się, że, pomimo prób zamienienia go w sejm kultury polskiej na emigracji o gwarantowanej jednomyślności, zatwierdzający dekrety komitetu organizacyjnego, mógł zamienić isię w forum dyskusyjne.

III

Co innego demonstracje, co innego rzeczowe dyskutowanie niełatwego zagadnienia. Co innego kontrolowanie działalności literackiej według biurokratycznych wzorów, a co innego dobrowolne porozumienie i próba wspólnego określenia stanowiska z zastrzeżeniem „rebus sic stantibus”.

Temat zgody na przedruki w kraju omawiają przede wszystkim, poza wyrażonym już stanowiskiem zespołu „Kultury”, felietony Pandory, ogłaszane w londyńskich „Wiadomościach”, „Orzeł Biały”, „Życie” i pismo grupy polskich studentów i absolwentów „Merkuriusz”.

Wydaje się, że dla oczyszczenia tematu trzeba z niego przede wszystkim wyłączyć pewne pojęcia mityczne. Przecenia się mianowicie czysto osobistą pozycję pisarza na emigracji, przypisując jego decyzjom niezwykle wpływ na decyzje innych. Popularność nazwiska wiąże się na emigracji o wiele bardziej z publicystyką niż z literaturą w ściślejszym pojęciu tego słowa. Powrót Mackiewicza nikogo za sobą nie pociągnął. Nie rozumiejąc też dlaczego ogłoszenie w kraju rzeczy napisanych na emigracji miałyby emigrację rozłamać lub zgoła zniszczyć, gdy będą na przykład zachowane warunki sprecyzowane przez „Kulturę”. Równie mityczna jest perspektywa „kupienia” pisarzy emigracyjnych, bo tak trzeba nazwać po imieniu insynuacje wysuwane w niektórych polemikach. Nie łatwo pojąć, jak równocześnie potrafi się przywiązywać tyle wagi do istnienia literatury emigracyjnej, nadawać jej tak sztandarową rolę, a zarazem twierdzić że byle pokazano 400 funtów angielskich pisarze będą pochopnie zmieniać poglądy i odkrywać demokrację tam, gdzie jej dotychczas nie widzieli. Jest coś obrzydliwego w przypuszczeniu że pieniądze w ogóle mogą lekko przekreślać pamięć lat, spędzonych z konieczności, a nie z upodobania, w goryczy i tęsknocie odcięcia od najbliższej ziemi i najbliższych ludzi. Zupełną legendą są dla mnie owe niezwykle honoraria, o jakich wspomina Pandora, które „byłyby ponętne nawet dla znanych pisarzy angielskich czy francuskich”.

W Polsce przeciętne honorarium za obszerną powieść wynosi

około 40-45.000 złotych, co równa się wynagrodzeniu 4.000 zł. miesięcznie, czyli mniej więcej pensji reżysera dobrego teatru. Utrzymanie się na tym zgoła zresztą niezawrotnym poziomie materialnym wymagałoby pisania co roku jednej powieści. Rzecz rzadka i niełatwa. W angielskich warunkach życia 400 funtów, przy podobnym założeniu prawie taśmowej produkcji powieściowej „co rok — prorok”, zapewnia dochód miesięczny równy płacy średniej stenotypistki. Człowiek, utrzymujący rodzinę, nie będzie poważnie brał pod uwagę takiej sumy jako całkowitego możliwego dochodu. Doprawdy, trzeba powiedzieć pod adresem insynuacji — nie byłoby się na co łakomić. Każdy przy tym zdaje sobie sprawę, że w razie przyjęcia honorarium w dewizach, autor emigracyjny utraciłby skromne dorywcze zarobki literackie.

Oczywiście zawsze pozostaje mu jakakolwiek praca zawodowa i uzupełnianie jej dochodów honorarium z kraju. W tym jednak wypadku autor nie zmienia swej sytuacji, nie usuwa swej podstawowej trudności: obciążenia inną pracą poza pisarstwem. Co najwyżej podnosi wysokość dodatkowego zarobku z racji honorariów. Doprawdy, jeżeli już ma się mierzyć sprawę drukowania w kraju i wrażliwość sumienia pisarza w pieniądzech, a nie w lepszych kategoriach, gra nie warta świeczki. Pobocznie trzeba zanotować, że wskutek zacietrzewienia, jakie otacza to zagadnienie, mogą się znaleźć instytucje cofające swą pomoc pisarzowi nawet i w razie jego bezinteresownej zgody na przedruk w kraju.

IV

Zasadnicze zarzuty przeciw jakimkolwiek formom zgody na druk w kraju można tak uporządkować:

1) „Odwilż” jest odprężeniem jakie nastąpiło na komendę i w ślad za zmianami politycznymi na Kremlu. „Odwilż” w Polsce jest więc tylko echem „odwilży” w Rosji i może się skończyć wraz ze zmianą koniunktury międzynarodowej i powrotem do metod „zimnej wojny”. Korzystanie z „odwilży” jest zatem pośrednim współdziałaniem z celami polityki sowieckiej.

2) Akcję drukowania i przedrukowywania utworów emigracyjnych prowadzi się za zgodą rządu. Tym samym jest to akcja planowo perfidna, jest to „operacja dywersyjna”.

3) „Jeżeli takim skutecznym narzędziem w walce o demokrację w Polsce ma być książka emigracyjna, to dlaczego właśnie komuniści wysilają się, aby książkę pozyskać” (Pandora).

4) Teza iż pisarz emigracyjny, drukując w kraju, skompromituje politykę zachodnią. Według J. Łobodowskiego („Orzeł Biały”) idzie w tym zabiegu politycznym „o dowiedzenie pisarzom krajowym, że jeżeli pisarze emigracyjni po jedenastu latach zdecydowali się drukować w kraju, widać doszli oni do przekonania, że od Zachodu niczego nie można się spodziewać”.

5) Teza Pandory z „Wiadomości”, iż „pisarzom, korzysta-

jącym z przywileju dopuszczenia ich książek do kraju grozi uza-
leźnienie od administracji warszawskiej”.

Zjawisko „odwilży” w stosunku do metod reakcyjnych możli-
we jest tam, gdzie zdecydowanie się na to czynnik rządzący i gdzie
społeczeństwo ma dość siły i odwagi, aby tę „odwilż” po-
chwycić, opanować, w całości pełni wykorzystywać i rozszerzać.
Traktowanie „odwilży” jako automatycznego wykonywania „ze-
zwoleń” jest nieporozumieniem. By się o tym przekonać, starczy
porównać sytuację w Polsce i sytuację w Czechosłowacji. O Ru-
munii i Bułgarii, w kontekście polsko-węgierskim, niemal nie
warto wspominać.

Absurdem jest oczekiwać aby w świecie kierowanym przez
Związek Sowiecki w jakiś inny sposób dochodziło do „odwilży”,
w odmiennych bowiem okolicznościach musiałby to być ruch re-
wolucyjny, nie zaś zjawisko stopniowego poddawania krytyce co-
raz szerszej sfery dotychczasowego komunistycznego dogmatu
i komunistycznej praktyki. Nie wiele jest sensu w oczekiwaniu
na przewrót, który stłumią tanki i samoloty, jeżeli „odwilż” nie-
ustannie posuwa sprawę naprzód, nie wywołując kataklizmu jaki
dla Polski skończyłyby się nową katastrofą.

Nawet przyjmując, że „odwilż” jest wyłącznie manewrem
politycznym a nie skutkiem głębokich przyczyn, trzeba równo-
cześnie pamiętać, iż nie ma manewru nie wymykającego się po
pewnym czasie z rąk jego inicjatorów. Że tak właśnie się dzieje,
świadczą o tym nie tylko zajścia poznańskie, ale cały przebieg
procesów w Poznaniu. To znów jest wymowną ilustracją iż
o charakterze i skutkach „odwilży” nie decyduje tylko na przyk-
ład udzielenie swobody słowa obrońcom na sali sądowej, lecz
i odwaga skorzystania z tego niebezpiecznego przywileju, nastrój
sali, nastrój obrony, a w końcu i napór rzeczywistości na nastro-
je kompletu sądującego. Bierny stosunek do „odwilży” pozostawia
ewentualny manewr całkowicie w rękach drugiej strony,
czynna polityka, korzystanie z realnych sposobności wpływa na
charakter manewru — czyni go sprawą dwustronną.

Rzecz jasna że „odwilż” polska zależy od układu między-
narodowego, każda następna polska sytuacja również będzie od
niego zależna. Tylko polityka instytucji emigracyjnych może od-
bywać się na księżycu.

Drugie główne zastrzeżenie opiera się na równie nierealnym
stosunku do realnego zjawiska, jak pierwszy zarzut. Dopóki Pol-
ską włada rząd, będący ciągłością władz wyłonionych przez nar-
zuconą krajowi obcą postać rewolucji, dopóty akcje zagraniczne
muszą odbywać się za jego zgodą. Inaczej może dziać się wy-
łącznie przy całkowitym upadku obecnego ustroju, tutaj więc za-
gadnienie sprowadza się do biernego wyczekiwania na kontr-
rewolucję albo też do oddziaływania, w miarę możliwości, na
przekształcanie się rewolucji w bardziej strawne formy. Wybór
między bezczynnością a aktywnością nie powinien być trudny.

Obawy, że skutek tego nastąpi „rozłożenie emigracji”, że
będzie to skuteczna „operacja dywersyjna”, wynikają chyba
z braku wiary w szczerą i siłę demokratycznych przekonań pi-
sarzy emigracyjnych. A należą do tych samych argumentów, co
pospieszne wynajdywanie ofiar rzekomego przekupstwa. Albo
emigracja jest społeczeństwem o ideologii demokratycznej i hu-
manistycznej i wówczas nie zatraci rozróżnienia między całko-
witym a częściowym spełnieniem słusznych postulatów, albo też
nie posiada trzonu ideowego i wówczas nic nie pomogą ani
ostrzegawcze artykuły ani gromkie uchwały. Pisanie o „opera-
cji dywersyjnej” wyrasta z poczucia własnej słabości, z poczucia
jak nikłe oparcie pisarz posiada w swym własnym, emigracyj-
nym społeczeństwie. Gdybyśmy mieli poważny dom wydawniczy,
własny Fundusz Kultury Polskiej, „dywersja” nie wywoływa-
łaby obaw. Mówić o „dywersji”, to przyznawać się do lęku, że
pewnego dnia pisarz odwróci się w końcu plecami do społeczeń-
stwa, które w stosunku do niego dawno to już zrobiło. Ale robie-
nie strachu o wielkich oczach nic nie pomoże, trzeba zmienić
zasadniczą sytuację literatury emigracyjnej bez poddawania się
panice iż pisarze ulegną rzekomym „wielkim honorarium”, za-
nim taka zmiana zacznie przynosić owoce.

Uwaga Pandory, że to właśnie komuniści wysilają się aby
pozyskać książkę emigracyjną, prowadzi do błędnego koła. Przy
obecnych rządach wszystkie instytucje mają piętno oficjalne, co
niektórych doprowadza do widzenia w każdym „agenta reży-
mu”. Takim „agentem reżymu” jest w końcu pierwszy lepszy
tramwajarz, a już tym bardziej każdy wyjeżdżający zagranicę
za urzędowo przydzielone dewizy, gdyż innych możliwości wy-
jazdu nie ma. Można zatem albo cieszyć się z odnowienia kon-
taktów społeczeństwa polskiego z Zachodem, albo też martwić
się zalewem „agentów” na Zachodzie. Książka emigracyjna
albo jest książką dobrą i pożądaną, albo złą i niepotrzebną. Je-
żeli pierwsze jest słuszne, nie posiada decydującego znaczenia
sprawa, kto ją sprowadza: kupując książkę nie pytamy księga-
rza o świadectwo moralności.

W sytuacji istniejącej obecnie w kraju jest publiczną tajem-
nicą istnienie wewnątrz partii kilku odrębnych grup i ścieranie
się wpływów socjalistycznych z grupą stalinowskiej ortodoksji,
wpływów młodszego pokolenia, zainteresowanego eksperymen-
tem Tity i szukającego dla niego odrębnych polskich form, z po-
kolem tych, co posłuszeństwem ocalili się z rozbijanej przez
Stalina KPP. Nie wszyscy życzą sobie w równym stopniu wpro-
wadzenia na rynek krajowy twórczości emigracyjnej, a z pew-
nością różni ludzie wiążą z tym różne nadzieje. Rzeczy byłyby
zbyt proste gdyby obecną rewizję stosunku do emigracji i do
pisarstwa emigracyjnego uważać wyłącznie za manewr dywersyj-
ny. Gdy jedni chcą podać rękę, aby przeciągnąć człowieka przez
pewną moralną linię graniczną, inni chcą ją podać by mocno
uściśnął dłoń drugiego Polaka.

Niesmaczne nonsensy, wypisywane stale przez pisemko „Kraj”, naiwne jego wulgaryzacje, nie powinny być jedyną lekturą; od pewnego czasu w „Nowej Kulturze” można wyczytać między wierszami i już nawet między słowami, że obie literatury, emigracyjna i krajowa, w odmienny sposób padły ofiarami wielkiej katastrofy kulturalnej i politycznej. Stanowisko Pandory prowadzi do konsekwentnego odmówienia wszelkich form druku w kraju, dopóki nie nastąpi radykalna zmiana ustroju. Ta krańcowa postawa może równać się: a) odkładaniu bezpośredniego przemawiania pisarza do czytelnika krajowego poza granice życia obecnego starszego i średniego pokolenia; b) odrzuceniu korzystania z dokonywujących się tymczasem stopniowych zmian ustrojowych, z uchylenia drzwi, które chcielibyśmy widzieć szeroko otwarte.

Maksymalne programy gubią skromniejsze, które nie wyłączają powrotu do uzasadnionych zwiększonych wymagań. Nie ma powodu rezygnowania z druku poezji czy pięknej powieści historycznej, dlatego że „Czytelnik” będzie wydawać jedynie tak zwane „bezpieczne” pozycje. Oczekiwanie od „Czytelnika” popularyzowania książki Herlinga-Grudzińskiego o Rosji, to brak trzeźwego sądu, aczkolwiek nie jest zupełnym nieprawdopodobieństwem, że kiedyś książka ta może być uznana za pożyteczny dokument, informujący o zbrodniach epoki stalinowskiej. Rzecz w tym, aby czytelnicy w kraju zdawali sobie sprawę, że to co otrzymują, lub otrzymają w najbliższej przyszłości, nie jest *całością* literatury emigracyjnej. Dopiero w tego rodzaju pomysłce tkwi prawdziwe niebezpieczeństwo deformacji.

Lecz tu znów przeświadczenie o absolutnej realności takiego niebezpieczeństwa musi się opierać na przekonaniu o niezwyklej naiwności ludzi w kraju. Przesłanka jest fałszywa, społeczeństwo krajowe nie jest naiwne. Ani nie będzie skłonne sądzić iż „Czytelnik” publikuje całość literatury emigracyjnej, ani że książka wydana za numerem pozwolenia cenzury jest wszystkim, co ma mu do powiedzenia pisarz pracujący w bardzo odmiennych warunkach. Poza drukiem istnieją przecież radiowe środki informacji, środowisko zaś literackie i tak jest dostatecznie dobrze poinformowane o losie, trudach i wynikach trudów swoich kolegów emigracyjnych. Nie ma więc zasadniczego powodu porzucania części w imię utrzymania całości. Zwłaszcza że każdy wartościowy utwór literacki emigranta, ogłoszony w kraju, będzie dowodnie wykazywać jak fałszywe były twierdzenia o rozkładzie i zmarnowaniu literatury na emigracji, o ogólnym „zmywaniu talerzy”.

Łobodowski niepotrzebnie martwi się, że drukowanie w kraju skompromituje w oczach społeczeństwa politykę zachodnią; oby nie przeżywała ona większych kompromitacji! W chwycie Łobodowskiego odkrywa się jeden więcej przykład rozumowania nie liczącego się z naszymi interesami w imię utrzymania fikcji dogodnych dla innych. Jeżeli polityka Zachodu jest świadoma,

celowa, silna, stale uwzględnia rolę narodów środkowo-europejskich, przedruki krajowe mogą być w sensie politycznym tłumaczone jedynie jako wyraz ustępstw miejscowego systemu i jako dokumenty dostatecznej opieki, jaką Zachód otoczył intelektualistów emigracyjnych, pozwalając im na spokojną pracę literacką. Jeżeli zaś polityka Zachodu nie nie potrafi przynieść Polsce czy Czechom, nie uratuje jej opinii odmowa druku do kraju. Takim samym — według rozumowania Łobodowskiego okazaniem „przekonania”, że od Zachodu niczego nie można się spodziewać, jest zabranie głosu przez pisarzy krajowych, milczących lub zmuszonych do milczenia od wielu lat. Ukazanie pierwszego po wojnie tomu opowiadań Dąbrowskiej, i to dopiero w 1955 roku, o wiele bardziej mógł sobie tłumaczyć w taki właśnie sposób, aniżeli ewentualne pojawienie się zbiorowego tomu poezji młodych poetów emigracyjnych, poprzedzonego informacją że na ogół kończyli oni studia za angielskie stypendia państwowe. Gdyby zaś od polityki Zachodu naprawdę nie można niczego się spodziewać, czemużby Łobodowski chciał ten fakt osłaniać? Miejmy nadzieję, że nie doszło do tej ostateczności, gdyby jednak bankructwo polityki zachodniej wobec Europy Środkowej było faktem, interes narodowy kazałby go wyraźnie stwierdzić.

V

„Kultura”, przyjmując w zasadzie możliwość druku w kraju, największy nacisk położyła na zachowanie przez pisarzy niezależności materialnej od ogłaszania swych prac w Polsce. Nie sposób nie zgodzić się z tymi wszystkimi, którzy uważają to za najtrudniejsze do przeprowadzenia, za najbardziej złożoną praktyczną stronę sprawy.

Osobiście nie ulegam legendzie złotego deszczu jaki miałyby rzekomo spaść na autorów emigracyjnych. Honoraria, obecnie proponowane, nie zapewniłyby im na dłuższą metę minimum utrzymania, a przy następnych wydaniach oferty byłyby zapewne skromniejsze. O wiele istotniejszym względem jest prawdopodobieństwo stworzenia w taki sposób kategorii uprzywilejowanej politycznie w stosunku do pisarzy w kraju, gdyż przebywającej na koszt społeczeństwa poza trudnościami życia krajowego, a przecież w pewien sposób w nim uczestniczących.

Wydaje się jednak, że proponowane odgraniczenia od zależności materialnej mogą okazać się dosyć zawodne. Wypłata honorarium w złotych nie stanowi kamienia obrazy, gdyż wynikające stąd zmniejszenie wydatków pisarza na emigracji na paczki dla bliskich mu osób nie zajęłoby jeszcze decydującego miejsca w jego budżecie. Oczywiście sprawa byłaby postawiona ściślej i jaśniej, gdyby pojęcie honorarium w ogóle usunąć, albo z góry zasadniczo przeznaczyć je na ogólnopolskie cele kulturalne.

Sedno rzeczy w tym, że przy transakcji handlowej, jaką zawsze będzie sprzedaż książki, nie da się uniknąć powstania

tej czy innej sytuacji pieniężnej. Najczęściej słyzy się głosy, że jedyną właściwą formą byłoby dopuszczenie przez władze do sprzedaży w kraju książki emigracyjnej (to jest wydrukowanej poza krajem), choćby nawet to zezwolenie nie obejmowało wszystkich pozycji, skoro całkowite otwarcie „zapory przeciw myśleniu” nie jest dziś jeszcze prawdopodobne.

Zwolennicy takiego rozwiązania nie dostrzegają, że po pierwsze, księgarne emigracyjne nie posiadają już wielu pozycji jakich domagałby się czytelnik w kraju, po drugie — że nakłady emigracyjne nie pokryłyby zapotrzebowania. Doskonale — zawała „Orbis” — drukujemy 50.000 naszej powieści, przynajmniej pokryjemy koszta z rozpoczętego wydawnictwa pozytywnej encyklopedii! Powstaje wówczas ścisły związek rachub wydawniczych na poważny nakład z zamówieniem nadchodzącym z kraju, i z kolei wydawnictwo gotowe jest rozejrzeć się za pozycjami szczególnie nadającymi się do zwiększonych nakładów. Odpiływ dewiz z Polski jest oczywiście nieporównanie większy niż przy wypłaceniu honorarium autorowi i przerzuceniu do kraju całej technicznej strony wydania książki. Debit prowadzi do operacji handlowej, operacja handlowa stwarza związki pieniężne. I nie należy się łudzić, iż kiedykolwiek da się ich uniknąć, o ile książka dla kraju nie będzie podarkiem autora i podarkiem ze strony wydawcy. Wtedy dopiero można się skutecznie zabezpieczyć przed *wszelkim* wpływem strony finansowej.

Prywatny wydawca nie potrafi, rzecz jasna, pokryć kosztów takiego przedsięwzięcia; emigracja, wskutek chaosu organizacyjnego, nie posiada środków na najpilniejsze cele. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że przede wszystkim uporowi przedwojennych stronnictw politycznych zawdzięczamy stawanie się z dnia na dzień emigracją zarobkową, o masie zubożniałej dla codziennego działania politycznego. To więc odpada.

Zresztą postulat zakupywania zagranicą przez czynniki krajowe olbrzymich nakładów książek wydawanych zagranicą jest tak nierealny, nie licząc się z normalnym mechanizmem życia, że wprost nie ma celu go wysuwać. Wygląda on bardziej na chęć postawienia niemożliwego warunku, niż na chęć znalezienia załatwienia sprawy. Krajowy kolportaż wydawnictw emigracyjnych może dotyczyć tylko prasy, tylko periodyków, z tej prostej przyczyny, że numer czasopisma jest pracą zbiorową i musi być całkowicie zredagowany i przygotowany do sprzedaży w siedzibie wydawnictwa. Tutaj konieczność redakcyjna i techniczna narzuca formę rozpowszechnienia. Sprowadzanie zaś książki której tekst łatwo powtórzyć w krajowej drukarni, byłoby zwyczajnie złym interesem. Gdyby było dobrym, gdyby było przyjętą praktyką handlową, na całym świecie wydawcy sami przygotowywaliby przekłady i rzucali je na obcy rynek, zamiast odstępować prawo wydania tłumaczenia miejscowym firmom księgarskim.

O mrzonce masowego zakupywania książki emigracyjnej przez kolporterów krajowych (choćby nawet były to księgarne czy wydawnictwa pół-prywatne) trzeba zapomnieć. Powtarzanie

w kółko argumentu, że przecież sprowadza się do kraju pewną ilość książek francuskich i angielskich, nie ma sensu: ilu ludzi przeczyta „La chute” Camusa, a ilu będzie chciało przeczytać Gombrowicza czy Parnickiego? Gdy samochody Forda zyskują w jakimś kraju masowy zbyt, import rzeczowy zastępuje udzielenie licencji na miejscową wytwórczość danego typu. To samo odnosi się do książki. I nie warto lamentować nad działaniem zwykłego mechanizmu handlowego, skoro dopiero hurtowy zakup książki u emigracyjnego wydawcy mógłby prowadzić do powstania zależności pieniężnej od odpowiednio reżyserowanych zamówień, nadchodzących z kraju.

Czymś zupełnie innym jest domaganie się by rozsupleć i zwinięto tę sieć, która wylapuje druki zagraniczne (łącznie z polskimi) z przesyłek pocztowych. To już nie kwestia handlowa, to rzecz cenzury, uparte utrzymywanie niesławnej kurtyny, brak zaufania do własnej ideologii, słabość osłaniająca się przed podsycaaniem samodzielnego myślenia.

Pewna ilość egzemplarzy przemyka się przez oka sieci. Jeżeli jednak kilkaset egzemplarzy „Kultury” czy książki emigracyjnej dotrze do adresatów, to poza zawsze możliwymi przypadkami, jest w tym metoda selekcji, jest wprowadzanie podziału na prawomyślnych i pewnych, oraz prawomyślnych ale i niepewnych, dla których lepiej by jak najmniej zapoznawali się z odmiennym zdaniem w jakiegokolwiek sprawie. Paradoksalny doprawdy wynik: otrzymywanie egzemplarza paryskiej „Kultury” jako legitymacja lojalności partyjnej — w Warszawie! Powinna się ta farsa co rychlej skończyć i książka zagraniczna i emigracyjna posyłana rodzinie czy przyjacielom w podarunku, powinna swobodnie docierać do kraju. Byłby to wskaźnik istotnej swobody krytyki. Dziś bowiem krytyka ma ciągle jeszcze wyraźne granice i publicyści nieraz muszą się uciekać do pisma obrazkowego, zastępując fotografiami fabryk i obrazów usuwane przez cenzurę artykuły wstępne.

Samo bowiem istnienie świadomości, i to także nawet wśród autorów związanych z partią, że na emigracji są poważne i rzetelne ośrodki intelektualne i artystyczne, nie ulega wątpliwości. Gdy dawniej emigrację uważano w czambuł za obóz reakcji społecznej, teraz uderzają, zwłaszcza na tle niemądrych artykułików „Kraju”, uwagi Brandysa i Woroszylskiego, gdzie po raz pierwszy w krajowych pismach literackich zaznacza się odmienny stosunek do pisarzy emigracyjnych. Jest to szukanie platformy do dyskusji. Dyskusja byłaby pożądana: mogłaby się zacząć od spraw literackich i wzajemnego recenzowania książek, wydawanych po obu stronach nieszczęsnego przedziału, a na razie recenzowanych tylko w prasie emigracyjnej, od polemik na tematy artystyczne.

Ale znów podstawowym warunkiem umożliwienia tej rozmowy, warunkiem stworzenia „perspektywy dialogu” jest obustronne swobodny dostęp do materiału dyskusyjnego. Ten dostęp istnieje po naszej stronie. Kazimierz Brandys w artykule o Kon-

gresie PEN-Clubu, jaki odbywał się latem w Londynie, podkreśla jak dobrze środowisko literackie na emigracji poinformowane jest o tym co się dzieje w kraju, a zwłaszcza w literaturze krajowej. Brandys notuje u nas trudności w wyczuciu atmosfery życia krajowego, myślę jednak że jest z tym o wiele lepiej niż autor „Obrony Grenady” mógł to uchwycić podczas przelotnych spotkań i krótkiego pobytu w Londynie. Z pewnością pewne intuicyjne wejście w problematykę krajową dokonywa się w miarę coraz częstszych przyjazdów gości z kraju, przyjmowanych tu chętnie, życzliwie i bez uprzedzeń. Spoglądają oni na nasze półki z książkami, gdzie wzrok ich trafia na własne tomy, patrzą na nasze biurka zarzucone „Nową Kulturą”, „Przeglądem Kulturalnym”, „Życiem Literackim”, „Teatrem”, ze zdumieniem oglądają oprawne komplety „Twórczości”. I łatwo zgadnąć co myślą, porównując to ze stanem *własnej* informacji o nas.

W „Nowej Kulturze” z 7. 10. rb. Wiktor Woroszyński pisze o lekturze wrześniego numeru „Kultury” paryskiej. Charakteryzuje jej zespół:

„Nie ufają oni rządowi komunistycznemu w Polsce, boją się wpływów sowieckich, wątpią w możliwość zasadniczego zdemokratyzowania naszego modelu politycznego. Czy jednak te fragmenty ich postawy mogą decydować o postępowym lub wstępnym obliczu wymienionych pisarzy? Takie mniemanie, do niedawna rozpowszechnione, jest niczym więcej, jak jedną z obiegowych symplifikacji stalinowskiej socjologii”.

Najistotniejszą uwagą w tym ustępie jest odrzucenie jako „stalinowskich” dotychczasowych kryteriów „postępowości” stosowanych w krajowej prasie literackiej. Byłoby pożądanym aby wyłonienie się w kraju nowego kryterium było wynikiem dyskusji, odbywającej się z udziałem emigracji. Woroszyński — wyczuwa się to wyraźnie z jego artykułu — pragnąłby tę dyskusję rozpocząć nawiązując do wrześniego „Kultury”. Obawia się jednak, że pisałby o „żelaznym wilku”, gdyż „Kultura” w Polsce jest jak gdyby drukiem prywatnym. Toteż kończy w ten sposób:

„Ale na razie na tym prywatnym znaku zapytania muszę przestać. Nie śmiem wszczynać szerszej dyskusji z publicystami „Kultury”, jak długo ich interesujące czasopismo jest czytane w kraju zaledwie przez paruset ludzi, przeważnie literatów i dziennikarzy”.

Nie należy odgradzać się od tych ludzi milczeniem. Nie sposób żądać dopuszczenia do obiegu krajowego naszych czasopism i równocześnie sprzeciwiać się w kraju drukowaniu książek emigracyjnych.

Na tle tych wszystkich uwag, stanowisko zajęte przez zespół „Kultury”, wyłączające przyjmowanie honorariów dewizowych, a próbujące przedruki, wygląda na doraźnie najbezpieczniejsze rozwiązanie.

Polemika z tym poglądem podkreśla, że wydawnictwa państwowe w Polsce interesują się jedynie książkami „bezpiecznymi”. Pandora, jako przykład wymieniła „Transatlantyk” Gombrowicza. Nie ma ścisłej i uchwytnej granicy między książką „bezpieczną” i „niebezpieczną” dla systemu, który do niedawna brak jedności traktował jako zbrodnię przeciw państwu, a i dziś jeszcze ma podobne tendencje w swej partii rządzącej. Z „Transatlantykiem” zaś — nieporozumienie. Książki Gombrowicza należą właśnie do kategorii „najniebezpieczniejszych” przez to, że nicują fałszywe postawy myślowe i zaszczeplają czytelnika przed przyjmowaniem frazesu. Gombrowicz to nauczyciel *niejedności*. Skutek jego książek w kraju może być trwalszy i szerszy niż na przykład dopuszczenie broszury o Katyniu, którego prawdę, choć publicznie nie stwierdzoną i tak wszyscy w kraju znają. Nie daleko szukając, Ochaba zagabują ludzie na zebraniach robotniczych, pytając: „No, powiedzcie towarzyszku, tak między nami, jak to naprawdę było z tym Katyniem?”

W granicach tych pozycji, dla których można uzyskać publikację w kraju, emigracja może zrobić wiele dobrego i pożytecznego. Istotnie, nikt się na tym tutaj nie dorobi, jak na przykład na Bergu. A przy sprawie Bergu nie było tylu wahań i tylu kontuszowych min co przy perspektywie druku...

Granice przedruku będą zmienne. Przy trwaniu i postępie „odwilży” będą się one rozszerzać, gdyż zjawisko tego typu nie może być statyczne. Razem z tym mogą się rozszerzać ramy kontaktu z krajem poprzez przedrukowywaną literaturę emigracyjną. Jeżeli nie wszystko powie treść książki, wiele może powiedzieć jej forma. Studia informacyjno-krytyczne o literaturze zachodnio-europejskiej i amerykańskiej, antologie przekładów — są pozycjami możliwymi, a szczególnie pożądanymi. I nie chcę już więcej powtarzać zapewnień, że na przykład z ogłoszenia studium o Camusie kraj nie wyciągnie wniosku, że nigdy u nas nie ukazała się „Sprawa Józefa Mosta”, czy pamiętnik Marty Rudzkiej z wywiezienia w głąb sowieckiej Azji.

VI

Stanowisko zespołu „Kultury” rozwiązuje sprawę tylko doraźnie, gdyż na dalszą metę każe ono pisarzowi emigracyjnemu zapłacić za wszystko pracą i biedą, pracą niedostateczną dla literatury lub marnującą siły w innym zawodzie. Jest to bowiem apel do autorów emigracji, aby pracowali za darmo, czyli innymi słowy, aby pracowali tylko na marginesie innych zajęć. Łatwiej to przyjąć, jeśli idzie o rzeczy już napisane i już tutaj wydane, choć projekt równa się swoistemu emigracyjnemu upaństwowieniu własności pisarza na rzecz dotarcia tej literatury do kraju. Dobrze, cel jest istotnie ważki. Lecz co dalej? W jakich warunkach w przyszłości ma pracować pisarz emigracyjny, aby dać krajowi rzeczy istotnie wartościowe i aby współzawodniczyć

z autorem krajowym. Jasne przecież, że z chwilą gdy literatura spoza kraju okazałaby się w kraju nudna i bezbarwna, nastąpi koniec całej zabawy, likwidacja ostatniej emigracyjnej legendy.

Dotychczas piarstwo emigracyjne posiadało nad krajem przewagę wolności słowa, choć w kraju literatura mogła przeciwstawić temu atut związania z terenem i autentyczność. Jeśli autentyczność często bywała wątpliwa, w zmieniających się warunkach łatwo może się stać czynnikiem decydującym. Opowiadania Straszewicza korzystały z atutu, niedostępnego dla pisarza krajowego — aż do pojawienia się opowiadań Hłaski.

Równie szybko, przy utrzymaniu licznych i częstych wyjazdów z kraju na Zachód, może zachwiać się pewien nasz monopol informacyjny na kulturę zachodnio-europejską. Łatwo potwierdzi to przypuszczenie systematyczna lektura ostatnich zeszytów „Twórczości”, „Przeglądu Kulturalnego”, „Życia Literackiego”.

Jeżeli wolno zaryzykować twierdzenie, że emigracja mimo swych wszelkich błędów, zdobyła pozycję literacką, oparcie się na dłuższy czas na propozycji „Kultury” może się okazać gospodarką szlachetną, odważną, ale rabunkową. Związek Pisarzy winien zainteresować się przede wszystkim tym, jak ułatwić powstawanie materiału do przyszłych przedruków, zamiast zabiegać o pozory strażnika sumienia. Druk w kraju, to sygnał wzmożonej pracy dla pisarza polskiego na Zachodzie. Jeżeli emigracja nie skorzysta z tej niespodziewanie otwartej sposobności zrobienia czegoś naprawdę konkretnego (obok paczek), w myślach pisarzy będą się budzić niewesołe refleksje. I w nich tkwi istotne niebezpieczeństwo, a nie w rzekomym uzależnieniu autorów od „Czytelnika” w rzekomej i ubliżającej łatwości „kupienia ich”, jaką lekkomyślnie głoszą ludzie, z jednej strony dającej literaturze emigracyjnej lekcję moralności, z drugiej gardzącej jej wartościami, ilekroć wychodzi ona myślą poza rok 1939.

Oto w sumie „perspektywy dialogu” — od naszej strony. Nie wolno ich zlekceważyć i zmarnować. Odbywający się w kraju w początkach listopada Zjazd Związku Zawodowego Literatów w Polsce pozwoli ocenić tę samą perspektywę z drugiej strony i powrócić do tego tematu w świetle wypowiedzi pisarzy w kraju. Pod warunkiem, że do wiadomości publicznej będzie podany pełny przebieg obrad Zjazdu i że ograniczona grupa nie będzie wytwarzać pozorów iż występuje w imieniu wszystkich. Słowem, jeżeli nie zastosuje się takich metod jak na przykład londyńskie zwołanie konferencji prasowej na 23 października dla zapoznania „ze stanowiskiem pisarzy w sprawie drukowania w kraju”. Bądźmy ściśli i nie stwarzajmy pozorów: „członków Związku Pisarzy w Londynie” ale nie ogółu piarstwa emigracyjnego, w którym londyński Związek jest tylko miejscowym klubem. I także nie wszystkich obejmującym.

Zdzisław BRONCEL

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DIALOG O GRANICY POLSKO-NIEMIECKIEJ

FRYDERYK : Witaj, Bolesławie ! Drogi nasze krzyżują się wciąż, bo od kilku dni spotykam cię niemal każdego dnia w różnych towarzystwach. Nie bez pewnej zabawy słuchałem jak na różne sposoby uchylałeś się od rozmowy, ilekroć próbowano z tobą dyskutować sprawę granicy niemiecko-polskiej.

BOLESŁAW : Jak się masz, Fryderyku ! Mam nadzieję, że ty przynajmniej nie będziesz poruszał ze mną tego tematu.

FRYDERYK : Mylisz się, mój drogi. Teraz właśnie, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem w Hofgardenie, gdzie nas nikt nie słyszy, spodziewam się, że mi wyjawisz myśli, które tak starannie ukrywasz. Pamiętamy ten ogród z czasów Wittelsbachów, spotykaliśmy się w nim, kiedy był tylko błotnistym placem otoczonym ruinami, widzieliśmy w nim kilka rozdziałów zmiennej historii i mówiliśmy tu już o sprawach, które wydawały się bardziej drażliwe. Nie raz różniliśmy się w zdaniach, ale nie pamiętam, abyśmy z tego powodu unikali siebie lub zbywali milczeniem. Miałem więc wrażenie, że próbując mówić z tobą o granicy nie popełniam zbyt wielkiej niedyskrecji. Zresztą, jeżeli chcesz, możemy zmienić temat rozmowy.

BOLESŁAW : Ponieważ powołujesz się na naszą przyjaźń, nie mogę uchylić się od rozmowy. Pozwól jednak, że zacznę ją też od zadania ci pytania: dlaczego mianowicie, gdy Niemcy spotykają się z Polakami, rozmowa zbacza tak często na temat wspólnej granicy? Nic na pozór nie świadczy o tym, aby temat ten posiadał jakąkolwiek aktualność. Wojska sowieckie stoją wciąż w Dreźnie, w Wejmarze, w Erfurcie, i nic na razie nie zapowiada ich prędkiego odejścia. Minie więc być może wiele czasu zanim oba narody będą się mogły powitać przy słupach granicznych i zanim przyjdzie między nimi do swobodnej wy-

miany zdań na ten czy jakikolwiek inny temat. Zresztą obecne granice naszych krajów wytyczone zostały bez pytania o zdanie ludności przez wielkie mocarstwa, które i na przyszłość zastrzegają sobie prawo ustalania granic i linii demarkacyjnych dzielących ich strefy wpływów. Czy w tych okolicznościach dyskusja o granicy nie toczyłaby się dokoła przedmiotu urojonego, zbyt odległego od rzeczywistości?

FRYDERYK: Zgadzam się z tobą, że jest to w tej chwili dla obu stron *cura posterior*, zagadnienie mniej pilne. Nie sądzę jednak wcale, aby było to zagadnienie czysto akademickie, rozmowa na temat, jak powiadasz, urojony. Jak bowiem przyszło do obecnego podziału Europy na strefy wpływów? Ludy europejskie — w pierwszym zaś rządzie Niemcy — okazywały coraz mniejszą zdolność do pokojowego współżycia i wywołały dwie wojny powszechne, dając tym możności mocarstwom pozaeuropejskim do ingerencji w sprawy naszego kontynentu i — wobec jego słabości — podzielenia go między sobą na strefy wpływów. Nowy stan rzeczy nie jest na pewno zadawalający, zwłaszcza dla ludów Europy Środkowo-Wschodniej. Odzyskanie utraconej przez nie wolności natrafia na liczne przeszkody. Jedną z nich, być może istotniejszą niż by się mogło wydawać, jest zrodzone z doświadczeń niedawnej przeszłości podejrzenie, że przywrócenie im wolności mogłoby w krótkim czasie doprowadzić do nowych konfliktów zbrojnych, nowych zniszczeń wojennych, nowych ingerencji mocarstw pozaeuropejskich i w ostatecznym wyniku do stanu obecnego. Przesunięcie granic Polski jest najbardziej uderzającym i najbardziej być może drażniącym faktem obecnego porządku rzeczy. Przeprowadzenie dowodu, że nasze narody szczerze życzą sobie pokojowego współżycia, i że wola ich w tym kierunku jest silniejsza od wszystkich faktów dokonanych byłoby argumentem podpierającym w sposób istotny ich wspólne dążenie do wolności.

BOLESŁAW: Nie przeczę, nie przeczę. Nie widzę jednak dobrze, jak dowód taki mógłbyś przeprowadzić. O zdolności ludów do pokojowego współżycia można w sposób pewny sądzić tylko *ex eventu*. Dlatego wnioski wyciągane z niedawnej przeszłości będą miały zawsze większą siłę przekonywującą od wszystkiego co — zwłaszcza ty i ja — moglibyśmy sobie powiedzieć. Doświadczenie uczy, że słowa groźnych dyktatorów — na przykład Hitlera lub Stalina — przyjmowane są przez polityków i dyplomatów z zadziwiającą łatwowiernością, gdy zapewnienia słabszych budzą powszechny sceptycyzm.

FRYDERYK: Rzecz jest trudna, bardzo trudna nawet, ale dlaczego mielibyśmy z niej rezygnować? Kiedy przed dziesięciu laty patrzyliśmy razem na ruiny tego miasta, myśleliśmy obaj, że odbudowa jego będzie wymagała pracy kilku pokoleń, a jednak... Lecz spójrzmy na naszą rozmowę od strony bardziej praktycznej. Jest dla mnie jasne, że w tej chwili ani na Zachodzie,

ani na Wschodzie nie ma nikogo kto by szczerze dążył do zmiany *status quo*. Dzieląca Europę linia demarkacyjna, na której nacisk wojskowy i polityczny jest w tej chwili z obu stron jednakowo silny, stwarza złudzenie równowagi dającej optymizm podstawę do marzenia o trwałej koegzystencji. Jedynym państwem dążącym systematycznie do zmiany tego stanu rzeczy są Niemcy. Jako emigrant stojący na stanowisku niepodległościowym nie masz więc dziś innego sprzymierzeńca. Czy chcemy czy nie chcemy, bieg wypadków zrobił z nas mimowolnych aliantów. Pierwszym wnioskiem, jaki ta sytuacja nastreca jest, że powinniśmy starać się w myśli przynajmniej uporządkować nasze wzajemne stosunki, wyjaśnić sobie naturę i rozmiar spraw, które nas łączą i dzielą. Twoja taktyka milczenia nie pomaga temu zadanu.

BOLESŁAW: Słucham cię z największą uwagą i nie bez pewnego podziwu. W słowach twych widzę polot fantazji, która ożeniona z systematycznością stanowi istotę geniusza niemieckiego. Perspektywa zostania twoim aliantem ma w sobie pewien urok; jest w niej coś z *gefährlich leben*. W istocie bowiem nie ma dla Polski niebezpieczniejszego alianta jak Niemcy, gotowe w każdej chwili stać się aliantem Rosji za cenę nowego podziału Polski. Czy znakomita większość twych rodaków nie uważałaby powrotu do 1913 za pewnego rodzaju *happy end* historii współczesnej?

FRYDERYK: Zapewne. Zjawisko to nie jest wszakże trwałym faktem, lecz jedynie zmiennym przejawem *wishful thinking*. Na dłuższą metę inne koncepcje przyszłości mają taką samą szansę pociągnięcia za sobą marzycieli i zyskania dla siebie większości opinii.

BOLESŁAW: Widzę, że w dzisiejszej rozmowie tobie przypadła piękniejsza rola optymisty. Wróćmy jednak do tematu, od którego odbiegliśmy. Jak w czasach kongresu wiedeńskiego, wszyscy niemal są dziś zgodni w tym, że trwałą granicą jest linia, na której nacisk wojskowy i polityczny jest z obu stron jednakowy. Żaden z partnerów nie może jej własnymi siłami przesunąć, i to jest podstawą jej domniemanej trwałości. W koncepcji tej granica jest funkcją wywieranego nań z obu stron nacisku. Tak właśnie wyobrażali sobie granicę niemiecko-polską wszyscy statyści niemieccy XX wieku. Nie zawsze jednak granica taka jest trwała, zwłaszcza gdy chodzi o kraje różnej wielkości i siły. Nie cofając się daleko wstecz, za naszej pamięci mieliśmy kolejno pięć różnych granic. Była więc zrazu granica Królestwa Kongresowego, która utrzymała się niemal sto lat. Po klęsce wojennej Rosji nacisk niemiecki zwiększył się i 5 lipca 1918 Ludendorff wysunął jako propozycję niemiecką okrojenie dawnego Królestwa Kongresowego i włączenie do Rzeszy polskich powiatów pogranicznych. Klęska Niemiec przeskodziła wykonaniu tego projektu. W 1919 zwyciężyła na krótki czas

myśl podziału Europy środkowo-wschodniej na obszary językowo-etnograficzne. W wyniku tej nowej koncepcji powstała granica 1919-1939. Republika Weimarska nie uznawała jej jednak, odzrucając koncepcję etnograficzną granic. W 1939 Führer powrócił do poprawionego przez siebie projektu Ludendorffa, a w miarę zwycięstw włączył całą Generalną Gubernię do *Lebensraumu* niemieckiego. Napór zwycięskiej armii sowieckiej przeniósł wreszcie granicę na Odrę i Nysę. Z tych doświadczeń Polacy wynieśli przekonanie, o którym być może niechętnie mówią, że wobec nierówności sił żadna granica — ani obecna, ani nawet zaprojektowana przez Ludendorffa — nie da się na dłuższą metę utrzymać inaczej jak przy pomocy nacisku na nią bagnetów rosyjskich. Widzisz więc, kochany Fryderyku, że miałem pewną rację unikając tej rozmowy. Pojęta bowiem jako funkcja nacisku politycznego granica nie jest żadnym tematem rozmowy. Wystarczy stwierdzić z manometrem w rękę, że ciśnienie po obu jej stronach jest jednakowe, aby uznać ją za doskonałą.

FRYDERYK: Domyślam się z twych słów, że oczekujesz teraz ode mnie apologii granic etnograficznych. Pozwól mi jednak być z kolei sceptykiem. Doświadczenia międzywojenne nie są być może jednoznaczne, nie przemawiają jednak wyraźnie za taką koncepcją. Zwycięskie mocarstwa wzięły ją w 1919 za podstawę nowego porządku w Europie środkowo-wschodniej, ale nie zdradziły potem żadnej ochoty do bronięcia tego porządku. Jak się to stało? *Le principe de nationalité* wysuwano wprawdzie przy różnych okazjach i przedtem, ale dopiero okres międzywojenny pozwolił ocenić jego przydatność jako zasady porządkowej dla tej części naszego kontynentu. Eksperyment nie okazał się przekonywujący. Przede wszystkim okazało się, że Europy środkowo-wschodniej, z jej szachownicą języków, wyznań i tradycji, nie można żadną miarą podzielić na terytoria o jednolitej ludności. W każdym kraju znalazła się większość pretendująca do wyłącznego wykonywania władzy i mniejszości traktowane jako obywatele drugiej klasy. Monarchowie odstępowali sobie niegdyś całe prowincje bez większych skutków dla ich mieszkańców. Ci ostatni musieli parę razy do roku wznosić krótką modlitwę za nowego suwerena, ale ich życie prywatne nie ulegało stąd większym zmianom. W naszych czasach przesunięcie granicy stało się dla mieszkańców sprawą o nieobliczalnych następstwach. Od tego zależy dziś, w jakim języku będą się uczyły ich dzieci, czy będzie im przysługiwało prawo pracy na równi z innymi obywatelami, czy będą zamożni czy ubodzy i wiele innych istotnych warunków egzystencji. Od kiedy zdanie większości stało się zarazem prawem i prawdą, nietolerancja wobec mniejszości, znajdując w tej koncepcji nowe oparcie, podniosła się do godności instytucji państwowej, od której poszkodowani nie mają się do kogo odwołać. Przez kilkanaście lat nad całą Europą wschodnią wznosił się nieustanny lament mniejszości narodowych. Słuchający ze strony tego chóru skarg i żorzeń musieli sobie zada-

wać pytanie: czy ten niedoskonały porządek odpowiada intencjom, w jakich został wprowadzony, i czy warto go bronić? Przypuszczam, że dopóki te doświadczenia nie znikną z pamięci żyjących, koncepcja etnograficzna granic nie odzyska łatwo swej popularności z 1919.

BOLESŁAW: Upraszczaś być może zbyt tę sprawę, Fryderyku, w twych słowach jest jednak wiele słuszności. Przyznaj teraz, że dzisiejsza rozmowa nie zaprowadziła nas daleko. Mówimy już całą godzinę i nie potrafiliśmy nawet dojść do istotnej różnicy zdań.

FRYDERYK: Zbyt wiele mówiliśmy o przeszłości, która przywiódła nas na to bezdroże. Aby zeń znaleźć wyjście, musielibyśmy zwrócić myśli nasze ku przyszłości, mówić o granicach, które nie dzielą lecz łączą.

BOLESŁAW: Spróbujemy tej metody przy następnym spotkaniu.

FRYDERYK: Zatem do następnego spotkania. Bądź zdrów, Bolesławie!

BOLESŁAW: Bądź zdrów, Fryderyku!

IDEA JAGIELLOŃSKA

Tragedia polska Laeuea (*) następcza czytelnikowi tyle refleksji, że trzeba by w miarę czytania prowadzić ich dziennik, aby móc je z gruba przynajmniej uporządkować. Po paru miesiącach dopiero oswoiłem się z jej treścią i przypuszczam, że podobne doświadczenia musieli zrobić i inni polscy czytelnicy. Tym też tłumaczę sobie dlaczego nie omawiano jej dotąd w prasie emigracyjnej.

Tytuł luźno tylko przystaje do treści książki traktującej o historii Polski jagiellońskiej i pozostałych po niej tradycjach. Na obszerny tam składa się siedem rozdziałów zatytułowanych: *Idea jagiellońska*, *wspólnota szlachecka*, „przedmurze”, *rozkład państwa*, *mesjanizm*, *nowa Polska* i *koniec idei jagiellońskiej*. Na przykładzie Polski — jak zaznacza przedmowa — autor podejmuje krytykę państwa nowożytnego i próbuje oświetlić zagadnienie wolności.

Harald Laeuen zna dobrze literaturę polską, zarówno ogólną jak dotyczącą jego przedmiotu. Nie powołuje się wprawdzie nigdzie na Aleksandra Rembowskiego, który w rozważaniach historycznych byłby mu najbliższy myślą, ale Rembowskiego

(*) Harald Laeuen. *Polnische Tragödie*. 1955. Steingrueben Verl., Stuttgart. Str. 359 i mapa.

znano mało i w Polsce. Znajomość literatury uzupełnia własną znajomością kraju i ludzi. Z aspektem tragicznym losu tej części Europy łączą go zapewne przeżycia osobiste, jak wnosić można z dedykacji poświęcającej książkę pamięci rodziców, którzy „zginęli w katastrofie ich pomorskiej ojczyzny”. Książka jego nie powstała jedynie z zainteresowań badacza przeszłości; stąd jej szeroki oddech i wielostronność perspektyw.

Harald Laeuen nie jest historykiem rozważającym dokumenty i usiłującym odtworzyć z nich obraz przeszłości i pojęcia minionych stuleci. Jego książkę zaliczyłbym raczej do działu tak zwanej filozofii historii. Posługując się bogatym materiałem, przy pomocy niezliczonych porównań i zbliżeń, autor ustawia znane fakty w nowym porządku, rewidując po drodze sądy historyków polskich i niemieckich. W najlepszym stylu niemieckiego essayu, książka jego łączy metodyczność z wyobraźnią. Czytelnika polskiego zastanowi być może wysokie pojęcie autora o uprawnieniach myśli.



Moi rówieśnicy, ilekroć przychodzili do wniosku, że na naszych kresach dzieje się źle, zaczęli mówić o idei jagiellońskiej. Była to magiczna formuła pozwalająca pokonać wszystkie trudności wynikające z obecności na obszarze Rzplitej tylu Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Formuły magiczne działają jednak, jak wiadomo, tylko wówczas, gdy wymawiane są dokładnie, bez przeinaczenia jednego słowa, bez opuszczenia jednej litery. Nikt zaś nie pamiętał dobrze jej tekstu, ani nie zdawał sobie nawet sprawy z jego rozciągłości. Niektórzy przeczuwali niejasno, że powrót do idei jagiellońskiej należałoby zacząć od przyjęcia do herbu najbliższego kierownika ukraińskiej torhowli lub litewskiego nauczyciela, nic jednak nie przygotowywało ich do tak niezwykłych posunięć. Ktokolwiek się nad tym dłużej zastanawiał, wiedział, że idea jagiellońska znikła z obiegu, że nie ma jej ani w pamięci ani w obyczajach żyjących.

Dziś, kiedy powrót Polski do granic i zagadnień piastowskich odebrał tym wspomnieniom wszelką na pozór aktualność, idea jagiellońska, wyzwolona z doraźnych użyteczności, oplotkana z kłesk, tragicznie piękna wraca do nas w postaci niemieckiej książki. Jak powrót jej zostanie przyjęty? Czy żywi odżegnywać się będą od niej jak od upiora, źródła zgryzoty i żalu? Czy też, nie poznana przez nikogo, błędzić będzie przez parę lat jak duch po półkach księgarskich, zanim zniknie na zawsze wśród rekwizytów przeszłości?



Harald Laeuen bada ideę jagiellońską w jej najróżnorodniejszych aspektach, przy czym trzonem jego rozważań pozostaje

staje przeciwstawność systemu polskiego i współczesnych systemów politycznych zachodnich, zaczynając od zakonu krzyżowego.

„Ten kolonialny twór racjonalistycznej sztuki rządzenia — pisze Laeuen — przeciwstawia się jaskrawo istotnym rysom ludów wschodnich. Członkowie rycersko-religijnej wspólnoty rezygnują z wolności osobistej i przywilejów urodzenia, poddając się surowej dyscyplinie zakonu; łączy ich wspólna służba wysokiemu ideałowi, dla którego zdobywają władzę i gromadzą bogactwa. Ludy słowiańskie i bałtyckie natomiast żyją w związkach plemiennych; ich wspólnota duchowa nie znajduje wyrazu w instytucjach, lecz w bliskości stosunku człowieka do człowieka, określającego stopień wolności i zależności wzajemnej”.

Autor podkreśla wschodnio-europejską oryginalność wspólnoty jagiellońskiej, obejmującej obszar zamieszkały przez Polaków, Litwinów, Rusinów, Białorusinów, Wielkorusów, Niemców, Tatarów, Ormian, Wołochów, Żydów i Cyganów. „Bez rozszerzenia się na obszary wschodnie, Polska uległaby zapewne germanizacji w tym samym stopniu co Czechy i nie wytworzyłaby swej osobliwej formy państwa, której wartość polega na możliwości współżycia w niej różnych narodowości”. Brak głębszych różnic kulturalnych ułatwia jego zdaniem wzajemne zbliżenie się Polaków i ich sąsiadów wschodnich. „Ze strony polskiej brak jakichkolwiek prób zmiany instytucji i stosunków istniejących na obszarach wschodnich, w przeciwieństwie do tego co widzimy na terenach kolonizacji niemieckiej na wschód od Łaby”. Temu stanowi rzeczy odpowiadają tezy, których broni na koncylium w Konstanz przeciw zakonowi krzyżowemu rektor uniwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowicz, wywodząc z różnorodności kreacji boskiej prawo wszystkich ludów do wolności.

Ograniczenie władzy królewskiej i wzrost prerogatyw szlachty w czasach Jagiellonów są dla autora ściśle związane z ekspansją terytorialną Rzplitej. „Niektórzy historycy polscy nie szczędzą Kazimierzowi Jagiellończykowi wyrzutów za jego ustępstwa na rzecz stanów. Prerogatywy szlachty są wszakże w najściślejszym związku z wzrostem terytorialnym Rzplitej jagiellońskiej. Bez nich nie byłoby związku jaszczurczego ani związku miast pruskich, opowiadających się po stronie polskiej przeciw Zakonowi. Zwycięstwo nad niemieckim zakonem krzyżowym było jednocześnie zwycięstwem nad absolutyzmem państwa. Ostateczne pokonanie zakonu, zapoczątkowane pod Grunwaldem, udaje się dopiero Kazimierzowi”.

Znaczna część wywodów autora poświęcona jest przyciągającej sile wolności wynikłej z ograniczenia władzy centralnej. „Stare rody ruskie, nawet po przejściu na katolicyzm, pozostają wierne obyczajom i tradycjom wschodnim. Ich polskość dotyczy raczej formy niż treści, lecz ta luźna forma posiada w sobie tajemniczą siłę”. Solidarność i spistość wewnętrzna warstwy szlacheckiej sprawia, iż interesy regionalne nie zagrażają całości Rzplitej. „Historycy wierzący ślepo w dobroczynność silnej wła-

dzy — pisze Laeuen — nie zwracają dostatecznej uwagi na te okoliczności... Mówi się często o „anarchii” jako rysie charakterystycznym historii polskiej; często jest to wszystko co przeciętny Europejczyk wie o dawnej Rzplitej. Rozumiejący w kategoriach siły powinnyby jednak zadać sobie pytanie, w jaki sposób rozległe państwo jagiellońskie mogło w ogóle powstać. Być może zadowoliliby ich wyjaśnienie, że, stworzone przez „potężnych władców”, państwo to rozpadło się pod wpływem anarchii. Tłumaczenie takie chyba w tym wypadku celu, bo państwo jagiellońskie osiągnęło mniej więcej granice swego rozwoju terytorialnego już przed powstaniem państw narodowych na Zachodzie. Gdy dla Zachodu nadszedł czas odkryć i podbojów, budowa państwa jagiellońskiego była już zakończona. Historia myśli polskiej nie zna teorii prawnych i praktyk kolonialnych opartych na niższości innych ludów, podobnych do tych, jakich bronili niegdys neoscholastycy hiszpańscy. W Polsce brakło do tego przesłanek. Dawna Rzplita wciągnęła w swą orbitę wiele krajów, lecz nie stworzyła w nich żadnego systemu wyzysku. Jej ekspansja terytorialna posuwała się równolegle do rozwoju swobód szlacheckich”. I w innym miejscu pisze: „Prawo polskie szerzyło się zwycięsko na Wschodzie, broniąc tam przez długi czas jagiellońskiego stanu posiadania skuteczniej niż wojsko”.

Laeuen zwraca wreszcie uwagę na to, że nawet w czasach najgłębszego upadku Rzplitej sława jej wolności utrzymuje się wciąż w krajach sąsiednich. W 1732 na przykład szlachta kurlandzka postanowiła zwrócić się do sejmu polskiego proponując przyłączenie Kurlandii do Rzplitej. Jedynie groźby carycy przeszkodziły wykonaniu tego projektu. „Lecz nie tylko szlachtę krajów sąsiedzkich, co byłoby zrozumiałe, pociągają polskie stosunki. Opłakanemu zaniedbaniu spraw publicznych towarzyszyć musiała opieszłość w nadzorowaniu pracy pańszczyźnianej. Niewola chłopów polskiego wydawała się łagodna w porównaniu z innymi krajami. Najlepszym tego dowodem jest zjawisko stałych ucieczek chłopów z krajów sąsiednich do republiki szlacheckiej. W majątkach polskich, o ile nie kwaterowały w nich wojska nieprzyjacielskie, nie było wyzysku podatkowego, poboru rekruta i rekwizycji wojskowych. Całymi wsiami chłopci uciekali przez granicę, zachęceni opowiadaniem o swobodniejszym życiu w Polsce. Huzarzy Fryderyka Wielkiego, nie zważając na neutralność Rzplitej, robili wypadki na jej terytorium w celu przymusowej repatriacji tysięcy chłopów zbiegłych z monarchii pruskiej. Ekstradycje uchodźców z Rosji były przez kilkadziesiąt lat stałym przedmiotem pertraktacji między obu rządami. Nie chodziło tu o drobniaki, bo w połowie XVIII wieku, według szacunków współczesnych, w Polsce miało się znajdować koło miliona uchodźców, co na owe czasy było liczbą ogromną... Bezsilna Rzplita posiadała wciąż jeszcze zalety, jakich brakło monarchiom wojskowym”.

Przytoczyłem tu kilka próbek dróg, jakimi chodzi myśl Laeueua. Widać z nich, że książka jego jest apologią dawnej Rzplitej. Autor widzi w niej jeden z najważniejszych wzorów organizacji wolności i współżycia, odmienny od wzorów zachodnich opartych na sile władzy wykonawczej i — gdy chodzi o stosunki międzynarodowe — na równowadze sił. Idee zrodzone z rewolucji francuskiej nie zastąpiły jego zdaniem zgubionego w okresie rozbiorów Polski wzoru jagiellońskiego. W rozbiorach tych Laeuen widzi zadatek późniejszych klęsk i rebarbaryzacji Europy.

Wolność szlachecka wytworzyła pewien typ umysłowości i obyczajów, który przetrwał upadek Rzplitej. Część swej książki autor poświęca śladom pojęć i obyczajów jagiellońskich u Polaków w czasach porozbiorowych. W ostatnich wreszcie rozdziałach omawia zmierzch pojęć i skali wartości jagiellońskich u historyków i statystów polskich przyjmujących stopniowo — zarówno w ocenie przeszłości jak terażniejszości — kryteria niemieckie.

Celem niniejszej notatki jest tylko zwrócenie uwagi na książkę Laeueua tym, którzy jej dotąd nie znają. Oswojenie się z nią, jak pisałem, wymaga dłuższego czasu. Na razie nikt zapewne bez zbytnich uproszczeń nie potrafi oddać tumultu refleksji, jaki książka ta wywołuje u czytelnika polskiego. Sam zresztą fakt zgłoszenia się Niemców do spadku duchowego po Rzplitej jagiellońskiej otwiera perspektywy, których w tej chwili nie podobna ocenić.

Paweł HOSTOWIEC

**LEKARSTWA
MATERIAŁY
ŻYWNOŚĆ
NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyslesz przez**

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England
Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Próba porozumienia

Przykład pierwszy

Francuska trupa aktorska pod nazwą Théâtre du Sud, obsługująca Prowansję, postanowiła uczcić dwudziestolecie śmierci wielkiego hiszpańskiego poety Frederico Garcia Lorca. Ponieważ poeta ten posługiwał się często motywami wziętymi z cygańskiego folkloru, zapadło postanowienie, żeby jego wiersze zanieść tym których kochał, to jest cyganom. W sierpniu 1956 roku aktorzy przyjechali do miasteczka Les Saintes Maries-de-la-Mer, na pustynnych piaskach nad Morzem Śródziemnym, największego skupiska cyganów we Francji, z programem recytacji i muzyki. Przedstawienie urządzili pod otwartym niebem. Głównym elementem dekoracji była noc i wielki księżyc. Publiczność stawiła się tłumnie. Na muzykę gitary zareagowała cmokaniem zachwytu. Pieśni „flamenco” doprowadziły ją do uniesienia graniczącego z szałem. Natomiast wiersze, między innymi słynny cykl „Romançero gitano”, przyjmowała początkowo obojętnie, następnie z milczącą wrogością, wreszcie zaczęła gwizdać, ryczeć, obrzucać wykonawców wyzwiskami i wieczór skończył się kłębieniem, szamotaniem, wielką gombrowiczowską kupą. Byłoby chyba błędem wyciągać stąd wniosek, że cyganom obce są potrzeby estetyczne. Po prostu ta poezja przychodziła do nich z zupełnie im nieznanego kulturalnego kręgu, pomiędzy nimi i autorem, który przecie ich pieśń i poezję rozumiał, wznosił się mur. Spontaniczność z jaką wyrażali swoje uczucia, zupełnie nie troszcząc się o „wypada” albo „nie wypada”, zasługuje właściwie na sympatię, podobnie jak beztroska moskiewskich żulików, którzy z galerii doradzają czarnemu Otello, kiedy włazi za kotarę żeby dusić Desdemonę, co powinien robić z kobietą.

Przykład drugi

Jako młody student zdołałem (bo bilety były drogie) wśliznąć się przed wojną w Paryżu na wieczór Pawła Valéry. Twarz

jego łączyła w sobie cechy „vieux Français”, tak jak się go sobie wyobraża, i cechy smutnej, inteligentnej małpki. Czytał jeden ze swoich esseyów które następnie stanęły na półkach każdej szanującej się biblioteki obok tomów Corneille'a i Racine'a. Na sali przeważały futra i szyje z perłami. Co pewien czas jakieś błyskotliwe sformułowanie powodowało wśród publiczności szmerek „wostorgu” (rosyjskie słowo lepiej tutaj pasuje). Oczywiście czekano na to sformułowanie, już z góry wiadziano, że zbliża się moment, kiedy będzie się uprawnionym do złożenia dowodu własnej wrażliwości intelektualnej (warto byłoby przeprowadzić socjologiczną analizę zjawiska *pointe'y*). Następnie odbyły się recytacje wierszy Pawła Valéry, jak zwykle u francuskich aktorów z retorycznym zaśpiewem, i znów przymykanie oczu, poruszenie, oklaski.

Lekcja jaka układała się w moim umyśle była dość cyniczna. Valéry potrzebował pieniędzy, miał jako atut wielkie nazwisko które wypełniało sale i pozwalało zebrany na wzruszenia *zagarantowane*, bez obawy popełnienia towarzyskiego *faux pas*. Korzystał z tego, jak się obcina kupony od kapitału zebranego ciężką pracą. Przyjmował podział: z jednej strony jego biurko, jego samotnia, jego laboratorium i dwóch-trzech przyjaciół, z drugiej pewna kulturalna społeczność poddana dziwnym prądom, przyptywom i odpływowom mody, snobizmu, nie oceniająca myśli, obrazu, dźwięku dla nich samych, ale dlatego, że to Valéry. U początku sławy było kilku ludzi którzy naprawdę ocenili jego wartość, u drugiego końca jakiś student, który bierze książkę, mówiąc sobie: „trzeba to przeczytać, to Valéry”, i odnajduje w niej coś sobie istotnie bliskiego, cennego, co wpływa na jego życie. Pośrodku mglista magma, książki pośpiesznie rozcinane na godzinę przed przyjęciem, żeby wykazać, że jest się „à la page” i mieć temat do towarzyskiej rozmowy. I w jakim sensie istnienie tej magmy, w gruncie rzeczy obojętnej, kształtuje twórczość, jak ją uboży, kaleczy, wzmacnia, to wielkie pytanie.

Przykład trzeci

W Warszawie pod okupacją niemiecką odbywało się wiele wieczorów recytacji i występów autorskich. Ich mechanizm psychologiczny nigdy nie był badany. Zainteresowania kulturalne były bardzo żywe i zdarzało się widzieć w tramwaju chłopca w robotniczym kombinezonie czytającego Platona. Najbardziej chyba jednak jest ważny sposób reagowania słuchaczy kiedy znaleźli się razem, a więc wrażliwość zbiorowa. Była to wrażliwość na akcenty aktualno-patriotyczne, tak, że oczekiwano na frazę, na obraz zaczerpnięty z ponurej rzeczywistości dobrze znanej, ale która, ponieważ ujęta w słowach, zostawała niejako wywyższona, podniesiona do potęgi. Inaczej mówiąc, takie zebrania miały w sobie coś z obrzędu utwierdzania się w istnieniu.

Teoria, że poeta musi być przede wszystkim wyrazicielem porywów zbiorowości byłaby słuszna, gdyby nie podgryzała jej niejasne zwątpienie, poczucie fałszu. Gdyż świadomość piszącego może być znacznie bardziej skomplikowana niż „nurt” momentu ale ulega on terrorowi świętej sprawy, redukując to skomplikowanie którego się wstydzi. Albo też jego próby sięgnięcia po dystans, po perspektywę nie będą w temperaturze obrzędu w ogóle zauważone i nawet ironia zostanie przyjęta jako oczekiwany patos. W takich warunkach nie ma na przykład miejsca na świadomość, że cały ten klimat oznaczał powrót, pod wpływem okoliczności, do dość fantastycznego nacjonalizmu i mesjanizmu z ubiegłego wieku. Warto przypomnieć jeden z wieczorów autorskich Janusza Minkiewicza. Ponieważ ten poeta satyryczny miał obsesję gorszenia i pokazywania języka (co ostentacyjnie jest wysiłkiem zdobycia wolności od nacisku otoczenia), czytał wiersze wyjątkowo cyniczne, o mniej sławnej stronie życia miasta, jak mi się zdaje głównie o ciuchach, szmalcownikach, stosunku do Żydów itd., czym doprowadził prawie do skandalu, bo nie dał żadnej okazji do wysokich a choćby lirycznych wzruszeń.

Przykład czwarty

Ostatnią imprezą w jakiej brałem udział w Polsce był poranek autorski w Teatrze Narodowym. Był to okres jak największego już „mrozu”. Sala pełna, twarze bardzo młode, głównie ZMP. Na podium za stołem siedziało nas coś dwunastu, poetów i prozaików. Każdy kolejno podchodził do pulpitu, czytał jeden wiersz albo kawałek prozy i publiczność reagowała w sposób zdumiewający swoją matematyczną precyzją: czuło się jej uwagę skoncentrowaną na dojrzeniu chwili, kiedy rozlegnie się zdanie zawierające polityczny wniosek albo slogan. Wtedy huczała brawem, niezawodnie, jak na znak niewidzialnej pałeczki. Broniewski był oczywiście bez pudła. Ważyk czytał wiersz o Coca-cola, z którego wynikało, że napój ten jest czymś w rodzaju alkoholu, kokainy i morfiny (we mnie, amatorze Coca-cola, utwór ten nie wywoływał czemuś niechęci do autora, bo wykazywał pewną czystość roboty na zimno, zgodnej z celem). Nie było mi jednak do humoru. Miałem w sobie straszną nienawiść człowieka poniżonego w tym, co jest dla niego najcenniejsze, biorącego udział w zbiorowym *sacrificium intellectus*, czyli ogłupianiu się na raz, dwa, trzy. I być może jednym z głównych powodów tego poniżenia była dziecinna łatwość z jaką manewruje się podobną salą. Wszystkie efekty są z góry obliczone, sztuka sprowadza się do psychotechniki. Obliczyłem i za jedynie stosowny uznałem swój przekład wiersza Vachel Lindsay'a „Szymon Legree”. Lindsay napisał go jakieś pięćdziesiąt lat temu, tematem jest śmierć jednej z postaci „Chaty wuja Toma”, nikczemnego właściciela niewolników (idzie do piekła, siedzą

tam z diabłem, nudzą się i grają w kości). Psychotechniczna zaleta pierwsza: Legree to Amerykanin, Amerykanie męczą Murzynów. Psychotechniczna zaleta druga: idzie do piekła, stąd wnioszek, że wszyscy kapitaliści pójdą do piekła. Psychotechniczna zaleta trzecia: ludowa rubasznosc opisu. Obliczenie moje było trafne. Wielkie brawa. Powstaje tu kwestia zmiany utworu na takiej sali w coś *zupełnie innego*, niż był w chwili napisania, pomijając oczywiście te, które powstały z zamiarem, na zimno (choć i tu rzecz nie jest prosta, bo prawie nie ma ody zupełnie „na zimno”). Broniewski mógł swoje proletariackie wiersze pisać przed wojną krwią i łzami, tutaj traciły wartość, bo znikł pierwotny opór który je powołał do życia. Vachel Lindsay (i jego tłumacz) miał pewne doznanie humanitarno-estetyczne polegające na identyfikacji z naiwnym spojrzeniem na świat murzyńskiego pieśniarza (wiersz naśladuje murzyński folklor). Tutaj nabierał charakteru zwykłej agitki, liczyła się jego „treść”, zresztą inaczej pojęta.

Zamiast wniosku

Wymienione przykłady wskazują, że poezja albo nie trafia do zbiorowego odbiorcy, albo trafia dzięki „wehikułom” (snobizm, uniesienia narodowe, indoktrynacja) mało mających wspólnego z jej istotą. Jest tu sprzeczność, którą należy uznać, bo „wehikuly” są czymś bardzo starym i do nich należy na przykład więź religijna (cała poezja sakralna) czy miejsce teatru w epoce Szekspira, to samo, jakie zajmuje dzisiaj awanturniczy film (z tym, że widzowie elżbietańskiego teatru mieli znacznie wyższą kulturę myśli i słowa niż dzisiejsi widzowie filmu). Nie chodzi więc o wydzielenie jakiejś nieuchwytniej esencji w poezji, bo ta nie może istnieć bez przestrzeni społecznej. Wystarczy stwierdzić, że „wehikuly” bywają lepsze i gorsze a poza tym, że w rozwoju historycznym ulegają zmianie. Dzisiaj na ogół nie lubi się poezji, zapewne dlatego, że odczuwa się ją jako coś dziecinnego, zanadto związanego z takimi obrzędami zbiorowymi, których mechanizm został *zobaczony*, a więc skuteczność jego maleje. Potrzeba autentycznej łączności z ludźmi podgryza instytucję snobizmu, zresztą dość jeszcze krzepką. W uniesienia narodowe i doktrynalne wkłada się element względności. Cały kryzys w ocenie na przykład polskiej poezji XX wieku polega jakby na wzruszeniu ramion: cóż po dźwięcznych czy obrazowych liryzmach, cóż po mistrzostwie języka, jeżeli wiedza o świecie tam zawarta jest za mało ostra na nasz gust, jeżeli *prywatnie* uważamy siebie za świadomość wyższą od poety i umiemy spojrzeć na jego dzieło jako na obiekt historyczny, zdeterminowany przez mody i prądy momentu. Czyli że powstaje jakaś niejasna potrzeba dźwięgnięcia się na wyższy szczebel, być może potrzeba odnalezienia nowego „wehikułu” i kto wie, czy nie będzie nim

intelektualna i dość trudna penetracja świata. Może to brzmi za-
wile, ale postaram się o ilustracje.

Z tym wszystkim nadal uznajemy słuszność zdań, jakie napisał o poezji Shelley. „Jej lekkie jarzmo jednoczy wszystkie niezgodne z sobą rzeczy”. „Jej tajemnicza alchemia zamienia w złoto trujące wody które płyną ze śmierci w życie”. „Zdziera zasłonę codzienności ze świata i obnaża nagą, śpiącą piękność, duszę jego form”. „Pokonuje przekleństwo, ciężące na nas, podanych przypadkowi wrażeń”. „Stwarza nową istotę wewnątrz naszej istoty. Czyni nas mieszkańcami świata w porównaniu z którym nasz codzienny świat jest chaosem”. „Buduje na nowo wszechświat unicestwiony w naszych umysłach przez powtarzalność i przyzwyczajenie”.

Dygresja

Język angielski jest par excellence językiem poezji i znajomość jego jest potrzebna dla poety. W tej ocenie zawiera się różnica pokoleń. Pewne pokolenie literackie łączyło z Anglosasami polityczne nadzieje, po to żeby się rozczarować i nawet niekiedy ze złości nigdy nie nauczyć się angielskiego. Wielu ludzi z mego pokolenia za rzecz bardziej zgodną z realistyczną oceną sytuacji uważało naukę języka rosyjskiego. Do angielszczyzny w latach wojny popchnęły ich raczej zainteresowania zawodowe. Zastrzyk rosyjski miał w ciągu kilku ostatnich dziesiątków lat szkodliwy wpływ na polską poezję, bo wzmacniał jej dziewiętnastowieczne przywiązania a odcinał od Renesansu i Baroku a także od XX wieku. Jedyne ferment nowatorski, tak konieczny dla wymiany pomysłów i idei pomiędzy krajami, przenikał z Francji. Jestem jak najdalej od myśli, że tyle poezji polskiej, ile zagranicznych wpływów. Żadna jednak literatura nie rozwija się w izolacji a nauka takich a nie innych języków obcych w danym okresie (system szkolnictwa) wywiera, zwłaszcza na poezję, wpływ mniej więcej uchwytyny. „Pan Tadeusz” powstał w kręgu łaciny (którą Mickiewicz znał tak dobrze), również w kręgu przekładów Dmochowskiego, a podobno jednym z bodźców był Goethe z jego „Hermanem i Doroteą”. Więdnienie kultury klasycznej w szkołach zostawiło ostatnie pokolenia z francuskim względnie niemieckim i rosyjskim jako instrumentami kontaktu. Francuski charakter literackich polemik w Polsce nie ulega chyba wątpliwości. Jednakże na ostatnie dziesiątki lat przypada stopniowy rozkład francuskiego stylu, symptomy tego są liczne i trudno się nad nimi tutaj zatrzymywać. Dość powiedzieć, że osłabia to pozycję francuskiej książki zagranicą, jako trudno na ogół przetłumaczalnej, ze względu na szczególną „préciosité” języka.

Sceną prawdziwych borykań się poety z problematyką współczesną stały się kraje o najbardziej zaawansowanej cywilizacji

technicznej, a więc kraje anglosaskie. Całkowicie można tutaj uznać marksistowską krytykę, która widzi w poezji tych krajów objawy dekadencji, jeżeli przez dekadencję będziemy rozumieć brak takiej łączności z odbiorcą, jaką miał Szekspir z publicznością teatru „Globe”. Trzeba jednak równocześnie zauważyć, że inna poezja niż w tym sensie „dekadencka” nigdzie dzisiaj nie istnieje. Rosjanie użyli doktrynalno-narodowego „wehikułu” ale zapłacili wysoką cenę, niszcząc swoją poezję i cofając ją do poziomu najwyższej scenek rodzajowych w gatunku malarstwa Millet’a. Prawie wszystko w ich orbicie nosi to samo piętno i trudno tu coś prorokować, opierając się na fakcie, że przenikliwi poeci w „demokracjach ludowych” doskonale ten impas rozumieją. Poza tym nasi koledzy w Polsce popełniliby błąd, gdyby wrzucali całą poezję krajów kapitalistycznych do jednego worka dekadencji, wyłączając tylko autorów mających dobrą polityczną notę, bo wielu takich autorów tkwi głęboko w rozkładowych procesach ich rodzinnej mowy, natomiast wielu autorów ze złą polityczną notą pracuje nad wzmocnieniem siły ekspresji.

Jako miłośnik Francji mogę ubolewać, obserwując jak wyższa cywilizacja techniczna na przykład Ameryki dostarcza ostrzejszych bodźców poecie, jak go prowokuje, choć równocześnie, wskutek swojej anty-intelektualnej i anty-filozoficznej struktury, izoluje i nie uznaje. Nieraz wyrzucam sobie, że nie zajmuję się dostatecznie poezją francuską, w dziedzinie której jest mnóstwo do zrobienia, bo w najlepszych swoich osiągnięciach XX wieku jest czytelnikowi polskiemu prawie nieznaną. Teraz jednak szukam przede wszystkim starć poety ze współczesnością, jego wysiłków, żeby odnaleźć nowy „wehikuł” a więc żeby połączyć się z odbiorcą we wspólnej samowiedzy, we wspólnym badaniu zmienionej sytuacji człowieka. Taka jest obrona moich zainteresowań dla poezji w języku angielskim.

Wiersz o wierszu

Amerykański poeta Wallace Stevens, rówieśnik Leopolda Staffa, przez całe prawie swoje życie był znany tylko małym grupkom fanatyków „awangardy”, co wskazuje na miejsce literatury w jego kraju, tak odmienne od miejsca jakie literatura zajmuje w Polsce, i nie tylko po drugiej wojnie światowej. Jego dzieło nie znajdzie uznania u zwolenników tezy, że poezja jest rodzajem nieokreślonego tchnienia, że jest wieczna, że właściwie nie podlega zmianom. Być może zwolenników takiej tezy jest już dzisiaj niewiele, ale trwa mocno zakorzenione przekonanie, że istnieją pewne jednorodne wskaźniki piękna, a co im nie odpowiada, ma się tak jak muzyka nowoczesna do Mozarta. Nie znam daty powstania wiersza Stevensa „O nowoczesnej poezji”. Jest to utwór przeraźliwie suchy, powściągliwy, intelektualny, ale zasługuje na uwagę, choćby dlatego, że w ze-

stawieniu z nim niektóre bitwy literackie w Polsce nabierają wyrazu (zwłaszcza przedwojenna awangarda krakowska). Były one ograniczone raczej do zagadnień formy. Tutaj chodzi o próbę inną, o zbadanie na czym może polegać więź między poetą i publicznością. Byk izolacji artysty jest tu wzięty za rogi.

O NOWOCZESNEJ POEZJI

*Poemat umysłu, sam akt znajdowania
Ile wystarczy. Nie zawsze tak szukał.
Gotowa była scena, powtarzał*

Rolę ze skryptu.

*Aż zmienił się teatr
W rzecz inną. Przeszłość stała się pamiątką.*

*Chcąc żyć, nauczyć się ma nowej mowy.
Musi napotkać mężczyzn tej epoki,
Kobiety tej epoki. Pomyśleć o wojnie.
Znaleźć ile wystarczy. Wybudować
Na nowo scenę i być na tej scenie.
Jak niestrudzony aktor musi zwolna,
Z rozważką, sączyć słowa które w uchu,
W czułym uchu umysłu, mówią ściśle
To, czego pragnie ucho. Na ich dźwięk
Niewidzialna publiczność słucha już nie sztuki
Lecz samej siebie, teraz wyrażonej
Wzruszeniem jakby dwojga ludzi, jakby dwojgiem
Wzruszeń złączonych w jedno. Aktor jest
Metafizykiem bez świateł, targa struny
Dźwięki wywodząc, którym bywa dana
Gwałtowna trafność, aż obejmie umysł.
Nie może zejść poniżej, nie ma chęci
Sięgać poza nią.*

*Ma być znajdowaniem
Zadowolenia. Może być o chłopcu
Który się ślizga, kobiecie jak tańczy, kobiecie
Czeszącej włosy. Poemat, akt umysłu.*

Cóż to znaczy „znajdować ile wystarczy”? Znaczy to, że według Stevensa wiersz jest rodzajem redukcji: ile słów wystarczy żeby istniał? I ani słowa więcej. Gdyby to było tylko żądanie „ekonomii środków”, sprawa byłaby dość stara. Ale dawniej „gotowa była scena, powtarzał rolę ze skryptu”. Śmiem twierdzić, że „skrypt” to właśnie obrządek zbiorowy, pewna konwencja uczuć: temat był poecie podsunięty, pisał on niejako na jego marginesie. Można tu podać jako przykład ody

Sarbiewskiego o bitwie pod Lepanto czy tematy rozdzielane okólnikiem (Stalin, kolektywizacja) w niedawnych czasach. Ale gdzie przebiega granica pomiędzy konwencją która niszczy i konwencją która wspiera? Czy nowoczesna sztuka w ujęciu Stevensa też nie zakłada że istnieje atmosfera społeczna, niewidzialna jak powietrze? To myślenie poety na własną odpowiedzialność („budowanie sceny”) w nadziei, że uzyska łączność z czytelnikiem który też myśli na własną odpowiedzialność, nasuwa mnóstwo pytań. Narzucmy sobie ramy i nie twórzmy całej socjologii sztuki.

Wycieczka w erotykę

Jeden z głównych tematów poezji, miłość, zawiera, w swoim rozwoju historycznym, właściwie całą obyczajowość z jej zmianami mody, stroju, uczesania, sposobu zalotów. Wyrażają się tutaj liczne tabu, które w ciągu wielu stuleci ograniczały wiersz miłosny do sfery uczuć. Strona zmysłowa zaznaczana była przy pomocy aluzji albo przez stworzenie odpowiedniej aury. Utrzymywał się podział na twór pornograficzny (np. liczne fraszki staropolskie) i utwór nadający się do czytania damom. Próby przełamania tego podziału są stosunkowo rzadkie. Spotyka się je w teatrze elżbietańskim i u angielskich „poetów metafizycznych”, przede wszystkim u Johna Donne, który spirytualizował ciało i materializował duszę; dlatego prawdopodobnie na jego wielkość (bo jest to jeden z największych poetów człowieka jako całości psycho-fizycznej) tak wrażliwi w kilkaset lat później okazali się jego literaccy spadkobiercy. Można chyba bez wielkiego ryzyka błędu zauważyć, że okresy w których obowiązywało tabu albo wręcz zakaz nie odznaczały się szczególną subtelnością stosunków pomiędzy mężczyznami i kobietami, a nawet niekiedy było wręcz przeciwnie. Literatura tutaj mija się z życiem i podlega innym, bardziej złożonym prawom. Purytanizm rosyjski ery stalinowskiej nie świadczył o zniknięciu w tym kraju uproszczonego poglądu na kobietę (czy mężczyznę) jako na rodzaj maszynki, nie świadczył o zmniejszeniu się dzikości. Rozpasana erotycznie literatura krajów zachodnich nie zwiększyła liczby miłośników seksualnego sportu i tak lubianego dostatecznie. Należy skończyć z przekonaniem, że wiersz czy powieść wywierają wpływ pedagogiczny, dostrzegalny na pierwszy rzut oka. Wywierają wpływ, ale najczęściej zupełnie inny, niż się współczesnym wydaje. Tak więc choćby funkcja jaką spełniają dokładne opisy miłości *in actu* w literaturach Zachodu nie nadaje się do pośpiesznych uogólnień.

Dwudziesty wiek przyniósł odkrycie płci. I okazało się, że ten temat jest jednym z najtrudniejszych, że ile razy jakiś autor nie urywa sceny, jak to robiono dawniej, w chwili pocałunku, zmuszony jest przez same wymogi techniki pisarskiej do użycia

symbolów. Grozi mu trywialność albo patos, śmieszność, sentymentalizm i nawet tak wytrawni technicy pisarskiego rzemiosła jak Hemingway nie zawsze wychodzili z tej próby obronną ręką. Pierwszą reakcją na dotychczasowe tabu było brutalizowanie: sprowadzało się akt seksualny do czynności higienicznej, ni- by mycie zębów. Takie ujęcie byłoby możliwe, gdyby w człowieku wylączał się w pewnych okolicznościach aparat jego duchowo- historycznego istnienia i zostawała tylko czynność fizjologiczna. Jest jednak zupełnie inaczej i aparat nie wylącza się nigdy, powrót do niewinności zwierzęcia nie jest możliwy. Stąd zasad- nicza trudność, kiedy chce się uchwycić ten dziwny aliaż fizjolo- gii, uczuć i intelektu.

Jest to bardzo dobra dziedzina dla kogoś, kto szuka odpow- iedzi na pytanie jak powstaje pobłażliwa pogarda dla poezji u współczesnych czytelników. Utwór, mający za przedmiot uczu- cia miłosne, poczynając od społecznych uniesień traktorzysty i traktorzystki, a kończąc na subtelnych doznaniach barwy, mu- zyki, krajobrazu, pozostaje niejako na powierzchni, *my wiemy więcej*. Sama substancja, zarazem pantagruelicznie sprośna i naj- wznioślejsz patetyczna nie jest nazwana. Ale poemat nie może być poniżej świadomości „mężczyzn tej epoki i kobiet tej epo- ki” pod karą, że zostanie przez nich *sklasyfikowany* a więc od razu straci skuteczność. To wyjaśnia np. komizm wierszy jakie zaczęły się pojawiać w Polsce około roku 1954, w momencie kiedy gruchnęła tam wieść, że „o miłości pisać wolno”. Nieza- leżnie od ich stylu, sam sposób odczuwania był z czasów Konop- nickiej (osoby, w swojej praktyce erotycznej znacznie śmielszej niż w twórczości). Oczywiście spostrzeżono szybko, że trzeba jakiegoś miąższu, że zepsuł tu wiele purytański zakaz. Wpro- wadzając ciało nie rozwiązuje się jednak problemu, bo ten wy- szedł w połowie naszego stulecia z kręgu impresji fizjologiczno- emocjonalnych, wzbogacił się o nowe wymiary.

Tutaj wykazać można użyteczność poetów dla których wiersz jest „aktem umysłu”. Pozbawieni „skryptu”, zmuszeni „budować na nowo scenę”, nie mogą oprzeć się na niczym prócz własnych doświadczeń. Jedynym ich sposobem jest obrysować te doświadczenia możliwie dokładnie, co inaczej nazywa się „być współczesnym” czy „być nowoczesnym” — a myliłby się, kto- by te epitety chciał sprowadzić tylko do formy.

Żeby zilustrować to, co powiedziałem, posłużę się wierszem amerykańskiego poety który nazywa się Theodore Roethke, uro- dził się w roku 1908 i ma już w republice poetyckiej swego kraju pozycję całkiem wybitną. Jak łatwo spostrzec, jego strofy stanowią opis miłości „in actu” z wprowadzeniem elementu ironii a nawet satyry. Ten element był oczywiście starannie omi- jany w „liryce miłosnej”, co nie znaczy, że nie wchodzi w skład erotycznego aliażu — czemu chętnie dawały wyraz utwory ru- baszne i pornograficzne.

PARTNER

*Między takim zwierzęcym i ludzkim upalem
Nie bardzo wiem co myśleć. Czy jest pożądanie?
Czy to znaczy, że kogoś uzupełnić chciałem?
Mokrą słomę zapalić byłoby nic dla niej.
Czy służą jaśniepańskiej zostałem ekstazy,
Czy lyżką, grzechoczącą w środku pustej wazy?*

*Splątany mi nogami graliśmy do taktu.
Umarli, żyjąc, dali nam lekcję czułości.
Kto wziąć w uścisk potrafi formę swego fatum?
Światło za światłem zmienny urządzało pościg.
Usta jej i tak dalej. Wiodła rzecz zaczęta.
A szpik we mnie pulsował, dziko, tak jak tętno.*

*Koniu mój. Mówić chciałbym: żyjemy wyrwani
Z naszej zewnętrznej skóry. Kto chichocze we mnie?
Widzę teraz gonitwy czapeli nad stawami.
Znam taniec, w którym słońcem jest bardzo przyjemnie.
Niech żywi się zgromadzą! Gdzie sekret słodczy?
Rób to, czego niezdarny partner sobie życzy.*

*Rozprzega się, drga wszystko. Na powrót nie pora.
Ta radość skacze chartem. Co mnie to obchodzi?
Oddałem pocałunki, zbudziłem upiora.
Jakaż muzyka lepka uszy nam uwodzi!
Ciało i dusza wiedzą, jak pobłażać sobie
W mrocznym świecie, gdzie drogę zgubili bogowie.*

Niemożliwość wylączenia intelektu („Kto chichocze we mnie?” „Co mnie to obchodzi?”), równoczesność współgrania różnych sfer — kto wie, czy nie jest to zasadnicza cecha „nowego ujęcia”.

Zespół baletowy

Jeżeli nie upraszcza się za nadto ile razy mówi się o tak zwanych liniach rozwojowych (a na pewno się upraszcza i lepiej być tego świadomym), ruchy awangardowe w poezji naszego stulecia starały się rozluźnić sztywny tok zdania i metrum, po- to, żeby chwytać w sieć więcej wrażeń. Ściągało to na poezję liczne zarzuty. Czytelnik albo nic nie rozumiał, albo czuł się w jakiś sposób obrażony, że nic tu właściwie nie ma do zrozu- mienia: tyle hałasu o nic. Ten zarzut braku treści intelektual- nej był w dużym stopniu słuszny. Jednakże poczynając od lat trzydziestych poezja coraz bardziej się intelektualizuje i coraz rzadziej można jej przypisywać tylko zalety bałki mydlanej. Nie znaczy to, że „treść” jest zawsze łatwo dostrzegalna. Często

ten ładunek jest ukryty i sam obraz, na przykład kobiety czeszącej włosy, jest wynikiem długich przemyśleń. Obraz sugeruje uczuciowo takie przemyślenia. Ale, jeżeli w poezji francuskiej rozwija się szczególnie ta metoda, w poezji anglosaskiej występuje też metoda inna, bezpośredniego dyskursu, z użyciem nawet mnóstwa słów których trzeba szukać w słowniku filozofii (choćby cała prawie twórczość W.H. Auden'a). Tutaj powodem do skarg czytelnika staje się raczej skrót myślowy (korzystający z eksperymentów formy) niż „niewyraźność”.

Wszystko to jest całkowicie poza zasięgiem cyganów z Les Saintes-Maries-de-la-Mer. Gorzko to stwierdzać, bo ludzie nie powinni być oddzieleni od ludzi taką przegrodą. Ci cyganie też, stosownie do wyrażenia Heraklita „nawet śpiąc pracują nad staniem się świata”. Jeżeli jednak „poemat, akt umysłu” jest im niedostępny, to nie bardziej, jak przekonali się francuscy aktorzy, są im dostępne uczuciowe wiersze Fryderyka Garcia Lorca. Być może ich synowie czy wnukowie, dzięki znanemu zjawisku przeskakiwania etapów, będą z łatwością czytać to, co wydaje się dziś trudne studentom uniwersytetu? W każdym razie obecnie mamy nadal do czynienia z małą republiką artystów, z dziwną międzynarodówką, odciętą od niewtajemniczonych niemal tak, jak międzynarodówka znawców esperanta. Jest ona dziwna, bo jej członkowie są na pewno zrośnięci z życiem swoich krajów i narodów, a równocześnie nie ma zupełnej pewności czy poeta z San Francisco i poeta z Warszawy nie są pod pewnymi względami bliżsi sobie nawzajem niż swoim współobywatelom.

Międzynarodówka ma nawet swoje statuty. Cech statutu dopatruję się w wierszu amerykańskiego poety W.S. Merwina (ur. 1927) jaki znalazłem w miesięczniku „Poetry” z marca br. (Chicago. Redaktorem po Karlu Shapiro jest teraz Henry Ra-go). Tłumaczę ten wiersz na polski również po to, żeby pokazać jak silne są dzisiaj skłonności do mówienia bezpośrednio o różnych problemach czyli do odbudowania struktury logicznej w wierszu (niczym innym, niż objawem tej samej tendencji jest „Poemat dla dorosłych” Adama Ważyka). Tłumaczę, odczuwam pokusę, żeby zastosować biały (bo u Merwina nie ma rymów) trzynastozgłoskowiec (7+6), jednak przewyciężam tę pokusę, bo wydaje mi się, że szorstkość, przełamana od czasu do czasu regularnością metrum, lepiej odpowiada intencjom autora. Upprzedzam przy tym, że ten statut artysty (trochę liczyć na potomność ale nie za bardzo) wymaga uwagi, że wcale nie jest łatwiejszy, mimo swojej nagości, niż poezja wyszukanych związków słownych.

CORPS DE BALLET

*Co do nas, to musimy wlec naszą nadzieję
Przez dni migren, wykrętów i straconych szans*

*Które zapadły w głąb lat i nie wrócą.
Ufając, że nawiedzi nas dziwny dajmonion
Niezasłużenie jak laska, po rozpaczliwym climacterium.
Papa Haydn, na przykład, odkrył swoją węgę
Już po czterdziestce, wtedy zaczął Conrad,
Tycjan pod pięćdziesiątkę miał, kiedy się uczył
Swego rzemiosła, tak mówił przynajmniej.
Jak często chwałę biorą starcy, nie młodzieńcy.
Jak często spada laur na siwe, tyse głowy.*

*Nie żeby sława — nieraz bez znaczenia —
Albo nawet uznanie czyjeś, pamiętane,
Były tak ważne w naszych przedsięwzięciach.
Choć nawet inspiracja daje za wygraną
Na gruncie zbyt jałowym. Jest tak, albo wrasta
W gniewne pomruki nerwów, dusi się, zamiera,
Bez oznak, że ją ludzie potrafią ocenić.
Na czym swój wigor sprawdzi? Brak nawet sprzeciwu.
Ale jest i pociecha, sentymentalny balsam
Którym ból łagodzimy ukradkiem: potomność
Mądrzejsza niż te czasy, dosyć nam udzieli
Hałaśliwych oklasków, przykrych nam za życia.*

*Któż może ganić za to? Choć z tym, jak z każdą wiarą:
Da się z niej zrobić nędzny i piękny użytek.
Pozwala nam dryfować, jak długo dajemy
Sobie samym to prawo, żyć splotem nadziei
Niejednej używając wymówki a wiedząc
Że ta wkrótce rozłoży, zniszczy nam tkaninę.
A naprawdę jest tak, że czas to nic innego
Niż talent powierzony nam, żeby próbować
Własną materię stworzyć, i on jest nam miarą,
I przyozdabia nas, on, świadek i wyrok.*

*Spójrzmy na siebie jak na tych tancerzy.
Tłem ich skoków jest nasza własna niecierpliwość.
Napięcie jej obrócić chcą w naszą przyjemność.
Długo uczą się zwinnych ruchów, które rządzą
Naszym oczekiwaniem. Czysta doskonałość
Powstrzymuje nam oddech i siedzimy cicho
Przed głupią historyjką. Bo to my, widzowie,
Jesteśmy ich przyszłością. Nie będą mieć innej.
I choć znużeni, niosąc nam rozrywkę,
Taką łatwość udają, żeby nas przekonać
Że jesteśmy laskawi i wspaniałomyślni,
Nowej łagodnej siły pełni, śliczni w ruchach.*

*A jednak tylko paru zostanie w pamięci
Kiedy odejdą i skończy się sztuka.
Paru zaledwie, z taką dużą władzą,
Ze ciągle jeszcze krążą, ostro nakreśleni,*

Jak gdyby nadal na nich kierowano światło.
 A co z innymi, których już zatarty
 Obraz jak ślady w piasku, gaśnie, gaśnie,
 Z tymi, co niby sen czy przebudzenie
 Oddzielają się od nas, śniegami topnieją,
 Pracując tak jak inni choć z mniejszą pociechą,
 Tracąc nieraz nadzieję z kurczącą się szansą?
 Cóż, przez swój nalg czy miłość do niego
 Cieszą nas dalej. Ich prawda przed nami
 Raz była, muzyka niemych poświęceń,
 Która brzmi monotonnie dla zamkniętych uszu.
 I o niej pamiętając, znów widzieć możemy
 Znaczenie ich poruszeń, cały wdzięk ich trudu.

Na zakończenie

Czytając wiersz Merwina, w którym republika artystów jest porównana do baletowego zespołu, ma się następującą refleksję: świadomość, że jesteśmy istotami historycznymi, że nasze działanie, zamknięte w skromnym odcinku czasu, powoduje skutki, choćby odmówiony był nam wiecznotrwały wawrzyn — nie jest już tylko własnością poetów czerpiących sobie podobny „statut” artystów napisany w okresie Młodej Polski czy nawet Skamandra, na pewno nie znaleźlibyśmy tam wydobytej roli zespołu. Znaleźlibyśmy prawdopodobnie westchnienia nad mijającym czasem i prośby zwrócone do Muzy, która po prostu albo raczej udzielić wiecznej chwały, albo nie raczy: wszystko albo nic. Zaciekłość, z jaką młodsze pokolenia literackie w Polsce, poczynając gdzieś od roku 1930 prowadziły programowe dyskusje, spotykała się często ze drwiną. Sięgając do sedna, odkryje się w tej zaciekłości chęć wzięcia udziału w dziele zbiorowym, naturalnie z nadzieją („Któż może ganić za to?”) że nam przypadnie lwią część. Czy ta troska o zbiorowe dzieło jest czymś nowym? Konfraternie artystów zawsze rządziły się zasadą rywalizacji: żeby zrobić lepiej niż kolega. Jak się zdaje Malraux uważa tę rywalizację (naśladowanie mistrza plus bunt przeciwko niemu) za jeden z głównych motorów historii sztuki. Ale nie, nowe jest samo zdanie sobie sprawy z czasu jako gruntu twórczości czyli że w poezji np. osiąga się nie tylko harmonię, dar indywidualnej Muzy, ale i samowiedzę, jako sumę drobnych, nieraz przypadłych, wysiłków. I być może publiczność, nie formułując tego jasno, też żąda, żeby wiersz niejako osiągał granicę już zdobytą i starał się ją przekroczyć.

Jak łatwo się domyśleć, rozprawki takie jak ta i tłumaczenia z poezji obcej powstają z zaciekłości, z poczucia, że trzeba użyć różnych środków, żeby przyczynić się do przemian — w danym wypadku do przemian poezji w języku polskim.

Czesław MIŁOSZ

Michel de Ghelderode

Gdyby w wieku dwudziestym chciał ktoś nakreślić mapę świata sztuki, musiałby wbić ostrze cyrkla w punkt, gdzie leży Paryż. Tu bowiem, a nie gdzie indziej, jakby na siedmiomilowej estradzie, odbywa się prezentacja twórców, tutaj heroldzi redakcji ogłaszają urbi et orbi imiona świeżo kanonizowanych mistrzów słowa, czy koloru — przybyłych z brodatych miasteczek Białorusi, z czarnego Senegalu, z zagubionego w puszczech Chili. Owo państwo sztuki wieku dwudziestego nie ma drugiej stolicy, toteż Bruksela, Rzym i Londyn, to też Warszawa, Sztokholm i Nowy Jork są prowincjonalnymi agencjami, dokąd z dużym opóźnieniem docierają świeżo zatwierdzone paryskie wzory na doskonałość i manifesty, przekreślające wszystko co było dotychczas w sztuce, w imię tego co powinno nadejść.

Chociaż podchodzę do tego z uśmiechem, pisząc niniejsze słowa w jednym z kulturalnych przedmieść Paryża, jakim jest Bruksela, niemniej zdaję sobie sprawę, że ani uśmiech, ani kpina, ani tym bardziej zżymanie się na niesprawiedliwość podobnego układu w niczym nie wpłyną na sam fakt. Jest tak, a nie inaczej.

Cóż z tego, że malarze i poeci prowincjonalnych narodów stąpają w chwale i w blasku u siebie, na własnym podwórku? Słowo ich zasłuży ewentualnie na wypisy szkolne, czy na order, nie dotrze jednak do antologii światowych, ani do muzeów, będących antologiami rysunku i barwy. I lada podkasana, śpiewająca dziewczynka z Pigalle ma więcej od nich widoków na przetrwanie w zawodnej pamięci tych, którzy pochylać się będą nad sztuką naszego czasu.

Większość twórców przybywających do nowoczesnej Florencji ogarnięta jest natychmiast wszechwładnym obrzędem sprawowanym przez mieszczańską kołtunerię i jej usługowych wydawców. W zamian za sprzedaną książkę, czy obraz, artysta płaci haracz najcenniejszą monetą, na jaką go stać, płaci samotnością. I musi mieć tęgi charakter, aby potrafił odrzucić

łatwą i pustą część aury paryskiej, biorąc natomiast w siebie rzeczy bezcenne i jedyne na świecie: rytm wspaniałego miasta i naerotyzowane — jak mówi Henry Miller — powietrze Paryża. Targowisko jest cudowną karmą dla oczu i wyobraźni artysty. Trzeba jednak, aby przyjrząwszy się pstrokaciznie i ciźbie, mógł powrócić do samotnego warsztatu. Utwory wielkie nie powstają bowiem — wbrew temu co zwykło się mówić — na tekturkach pod piwo, lecz w ciszy czterech ścian.

Samotnikowi zostaje wówczas darowany piękny grzech samotności, a czytelnik otrzymuje książki napisane w miłości i trwodze, a nie po to, aby zdążyć na termin jednej ze stu nagród Paryża, świadczących raczej o zaradności wydawców, aniżeli o istotnych osiągnięciach ich pupilów. Tak zwany „szeroki ogół” jest stadem, któremu gdy nadchodzi jesień, wydawcy rzucają dziesiątki nowych tomów. Dzięki ich zabiegom, organizowanym na zasadzie krzykliwej reklamy, popularność staje się miarą talentu. Skandalik zastępuje nowość.

Istnieją na szczęście artyści, którzy potrafią opierać się łatwym urokom Paryża. Ci wybrali cząstkę niewątpliwie lepszą ale i trudniejszą. Trzeba im bowiem nieraz lat, aby dzieło poczynane w samotności dotarło, poprzez Paryż, do światowego czytelnika. Czasami zdarzy się, że dzieło takie olśni swą oryginalnością. Jesteśmy wówczas świadkami rzeczy niecodziennej: Paryż udaje się do artysty i zaprasza go do kręgu wybranych.



Nowoczesny Plutarch, spisując wspaniale żywoty bohaterów i twórców, nie mógłby pominąć wielkiego, samotnego dramaturga, którego samo nazwisko brzmi jak barokowy instrument, Michel'a de Ghelderode. Flamand, urodzony w Brabancji, 3-go kwietnia 1898, ma dziś poza sobą czterdzieści lat niezależnej twórczości literackiej. Składają się na nią fragmenty prozy poetyckiej, opowiadania i dramaty — wszystko napisane przed drugą wojną światową.

Kim jest Michel de Ghelderode? Skąd czerpie siły do swej twórczości? Jak wygląda świat, w imię którego walczy, uszedłszy z hałaśliwej codzienności? Oto niektóre spośród pytań, na które spróbuję odpowiedzieć w niniejszym szkicu. Sądzę bowiem, że czas już, aby polski czytelnik zapoznał się, choćby fragmentarycznie, z twórczością jednego z pierwszych dramaturgów teatru nowoczesnego.

Tym razem zresztą opóźnienie nasze nie będzie zbyt wielkie, ponieważ Paryż wyprzedził nas zaledwie o dziesięć lat. Począwszy od roku 1947-go, kiedy to zespół Katarzyny Toth wystawił *Hoř Signora*, teatr Michel'a de Ghelderode z wydarzenia „prowincjonalnego” staje się sprawą kulturalnego Paryża. Dalsze sztuki (*Mademoiselle Jaire*, *Fastes d'Enfer*) zyskują autorowi nowych przyjaciół i nowych przeciwników.

Czyżby z tego wynikało że teatr Michel'a de Ghelderode stał się teatrem popularnym? Na szczęście, nie podobnego. Tylko pewien odłam społeczeństwa, a przede wszystkim młodzież, przyjmuje entuzjastycznie sytuację i postaci tego teatru. Reszta zaś, będąca ogromną większością, odrzuca teatr brabanckiego dramaturga, teatr obnażający okrutnie i prawdziwie. Mieszczuch bowiem odpycha prawdę o sobie, o nas, prawdę, którą poeta zgłęcił i ujednostkował w swoich sztukach.

Najlepiej zilustruje to krótki dialog, jaki wywiązał się pomiędzy autorem i dwoma wysłannikami Francuskiego Radia i Telewizji (1):

ONI: „...„Czy uważa Pan iż teatr Pański potrafi być pocieszeniem?”

M. DE GHELDERODE: „Celem teatru — a mego w szczególności — nie jest pocieszenie, ani też zasmucanie. Teatr jest stwierdzeniem...”

ONI: „Teatr Pański jest stwierdzeniem; człowiek jest przedmiotem owego stwierdzenia. Człowiek ten nie jest piękny.”

M. DE GHELDERODE: „A czy ja jestem piękny? A Pannie? Ludzie nie są piękni, a jeśli są takimi to nie często. Dobrze że brzydota ich jest taka, jaka jest, a nie większa. Pomimo to wierzę w *Człowieka* i wydaje mi się, że można to odczuć w tym co piszę. Nie zwątpiłem w człowieka. Przykuwa moją uwagę i wiem że zdolny jest do wszystkiego — jak również i do czegoś krańcowo przeciwnego.”

Co razi mieszczucha? Czyżby de Ghelderode był dzisiaj jedynym pisarzem, który dotknął tabu świętej, mieszczuńskiej pruderii? Bynajmniej. Rzecz cała w tym, że uczynił to w sposób nie uzgodniony z owym światkiem i jego nadwornymi krytykami. Rzecz w tym, że pokazując nasze ciała i dusze, obnażone do cna, patrzy nam przy tym prosto w oczy. Mieszczuchy wołałyby, żeby chichotał i mrugał przy tym porozumiewawczo. Wtedy wystarczyłoby zawołać go do sitwy i sprawa byłaby ubita.

W jednej ze sztuk Michel'a de Ghelderode spotykamy rzeźbiarza zdobiącego katedry, któremu zarzucają że „jest pokazującym piekiel”. Zamiast bowiem rzeźbić muskularnych Chrystusów, według renesansowej mody, ów artysta kuje w kamieniu diabły i inne zmory otchłani, po gotycku straszne i pokręcone.

Dzisiejszy świętoszek zarzuca Michel'owi de Ghelderode, że człowiek widziany przez niego „nie jest piękny”. Jest to eufemizm, przykrywający poważniejsze pretensje i zarzuty. „Nie piękny” trzeba zastąpić przez „prawdziwy”. Toteż nie odbiegniemy od prawdy pisząc iż sala prawobrzeżnego teatru „Maigny” zaatakowała wielkiego Flamanda głównie za to że jest „ukazywaczem prawdziwego człowieka”.

(1) Michel de Ghelderode, *Les Entretiens d'Ostende*, recueillis par Roger Iglésis et Alain Trutat, „L'Arche” Paris, 1956, str. 195.

Z dzieł nie żyjących już dzisiaj wielkich twórców mieszczuch wykroił sobie cząstki wygodne. „Używając” tego teatru od lat, potrafił sprowadzić do towarzyskiej rozrywki to, co było religijnym wstrząsem. Słodką i szaloną mądrość *Don Kiszota*, i burzący śmiech Rabelais'go mieszczański świątek sprowadził do roli anegdota przy obficie zastawionym stole.

Michel de Ghelderode nie idzie na ustępstwa. Z samotności swej mówi od czterdziestu lat tym samym, prawym głosem. Mówi tak jak mu się podoba — ponieważ jest artystą. I nie licząc się z tzw. opinią społeczeństwa, purpurą kardynałów, czy przysłówiowymi cnotami tzw. ludu, dochował wierności swej wizji.

O ile miłośnik wysokiej sztuki pisarskiej de Ghelderode'a, zbierając po księgarniach i księgarenkach jego teksty, natrafia na trudności — o tyle samą twórczość, jej historyczno-artystyczną aurę przyjdzie mu określić bez trudu. Można by ją, po prostu, nazwać jednym słowem, co brzmi jak inkantacja: Flandria.

Ale w tym miejscu, zwracając się do polskiego czytelnika, trzeba otworzyć nawias. Bo Flandria dzisiejsza, to nie tylko kolebka wspaniałych malarzy, to nie tylko smętna, w martwą wodę wpatrzona Brugia, czy nastroszona średniowiecznym kamieniem Gandawa. Flandria to również nieprzerwany i mimo wojen wciąż żywy pewien typ życia i patrzenia na świat.

Dzisiejsi Flamandzi to jeszcze lud, autentyczny lud, taki jakim go widzieli Breughela. Ludzie są tu mocni, zdrowi i jakby na złość płaskiej, nudnej równinie, którą zamieszkują, weseli. Pewne strony ich życia społecznego zachowały się w stanie nieskażonym, mamy na myśli obrzędy gminne i obyczaje. Można by rzec, że lud ten i jego życie jest po dziś dzień najwspanialszą ilustracją baroku, pojętego jako godzenie krańcowo różnych emocji i klimatów.

Kto chociaż raz w życiu był w Brugii, ten musiał zauważyć rzecz nie istniejącą gdzie indziej: monstrualnie czarne, półmetrowe płachty klepsydr pokrywające mury kościołów. Ma się wrażenie, że ludzie umierają tu częściej i ostateczniej. Gruba na trzy palce czerni otaczająca klepsydrę i krzyż odbity nie ołowiem, ale grubym klokiem — są afiszem samej Śmierci i napomnieniem dla żywych, a nie powiadomieniem o czymś konkretnym zgonie.

Kto choć raz uczestniczył we flamandzkim kiermaszu, widział cech luczników świętujący dzień Patrona, kto — stojąc, jak oni — zagryzał krwawą kieszkę ociekającą kipiącym tłuszcem, kto widział ich procesję, gdzie nabite dziewczuchy, kroczące przed chwilą w przebraniu Matki Boskiej, czy też Archanioła Gabriela, teraz — korzystając z przerwy i niepomne skrzydeł i błękitnych szat — wcinają fryty, popijając je piwem — kto widział dzisiejszych Flamandów, temu łatwo przyjdzie pojąć po breughelowsku flamandzkie Wczoraj, z którego czerpie siłę i szeroką swobodę brabancki dramaturg.

Polaka, syna narodu, który warto by poddać gruntownej psychoanalizie razi tu nieomal wszystko. Bo proszę sobie wyobrazić rzeczy następujące. Ludzie tutejsi, chociaż wierzący i bogobojni, nie uznają autorytetów. Od kilkuset lat, po obezwładnieniu książąt, żyją szczęśliwie, nie znając słów hymnu państwowego (istniejącego od lat stu), natomiast doskonale znają słowa „zastępcze”, na tę samą melodię, dzięki którym poznajemy dzieje pewnej dziewczyny, i dowiadujemy się jak została k....

Proszę sobie wyobrazić w naszych, polskich warunkach legendy ludowe np. o królu Jagielle, który by zamiast bić Krzyżaków i słuchać słowików spędzał czas z opojami i typami spod ciemnej gwiazdy, i którego by matka urodziła ... w wygodce, myśląc że to zwykłe bóle żołądkowe. Podania ludowe, zamiast zajmować się tzw. czynami bohaterskimi, mówią nieomal wyłącznie o życiu zmysłowym i fizjologicznym dobrego syna ziemi flandryjskiej, cesarza Karola Piątego.

Aby natrafić na podobny ton u nas, w Polsce, musimy się cofnąć aż do czasów mistrza Jana z Czarnolasu. Pod tym względem fraszki Kochanowskiego są „flamandzkie”. Jest w nich miejsce na zielony dzban, jest i dla spraw łoża. A wszystko nazwane słowem konkretnym, bez fałszu i pruderii, przez szczęśliwego poetę, dla którego świat boży obejmował nie tylko lilie, panów szlachciców i słońce na niebie, ale i pijaniców, kozła polykającego węgorza, nie mówiąc już o młodym a zaradnym flisaku, co potrafił posiąść kobietę w najtrudniejszych, jakie sobie można wyobrazić warunkach.

Ale Flandria to nie tylko arkadyjskie życie ludu rybaków, chłopów i kupców. To nie tylko tłusty Jordaens, nie tylko tydzień dzielony na modlitwę i „grzechy główne”. Obok malowniczości życia i przepychu naród flamandzki odziedziczył po swoich przodkach straszną pamięć o Inkwizycji. Małe, kamienne grody, z dala widoczne na równinnej ziemi, do których dzisiaj zagląda turysta, zaznały hiszpańskiego terroru religijnego. Wszystko, co młode i dumne, co nie chciało płaszczyć się krzyżem przed namiestnikami dalekiego króla i jego prokuratorami, szło na stos i na tortury. Po dziś dzień w zamkach Flandrii oglądać można sale powolnego, „artystycznego” męczenia ludzi przez ludzi, w imię Boga, który jest Miłością.

Ze zbiorowej pamięci walk ciemiejących Flamandów z najeźdźcą narodziła się legenda o Sowizdrzale, której wspaniałą artystyczną wersję stworzył Charles de Coster (2). Michel de Ghelderode, pisząc o swym rodowodzie duchowym i artystycznym, na pierwszym miejscu wymienia Breughela (3), a tuż obok niego Charles'a de Coster'a (4). Idąc w ślady autora opowieści

(2) W Kraju ukazał się przekład dzieła wielkiego pisarza belgijskiego. Przekładu dokonał Julian Rogoziński. *Przygody Dyla Sowizdrzala*, P.I.W., 1955.

(3) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 128.

(4) Tamże, str. 35 i 37.

epickiej o Sowizdrzale, Michel de Ghelderode sięgnął po najcenniejszą tradycję swego narodu.

Okupacji hiszpańskiej nie można wyrazić jednym słowem: Inkwizycja. Obecność namiestnika, jego dworu i wojsk, przy całym terrorze i rządach twardej ręki, wprowadzała w życie społeczne Flandrii nowe zwyczaje, nowe formy obrzędów i widowisk. Nienawidzono arcybarokowych Hiszpanów, ale równocześnie naśladowano ich strój i postawę. Byli egzotycznymi rycerzami pośrodku ludu kupców i rybaków.

Dziś, przyglądając się spotkaniu obu form bycia, flamandzkiej i hiszpańskiej, widzimy, jak bardzo północnym Flamandom przypadły do gustu niektóre cechy iberyjskich przybyszów. Matki przede wszystkim na myśli zamięłowanie do Śmierci, towarzyszące nieoddzielnie zamięłowaniu do zabaw i uczt. U jednych i drugich ta sama obsesja religijna wtargnęła do życia. Lubowali się w żałobie i makabrze, z takim — chciałoby się rzec — rozmachem i z takim przepychem, z jakim zażywali radości dzbana, stołu, czy łoża.

Być może iż ponure lata Inkwizycji przyczyniły się walnie do pogłębienia owego obcowania ze Śmiercią, pozostawiając w narodzie potrzebę stałego współżycia z mrocznymi emblematami Wielkiej Niewiadomej.

W ogromnym teatrze Michel'a de Ghelderode, jak również w jego opowiadaniach, Śmierć jest jednym z protaгонistów. Wystawiancy Śmierci odwiedzają poetę (*L'odeur du sapin*), raz pachnąc morzem, inny raz stęchłą ziemią grobu (*Mademoiselle Jaïre*). De Ghelderode wciąga ich w dialog, w najważniejszy dialog próbując od nich wydobyć chociażby przecucie owego istnienia, czy nieistnienia po tamtej stronie życia.

◆
Pośród bogactw przeszłości, z których, śladem swych wielkich poprzedników czerpał Michel de Ghelderode, rodzicielka Flandria posiada rzecz cenną, instrument sztuki prymitywnej i nieomal umarłej, marionetki. Od lat chłopiących przyszły dramaturg garnie się do ludu, żyjącego w zaułkach brukselskich. Tam, w kwaśnych uliczkach, w knajpach „Pod tłustą pluskwą”, czy innym „Zielonym Aniołem”, poznaje ludzi tkwiących jeszcze napoły w dawnej Brabancji. U nich szuka ostatnich gestów, będących słabnącymi znakami wielkiej, ludowej wyobraźni — która zamiera dziś bezpowrotnie, niszczone przez ogłupiający film, historyczny futbol, czy piwiarnie, ogłuszone wrzaskiem mechanicznych foxtrotów.

Tam, w piwnicy u podnóża Pałacu Sprawiedliwości, pisarz poznaje teatr kukielek. Po trzydziestu latach, pisząc o tym, złoży hołd drewnianemu ludkowi marionetek, wyrzeźbionych i odzianych spracowanymi dłońmi plebejskich artystów. Tam doznaje teatralnego wstrząsu. Tam widzi ży ludzi i słyszy okrzyki nagra-

dzające bohatera. Wspominając ów czas, nazwie „lekcję marionetek lekcją wprowadzającą w teatr” (5).

Nie są to zresztą jedyne poszukiwania budzącego się w młodości instynktu pisarza. Z równą namiętnością odkrywa cyrk, jarmarki pełne sztukmistrzów, lunaparki, music-hall'e, nie mówiąc o pochodach cechów, procesjach i pogrzebach. Wystarczy przeczytać którąkolwiek spośród kronik (6), aby ujrzeć źródło, ową liturgię ludu Flandrii, z której wzięły początek gesty poetyckie pokazywacza rzeczy nadprzyrodzonych i ludzi, takimi jakimi są naprawdę.

Po tym wszystkim, niech nam będzie wolno powrócić do użytego na początku słowa-klucza i powtórzyć magiczny wyraz: Flandria.

Z takiej ziemi, z takiego dzieciństwa, z takiej — po tuwimowsku zagubionej w pergaminach i rekwizytach lat minionych młodości, wyrósł wielki poeta barokowy, Michel de Ghelderode. I tutaj nasuwa się natychmiast porównanie ze Słowackim. Aż wzrusza dosłowne niemal podobieństwo wypowiedzi obu poetów. Oto co najbardziej uderzyło wyobraźnię dziecięcą Słowackiego (7):

... „lubilem wystawę — księży processye... rezurekcje odbywające się przy ogniu wystrzałów ... zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym, na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny, drogimi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy... szło i śpiewało po placu... duch mój niby wylatywał ze mnie...”

A oto bratnie wyznanie, o sto lat późniejsze, poety flamandzkiego:

... „Jako dziecko głęboko przeżywałem wszystkie manifestacje publiczne — pochody, procesje, jarmarki, strajki i zamieszki — podobnie jak i widowiska na wolnym powietrzu, pogrzeby, wjazdy królów do miast, uroczystości liturgiczne, karnawały i bale maskowe...” (8)

Gdzie indziej powie Słowacki o swej wyobraźni, nie wiedząc że daje definicję plastycznej, wizualnej strony baroku:

... „Imaginacja moja młoda jak motyl, wabiona była polyskiem, słońcem, kształtami, kiedyś je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się

(5) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 103.

(6) Michel de Ghelderode, *La Flandre est un songe*, éd. Durendal, Bruxelles, 1953.

(7) Cytuję za Klaudiuszem Backvisem, *Słowacki et l'héritage baroque*, str. 31. (J. Słowacki, *Dzieła*, pod red. M. Kridla i L. Piwińskiego, t. XIX, str. 86.)

(8) *Les Entretiens d'Ostende*, cyt. 59

więc po raz pierwszy jako artysta, ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli... ważną i okropną tragedią rzeczywistość zajęci..." (9)

A Michel de Ghelderode, podkreślając zależności swej sztuki od malarstwa, powie: ... „Tak było. Wpierw bowiem odkryłem świat form, a dopiero potem świat idei” (10). I nieco dalej: ... „Taki jest początek moich sztuk, powstałych najczęściej z podniet wizualnych...” (11).

Rzecz jasna, że podobieństwa nie ograniczają się jedynie do cytowanych powyżej wypowiedzi obu twórców, lecz sięgają głębiej, do samego miąższu tworzywa, do frazy słownej i jej koturnowego brzmienia, zorganizowanego kolorowo i alarmującego zaraz wszystkie zmysły.

U obu poetów zauważamy jako sprawę naczelną poszukiwanie sztuki; rozbudowę podniet wizualnych w nowe, nie istniejące wczoraj utwory wyobraźni. Dla obu praca w słowie, błyszczącym i liturgicznie uroczystym, jest pierwszą troską, jest zasadą ich poetyki. Słowacki — jak to odkrywczo stwierdził Klaudivsz Backvis — wiedziony instynktem pisarskim, wrócił w wiek XVII-ty i tam, w sztucznie stworzonej przeszłości, brał na warsztat historię, lub po prostu historie szlacheckie i nie wcześniej rozstawał się z nimi, aż otrzymały szatę niezwykłą, aż nabrały słownej, formalnej inności, aż stały się sztuką.

Nie inaczej postępuje Michel de Ghelderode. Dramaty swe ustawia i rozgrywa na wielkiej scenie, w *Dawności*, której zapomniana i dogorywająca fala dziś jeszcze uderza o dłoń poety, pochylonego nad Flandrią.

Tam rzucone konflikty i losy nabierają od razu owej dziwnej, gelderodowskiej poezji i — jak młody alkohol nalany w beczkę po starowinie — spowijają się w szlachectwo.

Dobrze się stało, że Michel de Ghelderode urodził się — jak to sam wyznaje — w „nie swoim stuleciu”. Dzięki temu mógł bowiem wrócić marzeniem artysty w swój czas, w wielki wiek Odrodzenia i stamtąd do nas mówić.

Autentyczność postawy barokowej, tego uroczystego gestu poety, możemy również sprawdzić w codziennym życiu brabantkiego dramaturga. Pod tym względem miłośnik jego sztuki doznaje radosnego zdziwienia. Wielki samotnik, żyjący z dala od nowoczesnych dni i miesięcy, gości w swym pokoju okruchy Flandrii, idącej w zapomnienie. Żyje otulony wspaniałym almanachem przeszłości. Idąc dziedzińcami jego dramatów, gdzie co krok spoczywają ułamki kolumn i posągi, trafiamy nieomylnie do pokoju, gdzie pośród tarcz kamiennych zegarów, masek, modeli okrętów, nagich manekinów, naprzeciw konia, co przy-

(9) Również za Kl. Backvisem, z cytowanego już eseju, str. 31 (J. Słowacki, *Dziela*, pod red. M. Kridla i L. Piwińskiego, t. XVII, str. 69-70. Podkreślenie moje, M.P.

(10) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 59.

(11) Tamże, str. 62.

cwałował tu z którejś karuzeli dzieciństwa — siedzi człowiek samotny. Ni podziw, ni oburzenie ludzi oglądających jego teatr, nie potrafiły wytrącić go z domu, który jest mu ostatnim schronieniem w latach, kiedy buldozery obracają w gruz dzielnicę po dzielnicę, za nic sobie mając renesansowe brwi okien, za nic ciemiste podwórza i ogrody. Czas betonu. Taka samotność nie jest ucieczką, ale obroną. Obroną godzin mądrych przez zamyślenie i ciszę, a narażonych na szwank.

W jednym z opowiadań (13) człowiek samotny, stojąc przed smagłą figurą Marii Panny w jednym z flamandzkich kościołów, pozostawionej tu niegdyś przez hiszpańskich najeźdźców, doznaje cudu. „Dona Maria”, najwidoczniej litując się nad kimś, kto przychodzi do Niej i milczy, zwraca się do niego szeptem:

„— Jesteś jedynym, który nigdy dotychczas o nic mię nie prosił. Powiedz prędko, czego pragniesz, a otrzymasz...”

A na to człowiek samotny odpowiada:

„— Niczego nie pragnę, Dona Maria, ... ale skoro Jesteś tak miłosierna, proszę Cię, zachowaj mię w samotności...”

W tym samym opowiadaniu, de Ghelderode, pisząc o człowieku samotnym, pyta: „Przed kim ucieka, kogo szuka?” — i odpowiada: „W rzeczy samej szuka Boga” (14).

Nieznany to Bóg i mieszkający we wszystkich religiach i poza nimi. Owo Coś, przerażające jednych, a napawające otuchą drugich. Owo Coś, w stronę czego płyną bolesne i białe modły ludzi świętych i krwawe psalmy kapłanów Inkwizycji. Owa Pustka, którą drwiną obrzuca ateista, ów Ład, dzięki któremu „morze w brzegach stoi...”

Ponad tby głupich, mieszczańskich recenzentów, szarpiących poły renesansowego płaszcza poety za to że dotknął piórem czarnych murów Kościoła i jego niegodnych kapłanów, ponad zaślioni chór pochlebców, chwalaących w autorze *Barabasa* i *Piekielnych Godów*, twórcę „nawskroś chrześcijańskiego” — wznosi się samotny człowiek, pisarz wolny i uczący wolności.

Zanim przystąpimy do omówienia jednego z najbogatszych dramatów Michel'a de Ghelderode, *Hop Signora*, zaznaczmy iż jednym z naczelných motywów w jego twórczości jest Miłość. Pierwszą rzeczą, o której należy pamiętać, przystępując do analizy, jest symboliczność postaci i sytuacji, objętych żarem i kolorem krwi. Symboli nie można tłumaczyć dla wszystkich. Każdy musi otwierać je sam, kluczem indywidualnej wrażliwości,

(13) Michel de Ghelderode, *Sortilèges*, éd. définitive, Maréchal, Liège, 1947. Cytat pochodzi z „Nuestra Señora de la Soledad”, str. 140.

(14) Tamże, str. 137.

w obecności własnych, jedynych skojarzeń. Kobiety i mężczyźni w dramatach de Ghelderode'a to świat, któremu trzeba by poświęcić osobny esej, nie mając przy tym bynajmniej pewności, że odkryta przez nas formuła daje wykładnię słuszną i wyjaśnia zagadkę. Każdy, autentyczny artysta na pewno czerpie swe soki nie tylko ze słońca, ale i z otchłani duszy i ciała — ryc jednak i dokopywać się czarnych źródeł, używając do tego modnej, freudowskiej łopaty, nie leży w naszych intencjach.



Hop Signor, którego spolszczony tekst (15) przedstawiamy dziś polskiemu czytelnikowi, jest utworem reprezentującym chyba najlepiej wszystkie wielkie dane dramatyczne flamandzkiego twórcy, o których mówiliśmy poprzednio. Jednoaktowy dramat pełen jest symboli. Sam autor nazywa *Hop Signora* „dramatem niemocy” (16) i tym samym słowem określa *wszystkie* osoby dramatu. Niechaj Czytelnik zobaczy ile w tym prawdy. Małgorzata jest „bezsilną”, słabą? Różan „słaby”? Czy dlatego są „słabi”, że nie potrafią urzeczywistnić pewnego typu życia, czy też dla tego właśnie są mocni? A Juréal, wstrząsająca kukielka, o ludzkich namiętnościach...

Dramat oparty jest na dwu historycznych faktach. Pierwszym z nich jest wzmianka w aktach sądowych w Antwerpii, mówiąca o procesie i spaleniu na stosie pięknej kurtyzany, Małgorzaty Harstein, w roku 1555-ym, zasądzonej za zabójstwo jednego ze swych kochanków. Drugim elementem obiektywnym, wykorzystanym przez autora jest ludowy zwyczaj, miejscowa tradycja miasta Malines, polegająca na podrzucaniu płachtą małej kukielki przez rozbawiony tłum; kukielki przezywanej *Hop Signorke* (Signorke, zdrobniale Signor, coś jak nasz panek, paniątko, paniczyk), od okrzyków wznoszonych przez tłum: Hop Signorke!

Prastary ten zwyczaj publicznego poniżania, karania (wspomina o nim Cervantes, maluje go również Goya) zachował się w jednym z miast dzisiejszej Belgii, *nic już nie znacząc*. Bawi mieszkańców miasta, bawi turystów. Tylko historycy, tylko poeci, w wytartym znaku próbują doszukać się fragmentów zagubionej przeszłości. Dodajmy na koniec, że oba karły, Chruń i Murga, spełniają w dramacie rolę chóru antycznego. Są wyrazicielami opinii publicznej, syntezą tłumy.

A resztę, niech w sobie usłyszy czytelnik, jutrzejszy widz któregoś z polskich teatrów.

Marian PANKOWSKI

Bruksela, 25 września 1956.

(15) Michel de Ghelderode, *Théâtre*, I t. Gallimard, Paris, 1950, wyd. dziewiąte.

(16) *Les Entretiens d'Ostende*, str. 187.

MICHEL DE GHELDERODE

HOP SIGNOR !

Dramat w jednym akcie

(Autoryzowany przekład

MARIANA PANKOWSKIEGO)

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1956

O s o b y

Małgorzata Harstein

Juréal, zwany Signor'em

Adorno

Helgar

Przewielebny Pilar

Różan

Chruń

Murga

Prokurator królewski

Tłum

We Flandrii, dawnymi czasy.

M i e j s c e

Ogród zapuszczony. Pośród krzewów i zielsk wybujałych widać rzeźby kamienne, figury świętych, płaskorzeźby, głowice, kolumny i zegary słoneczne. Wszystko to upodabnia ogród do opuszczonej budowy, bądź też do jakiegoś starego i zapomnianego cmentarza.

W głębi podwójny rząd schodów, obramowanych resztkami balustrady, prowadzi na kryty ganek, oświetlony przez szerokie, witrażowe okno, wychodzące na rynek. W tej, jakby galeryjce, zbudowanej na modłę klasztornej, widać również gdzieś stojące rzeźby. Minąwszy kilka stopni, można dojść tędy do głównej części gmachu, dokąd wiedzie dwoje niewidocznych drzwi — jedno po lewej stronie, drugie po prawej.

Od prawej strony zbliżają się dwa karły. Idą na szczydlach, jeden za drugim, i na dwa głosy pogwizdują melodię starego marsza. Niedostaje im garbate i brodate, jeszcze wzmogły swą brzydotę: Chruń paraduje w helmie przybranym w pióra i w płaszczu rycerskim, żółto-błękitnym; Murga po prostu przebrał się za kobietę i we włosy jak szopa zatknął wypchanego puhacza. U pasa zwisają im nadmuchane, wieprzowe pęcherze. Ledwie że kuszący, podobne do grubych żuków, naraz Chruń nieruchomieje, skrzeczając: „Ćwir-ćwir”. Murga zapytuje: „Kwak?” A Chruń wskazuje na krzewy, gdzie między kamiennymi figurami leży przycajony chudy mnich, szary i kanciasty jak kamień. Długo jeszcze będzie tak leżeć, przywarty nadzwyczajnym wysiłkiem woli i nie dostrzeżony przez nikogo. Ale przed czujnością karła nic się nie uchowa.

MURGA: — Nigdy nie braknie oka, ni ucha...

CHRUŃ: — Ni wysłannika Inkwizycji tam, gdzie by nawet diabeł nie poszedł...

MURGA: — Pod łóżkiem, w kominie, w piwnicy...

CHRUŃ: — Na strychu, w ścianie, na szafie...

MURGA: — Są płynni, bezkostni; po kreciemu podziemni, lub latający nad dachami...

CHRUŃ: — Są dookoła i przed tobą, są z tyłu i nad tobą, pod spodem, wszędzie i nigdzie. Są w tobie, są we mnie... uparci...

MURGA: — Jak wesz w twoich włosach...

CHRUŃ: — Jak parch na twej skórze Znajdziesz ich kłęzących, jakby się modlili...

MURGA: — Ekstaza węża! Kogo szpiegują?

CHRUŃ: — Świętego Jerzego, świętego Jacka...

MURGA: — Módlcie się za nami...

CHRUŃ: — Świętego Rumolda, świętego Michała, świętego Gumara...

MURGA: — I tego co nie ma ręki, i tego co niesie swą głowę ściętą.

Szpiegują proroków, męczenników, szpiegują Raj i Boga Ojca...

CHRUŃ: — I Syna i Ducha Świętego, nie zapominając o Matce Boskiej. (Czyni znak krzyża, Murga naśladuje go.) Ach, jakież świetnie szpiegują. A jeśli nie mają nic do pilnowania, sami na siebie w lustrze czatują.

MURGA: — Zdarza im się że szpiegują szpiega, jak to czyni ten klecha. Czyżby chciał się dowiedzieć co chowasz w swym garbie świętecznym?

CHRUŃ: — Ależ on ciebie szpieguje. Chce się dowiedzieć co kryje twa suknia.

Strójąc groźne miny, następują na siebie; jeszcze chwila a zderzą się.

MURGA: — Od twego wzroku mleko się warzy!

CHRUŃ: — Od twego oddechu padają muchy!

Ale zamiast się bić, padają sobie w objęcia, i kołysząc się jak kaczki, śpiewają falsetem:

CHRUŃ: — Jestem sobie jaje.

MURGA: — A ja twoja lupa.

CHRUŃ: — Jestem sobie kikut.

MURGA: — A ja kula do kikuta.

CHRUŃ: — Jestem sobie nieć.

MURGA: — Mogę ci za igłę być.

Klaniają się sobie, stukają się czołami.

CHRUŃ: — Pokój! Kim jesteście dzisiaj, kiedy miasto w przepychu tonie i zabawach? Karły wielgachne! Urosły nam nogi, wynosząc nas na wysokość człowieka! Czyżeśmy kiedykolwiek byli nikłego wzrostu?

MURGA: — Pięknyś, mój Chruniu!

CHRUŃ: — I ty, Murgo moja, pożądania bardziej godna, niżeli kobieta! Pobierzemy się o północy.

MURGA: — Zanim północ wybije, nasza dwójka świat zadziwi. I urosnie nasza popularność.

CHRUŃ: — Nie tylko w mieście będziemy sławni, zobaczysz, któregoś dnia Regentka wyśle nas do Hiszpanii, gdzie zostaniemy błaznami przy dworze.

MURGA: — Na to jeszcze trochę poczekamy. Ale po co przyszliśmy do Mistrza Juréala?

CHRUŃ: — A właśnie. Mistrzowi Juréalu, czy nie rodzi Pan we śnie jakiegos posagu? Ustami, czy przez kiszki? Znam takiego mnicha, co ochrzci ten posag!

MURGA: — Ponieważ lubi to co z pozoru szlachetne, uraczymy go turniejem. Ale najpierw rzućmy sobie wyzwanie. (Wymachuje jednym z pęcherzy i wola:) Czy utrzymuje Pan że moje nogi są z tego samego drzewa co i Pańskie?

CHRUŃ, drąc się przeraźliwie: — Oj, przytrę ja rogów holyszowi, co jak ten puhacz złorzeczy! Precz mi z drogi, bo jak nie, to kropnę tą kulą kryształową!

Pęcherze idą w ruch, z jednej i z drugiej strony. Słychać skłomlenia i popiskiwanie karłów. W końcu biorą się za bary, przy czym szczudła ich i kostiumy zaplątują się. Zaalarmowany hałasem przybiega Mistrz Juréal. Jest to mały, zwinnie człowieczek, robiący wrażenie ułomnego. Jest zgarbiony i jakby przetrącony, a jego zbyt ciężka głowa, poryta zmarszczkami — ale w zamian za to rozjaśniona wspaniałymi źrenicami — wygląda na źle osadzoną w ramionach. Chuchro to odziane jest razem ze swym garbem w czarną szatę z rurkowanego aksamitu, obrebioną popielicami, według przestarzałej już mody burgundzkiej. W rękę ma miecz. Ujrawszy karły, zbiega ku nim po schodach, w momencie, gdy straciwszy równowagę, padają i leżą jak długie, zaplątane w swoich szczudłach, płacząc z wściekłości. Na koniec udaje im się powstać, tym razem jednak na własne nogi.

JUREAL: — Bardziej się potłuki? Nie płaczcie, moi mali. Dziś kiemasz. Napijcie się słodkiego wina. Ja funduję. Murga, zobacz jak ty wyglądasz! Dziś pora na śmiech.

CHRUŃ: — Dzięki, Wasza Wysokość!

MURGA: — Widzi Wasza Wysokość, jak człowiek chce być zbyt wielki, to na dupę spada. To jego zachcianka.

Zamierza się na Chrunia szczudłem.

CHRUŃ: — Nieprawda, jej!

Krzyżują szczudła, jak do pojedynku.

JUREAL, staje między nimi i rozdziela je: — Brzydko się bawicie! Wasze krotochwile, szkraby, zawsze tak się kończą. A przecież garniecie się do zabawy. Pomimo waszego wieku, nic tylko psoty wam w głowie. Od czasu, kiedy byliście dziećmi, trzymają się was figle i lekkomyślność, chociaż z wyglądu...

Zacina się.

CHRUŃ: — Jesteśmy starymi dziećmi, prawda?

JUREAL: — Tak. Piszcicie po murach, śpiewacie pod oknami i nie dajecie przejść spokojnie żadnemu z mieszczan. Wszystko to zaprowadzi was pod pręgierz, gdyż nie zawsze pojmujecie sens tego, do czego was namawiają. Pomimo to lubię was bardzo. Mówią że jesteście złośliwi? Ta sama natura, która was upośledziła, dała wam myśl bystrą i nazbyt barwną. Wiem o tym i rozumiem was ponieważ jestem do was podobny. Bawiliście się? Śmiejecie się jak ja. Trzeba, byśmy się śmiali więcej niż ktokolwiek inny, gdyż widok nasz jest przygnębiający. Gdyby nie moje stanowisko, przyłączyłbym się chętnie na trzeciego do waszych zabaw. Poza tym muszę jeszcze przetrzeć stal mego miecza, który mam w darze od przyjaciela. Co za wspaniały brzeszczot, nieprawdaż?

Dobywa miecza i pobłyskuje nim.

CHRUŃ, szeptem: — Kupił go u handlarza starzyzną!...

MURGA: — Za długi dla Waszej Wysokości. Będzie skakać po bruku, czyniąc więcej zgielku, aniżeli bateria rondelków uwiązanych u psiego ogona.

JUREAL: — Kpijcie sobie ze mnie!

CHRUŃ: — Nikt nie kpi z Waszej Wysokości. Przeciwnie, całe miasto Go podziwia. Jakież tu nie podziwiać, gdy po tygodniu spędzonym na rusztowaniach katedry, pracownicy i zwinnie niż pajak, Wasza Wysokość potrafi jeszcze, każdej niedzieli i w każde święto, wysztafirować się i ośnienie od świtu do nocy?

JUREAL: — Gdybym chciał mógłbym nic innego nie robić, tylko przechadzać się w słońcu. Bylibyście zazdrośni? O co, szkraby? O strojniasia,

w którego pozwala mi się przedzierzgnąć mój dobrobyt, czy o pająka pracowitego? Dlaczego nie nauczycie się rzemiosła? Wspinalibyście się ze mną po wieżach, które odnawiam. Zostańcie raczej tym, czym jesteście — kpiarzami co stroją miny. Zawdzięczam wam już tyle pomysłów! Chodźcie ze mną, a utrwale was w glinie. Przybierzecie pozę straszne, albo blażeńskie.

MURGA: — Czarownica lecąca na sabat...

Dosiadł szczudła i ujeżdża je w kóło.

CHRUŃ: — Zakonnica wioząca swego diabła...

Wskakuje na plecy Murdze, który nie przestaje biegać w kóło.

JUREAL, *śmiejąc się do rozpuku*: — Unieśmiertelnij Was! Portal katedry, jak długi i szeroki, wypełnię waszymi gestami!

CHRUŃ: — Tak uwiecznieni będziemy tym okropniejsi.

MURGA: — Gdyby jednak Wasza Wysokość szukała innych modeli, proszę przyjąć do wiadomości, że cały szczepek karłów fryzyjskich zjechał na jarmark. Rozbiły tam swoją budę. Plotą, stroją miny, tańczą, improwizują — coś nadzwyczajnego! Są sluchy, że Regentka każe je zawołać do palacu.

CHRUŃ: — Podają również ostatnie nowiny z miasta; wygadani, że aż uszy pękają, a śmiałość ich wprawia w osłupienie! Odstawiają tam jedną rzecz, że ludzie tupią nogami, co, Murga?

MURGA: — Satyra na żonę, co mężowi rogi przypawiała. Wasza Wysokość zechce posłuchać? Ja będę za megierę.

CHRUŃ: — A ja za rogacza. A Mistrz, niech stanie tam, na gale-ryjce, aby z góry patrzeć na te łózkowe amory.

JUREAL, *przerwywa im, podchodzi kilką kroków, po czym podbiega na prawo*: — To ktoś do mnie, zmykajcie!

Karły zbierają szczudła i uciekają na lewo. Z prawej strony wchodzi Helgar i Adorno, dwaj młodzi i wytworni panicze, jeden piękniejszy od drugiego.

ADORNO: — Przychodzimy za wcześnie!

HELGAR: — A przecież karły zapewniali mię, że to ranny ptaszek, taki co żadnej mszy nie opuści.

ADORNO: — Schlebiamy próżności wyskrobka!... (*Idą ogrodem, podziwiając rzeźby.*) Jakże dobrze wie to straszycło czym przerażać stare kobiety!

HELGAR: — Zobaczył nas. Można by go wziąć za chrabąszcza, co się ubrał na niedziele.

JUREAL, *klania się*: — Witam Waszmościów! Niebo nazbyt mi łaskawe! Jakaż to wspaniałomyślność skierowała Wasze kroki ku mojej niegodnej siedzibie?

HELGAR: — Nic tylko przyjaźń kieruje nami, Mistrzu Juréalu.

ADORNO: — Przyciąga nas Pańska sława. Jesteśmy cudzoziemcami, stąd też interesuje nas wszystko. We Florencji, rzemieślnikowi o Pańskich zasługach nie zbywałoby na zaszczytach i zamówieniach. Rzeźbiłby Pan rydwany triumfalnie.

HELGAR: — W Londynie rzeźbiłby Pan dzioby królewskich okretów. Dlatego też nie możemy pojąć lekceważenia, z jakim odnosi się do Pana Regentka, tym bardziej że tak chętnie przebywa w towarzystwie poetów i architektów. Czyżby Pan nie wiedział jak schlebiać jej upodobaniom?

ADORNO: — Niedawno, bo wczoraj, usiłowaliśmy... Dla niej jest Pan kimś, kto majstruje diabły.

JUREAL: — Nie, nie jestem godzien takiej łaskawości i takich pochwał. Ach, Wielmożni, cóż to za szczęście być przez Waszmościów wyróżnionym!

HELGAR: — Jest to zrozumiałe; pochodzimy bowiem z krajów oświeconych, gdzie uczeni i artyści górują nad wojownikami i dworzanami.

ADORNO: — Jaki piękny kord, Juréalu!

JUREAL: — Czy dobrze cyzelowany?

HELGAR: — Odstąpię Waszmości któryś z moich, zahartowanych przewspaniałości. Czy Waszmość stale nosi kord?

JUREAL: — Wprawiam się. Proszę spojrzeć!

Przypasuje broń u prawego boku.

HELGAR: — Kord nosi się przy lewym boku. Jak inaczej mógłby go Waszmość dobywać z pochwy?

JUREAL: — Waszmościowie zechcą zrozumieć moje zmieszanie, spowodowane ich przyjściem!

HELGAR: — Zaraz Waszmościa pouczymy.

JUREAL: — Ileż dobroci okazują mi Waszmościowie! Mnie, u którego trzeba by wszystko poprawić i którego urodzenie jest tak poślednie.

ADORNO: — Gdyby urodzenie Waszmościa było niskie, czyż byłaby do pomyslenia nasza pogawędka w jego domu.

JUREAL: — Chcę przez to powiedzieć, że urodziłem się boleśnie, poniekąd niedokończony. Za to dusza, tego jestem pewien, urodziła się wysoko i okupuje mierność swej powłoki. Zresztą, czyż obecność Waszmościów, mężczyzn młodych i o kształtach tak harmonijnych, nie jest dla mnie jakby rehabilitacją? (*Śmieje się gorzko.*) A ponieważ, Waszmościowie, żądni jesteście poznawania, dowiedźcie się — co Was zresztą ubawi — że dotknięty jestem niezwykłą chorobą, której żadna pielgrzymka nie jest w stanie uleczyć. Zsyłam się! Z każdym rokiem szkielec mój maleje! Komiczne, nieprawdaż?

ADORNO, *do Helgara*: — Jego pokora graniczy z upodleniem!

JUREAL: — Czas ryje we mnie bruzdy. Staję się porowaty, wykruszam się. (*Przestaje się śmiać.*) Pleśń mię porasta. Jeszcze trochę a Waszmościowie zobaczą, jak pieczarki zaczną mi rósć na głowie. (*Milczy przez chwilę.*) Moim też chuderlactwem i osobliwym wyglądem tłumaczę sobie pogardę, jaką daje mi odczuć Regentka, uważając mnie niechybnie za nieokrzesanego kamieniulupa.

HELGAR: — Niech Waszmość przededzi tę myśl. Regentka wytywała się o zdrowie Waszmościa i rozmawiała ze mną o piękności żony Jego, bowiem mówiono jej o tym. Zresztą, nie mam pojęcia skąd ten chłód u istoty tak uduchowionej, która wszystko pojmuje i wszystkiemu przychylna.

ADORNO: — Zdaje mi się, że wiem o co chodzi. Sztuka Pańska, Juréalu, jest świadectwem czasu, który mijał bezpowrotnie. Trzeba by postępować tak, aby się podobać, a Waszmość wprost przeciwnie. Oczy dzisiejszych artystów zwracają się w stronę starożytności. Dzieła ich nie wyrażają, jak dawniej, nadziei lub zwątpienia trapiącego chrześcijanina, lecz radość życia, radość odkrywania pierwszych przyczyn i praw odwiecznych tego świata. Poniechaj Waszmość zdrętwiały na śmierć kamień co czerwień, i przyjeżdżaj do Włoch, aby nauczyć się jak dobywać płomienia i śpiew z marmuru!

HELGAR: — Rzeźb nam Waszmość młodego Bakchusa, albo pęk roześmianych aniołków!

JUREAL: — Traficie w sedno, Waszmościowie! Niestety, wszystko co wyjdzie spod mej ręki jest szorstkie i wykrzywione, jak w konwulsji! Toteż marmur mój, jak i kamienie, pokryłyby się grymasem. Pojmuję ja

dobre owo nowe oblicze Piękna, widzę je... ale nie umiem go wyrazić. Jestem pogrobowcem — tak, to prawda! — przeżytkiem, jak te katedry, niegdyś białe, a dziś poczemniałe i ciemne, i które pójdą na rozbiórkę, skoro tylko zaczną się chylić do upadku.

ADORNO: — Czyż nie był Waszmość zajęty rzeźbieniem Wenus?

JUREAL: — To tylko Ewa!

HELGAR: — Zasepiliśmy Waćpana, poczciwy Juréalu. Niechże Waćpan precz przepędzi te chmury.

ADORNO: — Dosyć tego mówienia po próżnicy. Tym bardziej że przyszliliśmy zaprosić Waćpana na przechadzkę. Czy zaszczyca nas Waćpan swą osobą?

JUREAL: — Chętnie, o ile Waszmościowie nie wstydzą się mej osoby. Ach, jakże Wy umiecie rozwiać moje czarne myśli!

ADORNO: — Jak tylko skończy się procesja, nasz orszak patrycjuszowski wyruszy na miasto i przejdzie pod krążankiem, na którym łaskawie ukaże się Regentka. Waćpan będzie kroczyć pomiędzy nami, i kiedy pokłonimy się Jej Książęcej Mości, Waćpan uczyni tak samo. Być może iż wówczas Regentka zechce zainteresować się osobą, która nam towarzyszy.

JUREAL: — Aż nie śmiem w to uwierzyć.

HELGAR: — Niech Waćpan przewycięży swe zadolenie. Obojętność jest oznaką szlachectwa z urodzenia.

ADORNO: — O szlachectwie z urodzenia świadczy również pewna szczególna postawa, jako też dobór szat. Chyba nie zostanie Waćpan w tym do niczego niepodobnym ubiorze, pamiętającym — mogę się założyć — ostatniego z książąt Burgundii?

JUREAL: — Cóż też Waćpan sobie wyobraża? Kazałem sobie skroić ubranie na wzór stroju Waszmościów.

HELGAR: — W porządku. Punktualnie w południe, na esplanadzie. Zanim jednak Waćpana pożegnamy, będziemy mogli pokłonić się Jego małżonce?

ADORNO: — Najcudowniejszej pomiędzy rzeźbami...

JUREAL: — Zaraz! (Wola.) Małgorzato! Zejdź-no! Jaśnie Panowie przyszli.

ADORNO: — A gdybyśmy tymczasem popróbowali korda? Juréalu, niech Waćpan spojrzysz jak trzeba stanąć w pozycji.

Adorno i Helgar dobywają kordów i stają w pozycji.

JUREAL: — Widzę. Ach, jakże ona się guzdrze! Waszmościowie pozwolą, że pójde jej powiedzieć, aby się pośpieszyła?

Wchodzi po schodach, następnie galerijką dochodzi do drzwi po prawej stronie i puka.

HELGAR: — Jak nim nie gardzić! Gdyby wiedział że jest przedmiotem kpin całego miasta, gdzie wszyscy, na pośmiewisko, nazywają go Signorem!

ADORNO: — Gdyby wiedział, że Regentka chce bym go przyprawdził pod jej krążanek jedynie po to, aby zobaczyć jego krygowanie się i umizgi. A oto i wyskrobiek.

JUREAL: — Mruknęła mi coś w odpowiedzi, co nie jest w zwyczaju rzeźb, lecz kobiet. Jestem gotów, Jaśni Panowie.

ADORNO: — W pozycji do walki, Juréalu.

Juréal przyjmuje pozycję, z kordem w ręku.

HELGAR, z miną arbitra: — Schować łokieć, wypiąć pierś.

W tym momencie wybuch rześistego, dźwięcznego śmiechu. Małgorzata Harstein ukazuje się na galeryjce. Juréal i obaj szlachcice podrywają się jakby smagnięci tym śmiechem.

MAŁGORZATA: — Co za nieostrożność, Wielmożni Panowie! Dajcież mu raczej kawał listwy! Chcecie, aby się pokaleczył? Wspaniale młodzi, czyż nie mielibyście innych rozrywek?

ADORNO, kłaniając się: — Chcieliśmy jedynie uczynić zadość Jego pragnieniu.

MAŁGORZATA, zstępując ku nim po schodkach: — Ileż w tym szczodrości, i do tego jak ulokowanej. Czyż w ten sposób chcecie mi Waszmościowie złożyć swe uszanowanie, że doprowadzacie do szaleństwa tego i tak już maniaka? A Waćpan, łamago, ma nadzieję stać się bardziej męskim, imitując ludzi przywykłych do spraw miecza?

Wyrzyna kord zawstydzonemu Juréalowi i rzuca go na ziemię.

HELGAR, kłaniając się: — Niechaj go Waćpani nie krzywdzi, bo gotowiśmy sobie pomyśleć, że współczucie, które zakwita w sercach kobiet należy do legend.

ADORNO: — Proszę nań spojrzeć, nie wie co się z nim dzieje.

JUREAL: — Małgorzato, nasi szczęśliwie urodzeni goście zaszczylili mnie i Waćpanią swą obecnością. Niech Jaśnie Panowie wybaczą jej ten wybuch.

Nie może się powstrzymać od łez i płacze.

MAŁGORZATA: — Co, przelewa się rynną? Czy to tak trzeba się zachowywać w obecności Panów Szlachciców? Idźże Waćpan obtrzeć sobie nos, i nie pokazuj się zanim nie ubierzesz się jak człowiek.

Popycha Juréala w stronę schodów. Rzeźbiarz wbiega na pięterko i znikną po lewej stronie. Małgorzata i Panowie dają upust powstrzymywanemu śmiechowi.

HELGAR: — Jest Waćpani nieczuła dla naszego druha.

MAŁGORZATA: — Cóż to szkodzi Waszmościom, jeżeli dla Was jestem czuła? Naprawdę, cieszę się bardzo, że mogę tutaj gościć Waszmościów. Prędko! Niech zakwitają na Waszych ustach kwieciste komplementy, które macie dla mnie.

ADORNO: — Owszem, pragnąłbym tego bardzo, ale widok Waćpani wzbudza we mnie dziwny szacunek. Komplementy moje tracą swój zapach i coś zniewala mię by traktować Waćpanią tak, jak nigdy dotychczas nie traktowałem kobiety.

MAŁGORZATA: — Często przechodzicie pod moim oknem. Jestem Waszmościom za to wdzięczna. Toteż przesatcie mówić mi o mężu moim jako o waszym druhu, aby tym upozorować swe wizyty. Macie go w pogardzie tak jak i ja, tak jak należy mieć w pogardzie wszelką brzydotę.

HELGAR: — Kobieto, której nie podobna nie ulec. Jakież więc będzie mogła Waćpani mieć nas w poważaniu, Pani, dla której niczem są bogactwa i dostojeństwa — a która ceni u ludzi jedynie ich urok i doskonałość?

MAŁGORZATA: — Robicie, Waszmościowie, jak widzę, wszystko, abym głośno uznała że nie zbywa Wam na piękności, tak jednemu jak i drugiemu? Jesteście piękni, na pewno, i nawet nie wiem który z Was góruje!

HELGAR: — Waćpani jest świadkiem naszego zmieszania.

ADORNO: — Chyba że w ten sposób chciała nas Waćpani zwieść?

MAŁGORZATA: — Jestem szczerą, i to bardziej niż przystoi. Dziękuję zatem Waszmościom za odwiedzinę; grzeczność za grzeczność.

Przychodźcie często. Mąż mój postrada głowę z radości, a Waszmościom sprawi to przyjemność — tak jak i mnie.

ADORNO: — Nie inaczej postępowano ongiś, w czasach rycerskich. Jeżeli takie jest życzenie Waćpani, możność podziwiania jej wprawia nas w zachwyt. To wiele, ale...

HELGAR: — Byłoby to wszystko, czego mamy prawo oczekiwać?

MAŁGORZATA: — Rozumiem Was, urodziwi Panowie. Jeśli ktoś tak składnie przemawia, to znak że mniej chodzi mu o słowa, a więcej o czyny. Jednakże trąciłaście się łokciami, który więc z Waćpanów oświadcza się pierwszy?

HELGAR: — Piękna Małgorzato, proszę darować mernu przyjacielowi; kocha Waćpanią!

ADORNO: — To ty żyć mi nie dajesz, mówiąc w kółko o swej namiętności, jaką żywisz dla Waćpani!

HELGAR: — Dla twojej...

ADORNO — Dla twojej...

MAŁGORZATA, *śmiejąc się*: — Dla Waszej, skoro złudzenia są Waszym wspólnym udziałem. A przecież takim szlachcicom jak Waszmościowie chyba nie brak miłości?

HELGAR: — Mieliśmy ich tyle, że dziś pociągają nas jedynie miłości nieprzystępne.

ADORNO: — Nawet miłości bez cienia nadziei.

MAŁGORZATA: — Nic a nic nie pojmuję z tej mowy, ani wyczytać potrafię cokolwiek z twarzy Waćpanów, tak wyrazistych w tej chwili. Czy jestem naprawdę naiwna, czy tylko udaję? Po prostu obca mi jest zupełnie owa miłość, o której Waszmościowie tak ciekawie rozprawiają. Dojdziecie jednak w końcu do przekonania, że o miłości nie wiem nic.

HELGAR: — Niech Waćpani rozkaże, aby Ja nauczył!

MAŁGORZATA: — Na Wasze nieszczęście, Waszmościowie, nie ma we mnie za grosz ciekawości. Nie posiadając wady owej, mam prawo powątpiewać o mej płci. Nikt dotychczas, a zwłaszcza ten komu przypadł ten obowiązek, nie nauczył mnie owej miłości, która — jak mówią — jest aktem. Czyżby istniały we mnie miejsca martwe?

ADORNO: — Potrafimy przywrócić im życie. Jeśli Waćpani tego pragnie.

MAŁGORZATA: — Jeśli kiedyś tego zapragnę, dam znać Waszmościom. Tylko czy się domyślicie?

HELGAR, *do swego towarzysza*: — Zagadka, nie kobieta!

ADORNO: — I co za subtelność w mówieniu o tym, o czym — jak twierdzi — nic nie wie. Czy przyjdzie nam podziwiać jej umysł na równi z jej ciałem?

MAŁGORZATA: — Wzrusza mię zakłopotanie Waćpanów, wiedzieć jednak że nie należę do rzędu tych, które pragną podirzymywać płomień w sobie, lub w kimś innym, albo opóźniają grzech, aby go potem zażyć tym lepiej.

ADORNO: — Małgorzato, odeszliśmy daleko od oklepanej gadaniny. I nie wiedziałbym co Waćpani odpowiedzieć, gdybym się odważył na odpowiedź...

MAŁGORZATA: — O, bynajmniej nie oczekuję odpowiedzi. Adorno, cóż uczyniłam, że Waćpan taki wzburzony? I Waćpan też, Helgarze. Pobledliście obaj. Gdzie ja już Waćpanów widziałem, z tym samym wyrazem twarzy?... We śnie. Tak często przechodziliście pod mým oknem, że pewnego razu wstąpiłście w mój sen. (*Śmieje się.*) Och! Między nami nic nie było. (*Ciszej.*) Była noc i burza. Waszmościowie nie byliście we dwójkę, jak się Was, moi drodzy, zwykło widywać. Był jeden z Was.

Waszmość, Helgarze. Nieomal naga, dysząc, szłam drogą, wśród ciepłego deszczu. Nagle, w blasku pioruna, Waszmość wyskakuje z fosy... z twarzą jak teraz... odziany w wilczą skórę...

HELGAR: — Ukaz mię, Waćpani, za owe złoçynystwa, co zasły wbrew mej woli.

MAŁGORZATA: — Za cóż karać? Waszmość powalił mnie jedynie na ziemię. Nie bronilał się. Ogarnęła mię trwoga, która jednak potem wydała mi się gwałtownym szczęściem. Ponieważ obudziłam się zbyt wcześnie, zdrowa i cała. Podczas takiej nocy, za sprawą snu, omal że nie odkryłam sensu owej miłości, której kobiety, w snach swych, przypisują urok i omalenie.

ADORNO: — Zazdroścę ci, Helgarze! Od dziś będę z tobą nawet w koszarach kobiet.

MAŁGORZATA: — Zapewniam Waszmościów, że to się już nie powtórzy. Zazwyczaj śpiam dobrze.

HELGAR: — Usłyszawszy opowieść Waćpani, czuję jak trapią mię wyrzuty sumienia; jakbym popełnił zły uczynek.

ADORNO, *śmiejąc się*: — Co najwyżej żalujesz, że nie było ci danem dokończyć gestu napastnika!... Trzeba ci było ryzykować że ofiara twa zbudzi się, gdy ją zbyt brutalnie zwalił na ziemię?

MAŁGORZATA: — Co do żalu — ofiara podziela go na równi z napastnikiem, gdyż gwałt ów byłby jej objawiał to, czego jej nie nauczą jak najbardziej perwersyjne rozmowy. (*Helgar i Adorno, podnieceni przysuwają się coraz bliżej do Małgorzaty, która uwalnia się z ich objęć.*) Nie! Mówiąc o tych sprawach, już nigdy nie posunę się tak daleko! Co pomyślicie o mnie, jeżeli w nocy Waszmościów odejdzie sen?

HELGAR, *siląc się na śmiech*: — Odtąd zawsze ujrzę się biegnącym w czasie burzy.

ADORNO: — A będziesz wierzyć żeś zmieniony w wilka?

MAŁGORZATA: — Niech Waszmościowie pamiętają o celu swej wizyty! (*Z lewej strony ukazuje się wysztafirowany Juréal. Jakby onieśmielony, zatrzymuje się na szczycie schodów i obciąża swój ubiór.*) Jestem pełna zachwytu, że oglądały mię błyszczące źrenice Waszmościów, podobne źrenicom młodych a głodnych zwierząt patrzących na nową zdobycz. W miłości, jak czytałam, rzeczą najważniejszą jest aby odczuwać głód, a nie aby być zasyconym. Pozostańcie nadal chudymi i łaknącymi, takimi Was lubię. I zawsze niech widzę Wasze zęby.

HELGAR: — Niech Waćpani nie wywołuje wilka z lasu, powabna Małgorzato. Bo jeżeli ugryziemy?

MAŁGORZATA: — Pohamujcie się, Waszmościowie! Oto mój pan i władca, ubrany ni-przyszył-ni-przylatał, i jakby osłupiał na widok swej żony, do której zalecają się dwaj szlachcice. Niech się zdziwi jeszcze bardziej, zgoda? Daję Waszmościom dłoń moją do pocałowania, obydwu naraz.

Podaje im rękę, Helgar i Adorno pochylają się jednocześnie.

HELGAR: — Po tej nieoczekiwanej łaskawości, na cóż jeszcze będzie nam wolno czekać, w nadziei że...

MAŁGORZATA: — Na co się Waszmościom żywnie spodoba. Nadzieja nikim nie wzgardzi. (*W stronę domu, do Juréala.*) Niechno Waćpan podejdzie. Nasi dobrodzieje już odchodzą.

JUREAL, *zbliża się*: — Znoście mój widok, Waszmościowie. A oto mój ubiór.

ADORNO: — Dobrze Waćpan dobrał.

HELGAR: — Miło patrzeć na szaty Waćpana, upodobniające go do

nas niemal całkowicie. Proszę dotrzymać słowa i stawić się na spotkanie, nasz stary druha!

JUREAL, *klaniając się*: — Do nóg upadam!

Adorno i Helga klaniają się najpierw Małgorzacie, następnie Juréalowi i wychodzą.

MAŁGORZATA, *po chwili milczenia*: — Waćpan, jak widzę, osłupiał? Proszę, niech się mąż mój zbliży, niech się obróci... W tym stroju Waćpan wygląda tak zalotnie, że poproszę rajców miejskich, aby go w ratuszowej wieży za dzwonnika zamknęli. Całe miasto będzie zadzierać głowę, aby go zobaczyć!

JUREAL: — Oszczędź mię Waćpani!

MAŁGORZATA: — Syczy i chowa głowę niczym żółw rozwścieczony chowa swoją pod szylkret. Co Waćpana, tak nagle, doprowadziło do wściekłości? Czy to że był przedmiotem kpin przed gośćmi? Sam mi Waćpan daje ku temu sposobność. (*Milczy.*) A może razi Waćpana moja poufalskość z jego przyjaciółmi?

JUREAL: — Czy robiłem Waćpani z tego powodu wyrzuty?

MAŁGORZATA: — Innym razem brał mi Waćpan za złe, że byłam zbyt powściągliwa. Cokolwiek bym więc zrobiła...

JUREAL: — Czy robiłem Waćpani z tego powodu wyrzuty?

MAŁGORZATA: — Czy w ogóle odważyłby się Waćpan zarzucić mi cokolwiek?

JUREAL: — Rzeczywiście, nic. (*Idzie ku niej.*) Daruje Waćpani?

(*Małgorzata wstępuje na schody.*) Małgorzato!

Małgorzata przystaje.

MAŁGORZATA: — Czego Waćpan żąda ode mnie?

JUREAL: — Pragnę Waćpanią prosić, aby mi towarzyszyła w czasie przechadzki. Należy do zwyczaju, że w czasie kiermaszu małżonkowie pokazują się razem.

MAŁGORZATA: — Po to, aby usłyszeć krocie wulgarnych przyćinków, rzucanych w stronę dziwacznej pary, jaką jesteśmy. Niech Waćpan idzie. We mnie budzi odrazę ten motłoch, szyderycy i prostacki.

JUREAL: — Ten poczciwy, ohochoy i drogi ludek?

MAŁGORZATA: — Ta czerń, co się płaszczy przed tyranami na książęcym tronie, ale nie posiada się ze szczęścia, kiedy jej pozwolą wyć pijackim głosem i tłuc dzbany na kiermaszu; wtenczas czuje się wolna i dzielna!

JUREAL: — Krocząc sam jeden, tylko potwierdzę naszą małżeńską niedolę.

MAŁGORZATA: — Czyż mózg Waćpana tak dalece skamieniał? Czyż ma Waćpan uszy swoich posągów, że nie słyszy wymysłów, jakimi jego poczciwy ludek obrzuca go po drodze?

JUREAL: — Nigdy nic nie słyszałem. A cóż takiego mówią, czego bym nie słyszał?

MAŁGORZATA: — To, o czym wszem i wszystkim wiadomo! Ze rzeźbiarstwo tylko w ramieniu dostaje męskości, a i to tylko po to, aby ciosać kamienie nagrobne... (*Śmieje się.*)

MAŁGORZATA: — Toteż nie trzeba okazywać zdumienia na widok rosłych szlachciców, odwiedzających często dom rzeźbiarza pod pozorem przyjaźni...

JUREAL: — Kłamstwa! Nikt tak nie mówi i nikt tak nie myśli.

MAŁGORZATA: — Pokazują na mi, szepcą o tym i śpiewają. A czego nie śpiewają, gwizdzą. To mianowicie, że mąż byłby w skrytości

swej przewrotnie zadowolony, widząc swą żonę w ręku szlachciców i, że oprócz tego, liczy na względy w zamian za jej łózkową powolność.

JUREAL: — Waćpani nie zamilknij!

MAŁGORZATA: — Co, Waćpan się buntuje, zamiast być raczej przynębionym tym, o czym mu donoszę? Albo, niech Waćpan — podobnie jak ja — lekceważy ludzką obmowę. Nie wierzę w zamysły, które Waćpanu przypisują, znając jednak zawiloci duszy, ukrytej w jego ciele, nie czynię Waćpanu wyrzutów z powodu jego małoduszności. Nie mniej, szczęście Waćpana, że nie mam miłosnych zachcianek — w przeciwnym bowiem razie postępowałabym zgodnie z obmową, aby Waćpan nauczył się cenić honor...

JUREAL: — Czy zdradziłaby mię Waćpani?

MAŁGORZATA: — Tak! Jeżeli taki byłby mój kaprys, albo jeśli miałabym na to ochotę. Zresztą, czy wiąże mię z Waćpanem chociażby najdrobniejsze uczucie? I czy nie mam prawa do męskiej pieśczoży?

JUREAL: — Zemściłbym się!

MAŁGORZATA: — Waćpan? (*Frenetycznie.*) Nareszcie stał się bohaterem! Sądzi że jest zdradzany, i to podwójnie! I nie pojmuje, że będąc zdradzonym przez swych przyjaciół, osiąga przez to coś w rodzaju szlachectwa, szlachectwa jakiego pragnie! Mścić się, kiedy powinien by mię pochwalić. Nie, jeszcze wpada w gniew! (*Biegnie ku schodom.*) Byłby szlachcicem! (*Skreca na prawo, w stronę swego pokoju.*) Jaśnie Panem, nobilitowanym za sprawą podbrzusza!

Znika. I słychać jak nacicha jej drwiący śmiech. Juréal nareszcie daje ujęcie swemu gniewowi: skacze w miejscu i tupie nogami. Wymawia słowa niezrozumiale, kąsa swe ręce zwinięte w pięść, i wygląda jakby się dusił. Następnie, jakby mu gniew przydał skrzydeł, w skokach przebiega schody i biegnie galerijką na prawo, do drzwi, próbuje je otworzyć i powraca, nie przestając powtarzać: „Niedobra!... niedobra!...”. Chwyta fragment rzeźby, unosi go nad głowę, chcąc nim wywalić drzwi, ale zaczyna chwiać się pod ciężarem i zruca glaz w ogród. Kamień omal że nie miażdży Przewielebnego Pilara, ukrytego przez cały czas pośród posągów i krzewów. Mnich krzyczy z przerażenia i wyskakuje ze swej kryjówki. Chce uciekać, widzi że go odkryto, poznaje Juréala, który stoi jak wryty, przynębiony swym niefortunnym uczynkiem.

JUREAL, *schodzi śpiesznie w stronę mnicha*: — Proszę mi darować, nie wiedziałem że ojciec był tutaj.

PILAR: — Byłem tu. Tylko co wszedłem, w chwili gdy wybuchła wasza sprzeczka. Nie mogąc się wycofać, stanąłem dyskretnie na uboczu. Woląłem żeby mię żona Waszmości nie spostrzegła. Wiem, że nie cierpi mnie, tak jak i nie cierpi Waszmościa, biedny Juréal!... Niech się Waszmość nie martwi. Boli? Człowiek cierpiący nigdy nie jest śmieszny. Słyszałem wszystko. Niedobra? Jeszcze gorzej. (*Ujmuje ręce Juréala.*) Ciępi, mój synu, ciępi całym sobą.

JUREAL: — Cierpię, codzień i każdej godziny. Cierpię z powołania i niewątpliwie cierpiałbym, gdyby mi brakło cierpienia. Taki już los. Dlaczego jednak tym razem zbuntowałem się? Przebrała miarę.

PILAR: — Opetana i uparta w swej złości. Juréal, Waszmość wie, jak go kocham.

JUREAL: — Ojciec jest jedynym, który mnie nie odtrąca. Wszyscy inni mnie nienawidzą.

PILAR: — Waszmość jest na tym świecie jedynym człowiekiem, który mi się zwierza, mnie, mnichowi omijanemu przez wszystkich, mnie Pilarowi, spowiednikowi skazańców... (*Żarliwie.*) Czy wiemy co nas łączy?

JUREAL: — Pewnie to, że potrafimy znieść ból. Każdy swoją dolę. Nie ważny jest powód. Byliśmy tylko czuli nasze serce odzieraną ze skóry, bo bez tego każdy z nas byłby człowiekiem bez czucia i bez życia. Nikim!

PILAR: — Waszmość, jak sam to powiedział, cierpi z powołania. Wszystko, czego by Waszmość nie dotknął, nabiera wyrazu cierpienia. I właśnie dlatego, sztuka Waszmości nie podoba się! Jego anioły i święci mają twarze poryte męką. Nazywa się Waszmościa ukazującym Piekieł, i dziś, w czasach będących powrotem do pogaństwa starożytności, nikt już nie pojmuje wzniosłości Tych dzieł, Juréalu. Jestem jedynym, który śni o piekle, tak jak śni o nim Waszmość. Jedynym, który widzi to samo piekło co Waszmość, i lęka się, aby ów sen nie uległ zmianie — nawet w niebie...

JUREAL, *ujmując ręce mnicha*: — Ojciec Pilarze, czyżby Ojciec padł w rozpacz? Ręce Ojca palą i jakiś ogień bije od niego! Wszystko, czego dotkną Wasze ręce staje się palące.

PILAR, *wyswobodza się z uścisku przyjaznych dłoni*: — Rozpaczać? Zgrzeszyłbym strasznie przeciw Duchowi Świętemu! Tracę nadzieję, ale tylko w samego siebie — że nie jestem świętym. Co stoi mi w tym na przeszkodzie? Bóg winien wiedzieć co, lecz przede wszystkim Szatan. Gdybym był pozostał w Hiszpanii, byłbym już świętym. Jakim próbom chciano mię poddać, posyłając mnie do Flandrii? (*Zbliża się do swego przyjaciela.*) To słabość, wyznać coś takiego. Wygląda, jakbym szukał pociechy, podczas gdy zadaniem moim jest pocieszenie. Ale tak mną wstrząsnęła ta wstrętą kłótnia...

JUREAL: — Przestałem nad sobą panować. A jak postąpiłby Ojciec? PILAR: — Ja? (*Śmieje się głucho.*) Odpowiem ci... (*W porywie chwytając ramię zwisające mu u pasa i jak szalony zaczyna biczować wrojoną pokutnicę.*) O tak...

Zacisnąwszy zęby, siecze zawzięcie powietrze.

JUREAL: — O tak!... Mocniej!... Jeszcze mocniej... Niech odpokutuje!...

PILAR, *zatrzymując się nagle*: — Cóż to dla niej za pokuta?

JUREAL: — Nie pojmuję co Ojciec chce powiedzieć? Cóż pozostaje, jeżeli Ojciec jej nie ukaże?

PILAR: — Módl się za mnie, jak ja modlę się za ciebie.

JUREAL: — Modli się Ojciec za nią?

Cisza. Mnich przypasuje z powrotem swe ramię.

PILAR: — Wybierałeś się na kiermasz?

JUREAL: — Tak, wesół i rad, a terazem jak struty.

PILAR: — Kobięce gadanie? Machnij ręką!...

JUREAL: — Trucizna pozostanie. Wystarczy że spojrzę na przyjaciół, a już jakby mię wąż ukąsił. Lotry! Rzucę im w myśl. Dziwka! Będzie wolał na mą żonę. A widziałem w niej posąg czystości...

PILAR: — Czystość jest namiętnością, która drzemie.

JUREAL: — Nigdy więc już Ojciec nie ukoi mej duszy?

PILAR: — Strzeż się spokoju duszy! (*Brutalnie.*) Dość tego, trzeba abym do ciebie mówił, jak mówię do innych. Chcesz wiedzieć, czy twoja żona cię zdradza?

JUREAL: — Po tym jak mię dziś sponiewierała... Każde jej słowo raniło mię do żywego.

PILAR: — Kochasz swą żonę, czy też bliższym ci jest cierpienie?

JUREAL: — Cóż Ojcu odrzec?

PILAR: — Twoje miłosne rozterki, twe przyziemne tarapaty, ani mnie ziębią, ani grzeją! Prawdy należy pragnąć dla niej samej. Trzeba

tylko sprawdzić, czy blask sakramentu nie został przyćmiony. Postaram się o tym dowiedzieć.

JUREAL: — Koniecznie.

PILAR: — Jestem twoim spowiednikiem, ale nie jej... Ona nie dopuści mnie do siebie, za każdym razem tak robi.

JUREAL: — Niech Ojciec raz jeszcze spróbuje. Może go przyjmie? Może w tej chwili, przybita swą własną gwałtownością, czeka, aby ktoś się do niej zbliżył, pożałował jej i pomógł przemówić... Niech Ojciec tak zrobi, bo czuję nieszczęście nad głową, wiszące jak ten głaz, który omal nie zmiażdżył Ojcu czaszki.

PILAR: — Spróbuje.

Wstępuje pomalu po schodach i skręca na prawo.

JUREAL: — O! Dzięki...

Idzie w ślad za mnichem, ale skręca w lewo i znika. Pilar zatrzymuje się, spogląda na drzwi, potem zavraca i, oparłszy się o kolumnę, pogrzeza się w rozmyślanach. Od o-rodu nadchodzą Chruń i Murga. Spoztrzegliwszy Pilara, czynią błazeńskie znaki krzyża.

CHRUŃ: — Co? Mnich od szubienicy? Oj, nieszczęście!...

MURGA: — Rychtuje się do spowiadania naszej pani, to widać. Będziemy podsłuchiwać pod drzwiami.

CHRUŃ: — Zobacz, jak mu się wargi ruszają. Czyżby się modlił?

MURGA: — Gdzie tam, ślini się. Chruń, jego nie ominie aureola.

CHRUŃ: — Onże wyprostuje garby garbatych. Święty Pilarze, módl się za nami...

MURGA: — Będzie się czytać w jego żywocie, że mdlał z obrzydzenia na widok grzechu...

CHRUŃ: — Ze postradał był nadzieję iż kiedykolwiek ulegnie złu, bowiem opierając mu się, tak wielkiej zażywał przyjemności. Święty Pilarze...

MURGA: — Kłapiący zębami z niewinności...

CHRUŃ: — Święty Pilarze, ociekający potem czystości...

MURGA: — Święty Pilarze, dyszący wstydem...

PILAR, *wyrwany z rozmyślań*: — Robactwo! (*Nachyla się ku nim.*) Przychodźcie, żeby wyrecytować waszą lekcję?

CHRUŃ: — Byliśmy już tutaj. Lekcja zostanie powiedziana tak, jak sobie tego Ojciec życzy.

PILAR, *znowu pochłonięty myślami*: — Trzeba, żeby stary nie przestawał się niepokoić, żeby robak zwątpienia toczył mu serce. W międzyczasie kłamstwo ruszy w świat tysiącem skrytych ścieżek, niczym wody podskórne. Bywa, że kłamstwo jest tylko przedwczesną prawdą...

MURGA: — Mądrala, nie ma co!

PILAR, *zapomniawszy o obecności karmów*: — Będzie upokorzona. U moich stóp się upokorzy. Skruszę jej pychę. Jest winna. I nie ważne jest co zwinila. Doprowadzę ją do tego że uzna się za winną. A jeśli nie jest nią w rzeczywistości, jest nią w myślach, przez to samo, że uważa się za nieskazitelną. Czyż poza Matką Jezusa mogłaby się zdarzyć istota niedotknięta grzechem? Nie, bo Krzyż i jego Ofiara straciłyby swój sens! (*Spostrzegła karmy.*) A wy co, słuchaliście?

CHRUŃ: — Podziwiamy skurcze wściekłości przebiegające po ascetycznym obliczu Ojca! To murowane, Ojciec powtarza sobie kazanie.

PILAR: — Powiedzcie mi jeszcze — a nocą, kiedy czatujecie?...

MURGA: — Nie dowiedzieliśmy się niczego, co mogłoby się Ojcu przydać. Ta kobieta, nic tylko śpi. I mogą sobie nawet trąbić trąby zwolujące na Sąd Ostateczny!

CHRUŃ: — Śpi, nie czyta ksiąg kabalistycznych, i na miotle nie lata. Ojciec Pilarze, zbyt wiele się spodziewacie...

MURGA: — Bo chyba tych kilka groteskowych scen małżeńskich... Pani ma skora rękę, to mogę potwierdzić!

CHRUŃ: — Toteż Signor nie zapuszcza się już do sypialni małżeńskich.

PILAR: — Czy naprawdę nie się między nimi nie dzieje?

MURGA: — Nic, co by można zobaczyć.

PILAR: — Dość, śmierziele...

Idzie na prawo.

CHRUŃ: — Hej, Ojczulku, a co się z nami stanie po śmierci? Będziemy aniołami?

PILAR: — Będziecie latać, ale na nietoperzych skrzydłach...

Puka do drzwi po prawej stronie i, kiedy mu otwierają, wchodzi do środka.

CHRUŃ, *pluje za Pilarem*: — Być mnichem, to w sam raz coś dla mnie.

MURGA: — A ja zakonnica.

CHRUŃ: — Wystarczy mieć habit i być niechluj.

MURGA: — I wszędzie strzyc sobie brodę.

CHRUŃ: — Załatwione! Już cię spowiadam!

Zwala Murgę na kolana i podwija jej kciecki.

MURGA: — Nie chcę! To sodomita, jeszcze mi zrobi krzywdę!

CHRUŃ, *dając Murdze klapsy w tyłek*: — Co? Jeszcze nie wołaś „mea culpa”?

Od lewej pojawia się Juréal, w butach po pas. Twarz ma błyszczącą, napomadowaną, a na głowie kapelusz ozdobiony piórami. Na ramiona zarzucił płaszcz z wiśniowego aksamitu, obrzeżony złotem. Przystaje i przygląda się zabawie karyłów. Po czym schodzi, nie mogąc dać sobie rady ze zbyt długim płaszczem i dzwoniącym o schody kordem. Karły podrywają się i biegną ku niemu, cmokając z podziwu.

MURGA: — Cóż to za rycerz? Czyżby nasz Pan?

CHRUŃ: — Onże sam, wspaniały. Z drogi, hołszye!...

JUREAL, *ubawiony, idzie dalej i omal nie upada. Karły podbiegają*: — Dziękuję wam, moi mali. Jak się prezentujecie?

MURGA: — Szlachetnie, ale bez pozy, tak w wyrazie twarzy jak i w całej postawie! Niewymuszenie, tak jak się oddycha...

CHRUŃ: — A gdzie sprzedają takie stroje? Lecę je kupić, w te pędy...

JUREAL: — Nie wiercie przysłowiom i wiedźcie, że nie strój zdobi człowieka.

MURGA: — Trzeba jeszcze klejnotów?

JUREAL: — Szlachetna postawa? Co mi tam. Szlachetność charakteru, oto co trzeba zdobyć. *(Żegna karyły zamasztyłym ruchem kapelusza i zwolna oddala się ogrodem, ku prawej. Karły za nim, tuż, tuż.)* W drogę!

CHRUŃ: — Wesolej zabawy, Jaśnie Panie. Swych wysoko urodzonych przyjaciół znajdzie Waćpan przed budą jarmarczną.

JUREAL, *zatrzymując się*: — Widzieliście ich?

MURGA: — Wracamy stamtąd. Wyglądało że bawili się i oklaskiwali krotchwilnych błaznów.

JUREAL: — Skoro to bawi moich przyjaciół, udaję się tam natychmiast.

CHRUŃ: — Przyjaciele Waćpana bawią się, dając poklaski błazństwu, ale nie rozumieją o co chodzi, gdyż są cudzoziemcami i nic a nic nie pojmują ze skandalicznych plotek, wygłaszanych przez komediantów.

MURGA: — Waćpan jednak, żyjący w tym mieście, niechaj wojskiem zatka swe uszy, albo nich się przylączy do tych co nic nie rozumieją.

JUREAL: — A cóż grozi mi że usłyszę?

CHRUŃ: — O Waćpan wie dobrze — plebs przepada za krotchwilami pełnymi aluzji. Nawet jagnię potrafią oczernić.

MURGA, *z oburzeniem*: — Posłuchać dłużej, a człowiek odchodzi ze wstrętem. Nie jesteśmy bynajmniej przeciwni swawoleniu w czasie kiermaszu, ale żeby wędrowni komediantci mogli rzucać oszczerstwa na uczciwych obywateli — po to tylko, żeby chamstwo miało z czego się pośmiać...

JUREAL: — A, taak? O czym mówią?

CHRUŃ: — O tym, że wszyscy mężowie...

JUREAL, *ze śmiechem*: — Któż by w to wątpił, z wyjątkiem ich samych! Rzeźbiłem już ten i ów motyw z pośród radości małżeńskiego życia. Małżonkowie świata całego mogą się tam odnaleźć, jeżeli oczywiście zechcą się poszukać.

MURGA: — Błazny te nie muszą szukać poza miastem, liczącym, jak się zdaje, nie mało rogaczy.

JUREAL: — Dawnych, wszem i pospołu znanych starsuszków... Znanych ich, co do jednego!

CHRUŃ: — Są również i nowi, nieznani dotychczas. Człowiek nie może wyjść ze zdziwienia!

JUREAL: — Posłucham tych pyskaczy.

CHRUŃ: — Niech Pan nasz tam idzie, ale proszę być z tymi co się śmieją — i śmiać się nie na końcu, ale przed innymi, i głośniej od innych. Tak, żeby Waćpana dobrze było słyszeć!

MURGA: — Bo inaczej oglądano by głowę Waćpana, czy aby z niej coś nie wyrasta!

JUREAL: — Czyżbyście mieli wrażenie że...

CHRUŃ: — Maszci! Chyba że mię coś omamiło... *(Zmienia głos i stąpając pysznie jak aktor, wznosi palec do góry.)*

„Kto to? Nie chłop, lecz chuchro koślawo-garbate, obok cnót pełnej żony ślicznej...”

MURGA, *podobnie*:

„Iluż to kształtnych panów dało się wziąć na lep...”

CHRUŃ i MURGA, *robiąc dworski dyg*:

„I przystroilo jego łeb

W cudowne rogi heraldyczne...”

JUREAL, *zaczyna się*: — Nie, nie! Nigdy tego we mnie nie wmowicie. *(Chwila milczenia.)* Co? Nie śmiejecie się? Co wam tak gęby zatkało? *(Chruń i Murga spuszczaają głowy.)* Jeżeli wasze opowiadanie pokrywa się z prawdą, co w takim razie robią tam moi przyjaciele, przed tą haniebną budą? Czy żaden z nich nie ukarał tych błaznów?

CHRUŃ, *po chwili przykrego milczenia*: — Nie, rzucają im miedziaki.

MURGA: — A tłum oklaskuje i błaznów i panów.

JUREAL, *jakąjąc się*: — To jakaś pomyłka... *(Siląc się na spokój.)* Skłamałiście przede mną, nieprawdaż?

CHRUŃ: — Niech się Waćpan śpieszy. Nie wiemy nic poza tym.

JUREAL: — A Małgorzata?

Idzie w stronę schodów.

MURGA: — Jest razem z mnichem. Trzeba ją zawołać?

JUREAL: — Nie. Pójdę sam na spacer. Nie wspominajcie jej o tym.

CHRUŃ: — Waćpan pobladł. Czy nie grozi Mu zasłabnięcie?
 JUREAL, *panując jeszcze nad sobą.* — Ktoś inny mógłby może zasłabnąć. (Obnaża do połowy swój kord.) Zobaczmy kto jest szlachetny! (Pręcąc się, deklamuje.) Chociaż brak nam świetności, mamy honor za to!

Wychodzi na prawo, pośpiesznie, jakby chciał biec. Karły wybuchają śmiechem i dają sobie po kilka kłapsów.

CHRUŃ: — Przy tym maskaradowym stroju, jaki wdział na siebie, farsa zostanie odstawiona na ulicy. Czy dobrze wydukaliśmy zadaną nam lekcję?

MURGA: — Oj, Signor gotów jeszcze palnąć jakieś głupstwo... Jak gdyby w naszych czasach honor był czymś więcej niż powiedzeniem.

CHRUŃ: — Postarajmy się przestrzec jego żonę. Trochę oliwy do ognia.

Wspinają się po schodach, popychając się i popiskując radośnie. W końcu staczają się do ogrodu i, spłoszone nagłym hałasem dobiegającym z galerijki, chowają się za posąg. Od prawej, wyszedłszy z pokoju, zbliża się mnich, kryjąc twarz w dłoniach. Małgorzata Harstein tuż za nim.

MAŁGORZATA: — Precz stąd! I nie chcę Was więcej słyszeć!

PILAR: — Waćpani wypędza wysłannika Kościoła?

MAŁGORZATA: — Kościół przepędzi go tak jak i ja. Idźcie się palić gdzie indziej — aż dymi Wasz habit...

PILAR: — Niech mnie Waćpani znieważa — przyjmę wszystko — niech mnie uderzy, skoro zacisnęła już pięści!

MAŁGORZATA: — Niech Was dosięgnie jedynie ma wzgarda. Nie dotknę Was, boście brudni. Brudne jest Wasze spojrzenie i głos Wasz jest brudny. I zalatuje od Was odorem trupiarni.

PILAR: — Małgorzato, ten gniew — nie, ta nienawiść — przerasta mą pokorną i godną pogardy osobę. Nienawiść ta jest ponad miarę. Dlaczego? Pytałem tylko Waćpanią, czy chce się wypowiedzieć. Wystarczyło odpowiedzieć mi: nie. I mogła była Waćpani jeszcze kpić sobie ze mnie, bo jestem śmieszny, pragnąc Jej zbawienia — ale Waćpani nie widzi już różnicy między mną, a boskim sakramentem, tak jak bym ja sam był spowiedzią! Nienawiść Waćpani, nienawiść ta godzi w sam sakrament...

MAŁGORZATA: — Precz!

PILAR: — Małgorzato... za co?

MAŁGORZATA: — Czy należę do gatunku kobiet, które się spowiadają? Biegnijcie, i to już, do swej parafii, gdzie na Was czekają ludzie o cuchnących oddechach, gotowi wyznać Wam wszystko co lubicie, aby Wam wyznawali. A Wy odkryjecie im magnetyczną okropność grzechu. Wrzucacie, ciałem i duszą, do swej pasji gorszyściela, a potem kładźcie się na płytach nagrobnych w kościele, aby ostygnąć...

PILAR: — Dalej, niech mię Waćpani zadenuncjuje, z samej ambony!... (Z groźbą.) Koniec tego dobrego! Teraz ja następuję na Waćpanią i zmiażdżę ją. Moje grzechy należą do Boga i do mnie. Wielmożna Małgorzato, niechaj Waćpani posłucha moich słów. W tej pogardzie dla pokuty widzę oznaki pychy szatańskiej. Zły duch Waćpanią naznaczył. Nie ma przeznaczenia, ale nie będzie to zuchwałstwem z mojej strony jeżeli Waćpani oznajmię iż będzie potępiona. Nadejdzie, co tylko może być najgorszego. Zaprawdę, jedynie Szatan obdarza ową promieniującą nienawiścią i tą oschłością duszy. Ciało Waćpani jest czyste, ale dokąd biegną jej myśli? Żyje Waćpani poza zasięgiem Zła, ale za czym zrządzeniem odpycha Waćpani Dobro? Małgorzato, obym nigdy nie musiał przyjąć tego,

co Waćpani będzie zmuszona kiedyś wyznać. W dniu tym, którego rychłość Boga jest wiadoma, zapłaczę rzęsiście...

Placze.

MAŁGORZATA, *popycha go w stronę schodów. Podniosła rękę. Pilar ucieka ogrodem na prawo, jak rak.* — Symulant! Biegnijcie co tchu, aby paść u stóp krzyża. Wasz Bóg potrzebuje też swoich księży (Spostrzega kryjące się karły, które widząc iż są odkryte, usiłują uciec w lewo. Małgorzata zagradza im drogę.) Co robiliście w ogrodzie?

CHRUŃ: — Jak przystało na grzeczne dzieci, szukaliśmy żuków.

MAŁGORZATA: — Glist,aby je potem zjeść! Wiem, że zadaniem waszym jest szpiegowanie. Rozpowiadajcie więc wszędzie że widzieliście jak mnich wyleciał za drzwi.

MURGA: — Nie mogę wyjść z podziwu. To budujący przykład dla nas!

CHRUŃ: — Co za szkoda, że nie miała Waćpani jakiego kija pod ręką! Lubimy, jak garbują plecy, nie nam oczywiście...

MURGA: — Dlatego też prosimy Waćpanią, aby pozwoliła nam odejść. Bo gotowiśmy nie zdążyć na turniej.

CHRUŃ: — Murga ma na myśli pojedynek.

MAŁGORZATA: — Czy cechy wychodzą na miasto z Ommegan-giem? (*)

CHRUŃ: — Nie, to prawdziwy pojedynek. Krwawy i bez pardonu! A raczej bijatyka. Czy nie słyszy Waćpani głośniego szczełku żełastwa?

MURGA: — Tak... tak. Będą tacy co umrą ze śmiechu!

MAŁGORZATA: — Będę oglądać tę farsę z mego okna.

CHRUŃ: — Dla Waćpani i dla nas farsa to smakowita i pociągająca, cóż! Za to dla niego — gorzka tragedia... Wierzy że tu idzie o honor! Trzeba mu odebrać kord, i to prędko! A w zamian za to dać mu tłuczek od masłnicy. Drewniany miecz Arlekina.

MAŁGORZATA: — Kto zacz? Opowiedzcie...

MURGA: — Waćpanią pali ciekawość. To niepozorny człeczyna...

CHRUŃ: — Niepozorny człeczyna...

MURGA: — Co myśli że mu rogi przyprawiono...

CHRUŃ: — Rogi...

MURGA: — I śpieszno mu wyzwać na pojedynek tych, których uważa za kochanków swej małżonki.

CHRUŃ: — Ale szlachcice ściągną mu portki i spuszczą takie lanie, i to na oczach wszystkich, że Waćpani nie ma pojęcia!

MAŁGORZATA: — A ten niepozorny człowieczek? O, jak bardzo chciałabym się dowiedzieć!

MURGA: — Chruń, lećmy, bo może już zaczęli!

MAŁGORZATA: — A ci szlachcice? Nie, powiedzcie mi raczej, co to za kobieta, której przydano grono kochanków? Jeśli kto drży, to na pewno ona...

CHRUŃ: — O swego męża?

MAŁGORZATA: — O swych kochanków nierzeczywistych. Już to samo wystarcza, aby ich pokochała od razu i naprawdę! Bywa, że kłamcy mówią prawdę...

(*) Ommegang (niem. der Umgang), obchód-procesja religijna, liturgiczna z udziałem dostojników miasta, do której dołączały się cechy i stowarzyszenia, niosąc chorągwie, figury świętych i olbrzymie pokraczne kukły. Zwyczaj ten, którego początki sięgają XV wieku, przetrwał do dziś w Brukseli.

CHRUŃ, *wychyla palce zza głowy, aby udać rogi*: — Rosną z wiosną różki zielone...

MURGA, *tak samo*: — Rzeźbić różki, nie masz jak rogi rzeźbione...

Od prawej pojawia się rosły mężczyzna i zagradza im drogę. Karły rzucają się w bok, lecz za późno. Przybysz chwytła je w mig i trzyma za przeguby rąk.

RÓŻAN: — Ciało rzeźbić!...

CHRUŃ, *na wpół żywy ze strachu*: — Kat!...

Karły usiłują się wyrwać. Różan przygląda się im obojętnie. Jest to blondyn, zbudowany jak atleta. Ma na sobie wspaniałą, szkarłatną opończę. Twarz bez zarostu. W postawie coś kocięgo i nonszalanckiego. Bez przerwy żuje różę, trzymaną w ustach za lodygę. Robi wrażenie kogoś, kto zapomniał że chodzi po ziemi i nie przestaje się uśmiechać, bez najmniejszego zresztą powodu. Bawi go szczerze przerażenie karłów. Małgorzata jakby chciała wyjść mu naprzeciw.

MAŁGORZATA: — Różan! Co za szczęście że widzę Was znowu. Bez zajęcia, nieprawdaż? Popracujcie zatem odrobinę w swoim zawodzie i pomęczcie tych łajdaków...

RÓŻAN: — Darujcie, braciszku, to na prośbę Pani. Zgrzytajcie zębami!

Ścisła im przeguby rąk, aż karły zanoszą się jękiem.

MURGA: — Litości!

RÓŻAN: — Ani mru! To potrzebne ćwiczenie, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa zginięcie z mojej ręki. Za jaką zbrodnię, to nie ważne... (*Śmiech bez troski.*) Co wstrętne, wstrętne musi zginąć.

MAŁGORZATA: — Co, nie krzyczą? O, to ci ropuchy!

RÓŻAN: — Śpiewać ropuchy...

Wykręca im ręce. Karły padają i wiją się w skurczach na ziemi. Z obu ust przeciągły okrzyk bólu.

MAŁGORZATA: — Nareszcie... jak zwierzęta... (*Po krótkim milczeniu.*) Pasjonujące...

RÓŻAN: — Pomiot parszywy!

Rzuca karły w kąt ogrodu. Oba wyskrobki, jęcząc, biegną przez chwilę jak oszalale, następnie znikają, robiąc przy tym obrzydliwe grymasy. Różan, śmiejąc się serdecznie, podchodzi do Małgorzaty, wyciągając ku niej dłoń. Ujawszy go za rękę, Małgorzata rozpromieniona, ciągnie go za sobą ku schodom, aż na galerijkę.

MAŁGORZATA: — Dzięki Wam, Różan. Dam Wam kwiatów do jedzenia. Lubicie kwiaty, nieprawda?

RÓŻAN: — Tak. I nic poza kwiatami — aż do omdlenia...

MAŁGORZATA: — Macie białe ręce, urodzone do kwiatów. To nie są wasze ręce. I zawód kata nie jest wasz. Różan, mając takie nazwisko i takie ręce, czemuż nie jesteście ogrodnikiem?

RÓŻAN: — Dlaczego Wielmożna Pani lubi moją obecność?

MAŁGORZATA: — Dla Waszego pięknego zapachu, Różan.

RÓŻAN: — Dla zapachu mojego nazwiska? Owey woni kwiatowej, co mi wszędzie towarzyszy?

MAŁGORZATA: — Dla Waszego zapachu. I nie pytajcie już o nic. Za taką cenę i ja Was już o nic nie zapytam. (*Chwila milczenia. Śmieje się, wpraw na, zaraz i on.*) Chcecie pieniędzy na miód?

RÓŻAN: — Nie pijam nic oprócz wody krynicznej i rosy.

MAŁGORZATA: — Darujcie. Chciałam Wam tylko zapłacić za skowyt wydarty karłom. Czy dowiem się kiedykolwiek, dlaczego te jęki wydarte bólem sprawiają mi tyle mrocznej przyjemności? Tylko Wam zwierzęm się z tego.

RÓŻAN: — To dowód, że instynkt Waćpani omylił się, biorąc te jęki za jęki rozkoszy.

MAŁGORZATA: — Mogą więc ból i rozkosz wyrażać się w jeden i ten sam sposób?

RÓŻAN: — Skoro Waćpani o tym mówię! Rozkosz jest tylko skróconą torturą, i niczym więcej. Też ma Waćpani zainteresowania! Zresztą dla kobiety nie ma w tym żadnych tajemnic.

MAŁGORZATA: — Kobieta rozumie wszystko, co nie daje się wytłumaczyć, ale tak bardzo lubi drzeć pod powłoką swej niewinności. (*Stanął na galerijce. Małgorzata pociąga Różana do okna.*) Chodźcie do okna.

RÓŻAN: — A jeśli ktoś mię u Waćpani zobaczy? Ludzie lada czego potrafią się czepić...

MAŁGORZATA: — A jeśli mam ochotę gościć u siebie kata? A jeżeli bawi mię gorszenie hołoty? Wy, Różan, napawacie strachem i obrzydzeniem. Jestem szczerą, nieprawda? (*Gestem ręki każe mu stanąć w pełnym świetle.*) Ale ja Was podziwiam i Wy wiecie o tym!

RÓŻAN: — Czy kto rzyga na mój widok, czy patrzy z zachwytem — bez różnicy i wszystko na śmich!

MAŁGORZATA: — Nic, tylko się śmiejecie, ze słonkiem u zębów! I te wargi wilgotne!...

RÓŻAN: — Nie inaczej. Pochodzę z kraju, gdzie zawsze grzeje słońce. Ludzie śmieją się od samego rana, i sami nie wiedzą dlaczego. A poza tym cieszę się dobrym zdrowiem, a i sumienie mam spokojne. Toteż mi do śmichu...

MAŁGORZATA: — Dlaczego jesteście katem?

RÓŻAN: — Zawsze się śmieję i nigdy nie odpowiadam na pytania kobiet. Bo pytania, jeśli coś znaczą, to tylko w ustach inkwizytorów. A odpowiedzi — to sprawa skazańców. Ja zaś o nic nie pytam, na nic nie odpowiadam, tylko działam... dokładając starań...

MAŁGORZATA: — Podobnie jak wtenczas, gdy pielęgnujecie kwiaty. I wówczas śmiejecie się w sobie samym. Śmieją się Wasze oczy... (*Ujmując Różana za ramię i potrząsa nim.*) Nie, nie zawsze się śmiejecie. Bywa, że gąśnie śmiech Waszych zębów i oczu!

RÓŻAN: — Cóż Waćpani wie o tym?

MAŁGORZATA: — Wiem... bo widziałam.

RÓŻAN: — Niech-no Waćpani opowie...

MAŁGORZATA: — Po co? I tak wiecie dobrze że odkryłam jedną z Waszych tajemnic, być może tajemnicę Waszego powołania. Widziałam, jedna jedyna spośród tłumu dyszących kobiet, które przypatrują się Waszym okrutnym zajęciom...

RÓŻAN: — Proszę, niech Jaśnie Pani opowiada. Nadal jestem pełen zdziwienia.

MAŁGORZATA: — Raczej gniewu, bo już się nie śmiejecie...

Coś się o krok.

RÓŻAN: — Czyżby Waćpani lękała się, lub czuła obrzydzenie?

MAŁGORZATA: — Owszem, lękam się, ale nie czuję obrzydzenia. (*Po chwili milczenia, podchodzi do Różana.*) Różan, obraziłam Was?

RÓŻAN: — Nie.

MAŁGORZATA: — Chcecie mnie za to ukarać?

RÓŻAN: — Nie.

MAŁGORZATA, *przywiera do niego i chce go objąć*: — Posłuchajcie...

RÓŻAN, *odpycha ją i mówi czule, przymknąwszy oczy*: — Wiem co Waćpani mi powie. Że jestem urodziwym olbrzymem, o włosach blond polyskujących płowo, mającym oczy dziecięcia lub winogradnika. Że głos mój jest śpiewem, i że idąc, kołyszę się jak marynarz. Że te same kobiety, które w dzień wymijają mnie, lub uciekają na mój widok, marzą o mnie w nocy, kiedy mają już dosyć mężczyzn i kiedy same już nie wiedzą czego chcieć...

MAŁGORZATA: — Niewiasty, lecz także i młódki, nieświadome mężczyzny. Ale Wy nie zważacie na nie. Dla Was one nie istnieją.

RÓŻAN: — Niechaj się Jaśnie Pani uspokoi. Wie Waćpani dobrze iż niczego nie ślubowałem. Niewiasty — Młódki? (*Śmiech urwany.*) Nie kochają mnie, ponieważ mnie nie można kochać. Zresztą mogę żyć bez tego, więc żyję. (*Chwila milczenia.*) Na ulicy jestem chodzącą ohydą. Ale dać mi podwyższenie, podłogę z dębowych tarcic i całą przestrzeń rynku. Wtenczas...

MAŁGORZATA: — Wtenczas Wasze panowanie, kiedy miecz, tnący światło, błyska niebiesko, i kiedy toczy się w Waszą stronę nagłą nawałą krzyk wydarty z wnętrzości, krzyk co nie jest pomrukiem litości czy trwogi, ale powszechnym hymnem podziwu dla Człowieka, który zabija...

RÓŻAN: — Mówmy o czym innym.

MAŁGORZATA: — Za każdym razem stoję w tłumie, chłonnym nozdrzami, zapatrzonym i nagradzającym Was oklaskami. Tłum ten zmasakrowałby Was jednak, gdyby ujrzał że Wam ręka słabnie. Przyglądam się Wam, przerażona a uradowana aż do trzewi, i jestem Wam wdzięczna za brak pośpiechu. Czekam chwili, równie piorunującej jak błysk miecza, kiedy przestajecie się uśmiechać, jakby jakiś czarny woal przesunął się po Waszej twarzy.

RÓŻAN: — Proszę milczeć!

MAŁGORZATA: — Zabrońcie mi mówić!... Czy potrafilibyście przymusić do milczenia krzyczący tłum w chwili, gdy rusztowanie aż jęczy od Waszego ciosu? Czy potrafilibyście powstrzymać samotny krzyk skazańca, tak słaby a pomimo to górujący nad innymi? Wówczas i ja krzyczę razem z tłumem, razem ze skazańcem, razem z Wami... (*Różan postępuje o krok, Małgorzata cofa się.*) Bo kat krzyczy jak i jego ofiara... Wiem o tym, słyszałam ten krzyk, którego nikt nie słyszy. Bledniecie wtenczas, i jakbyście szukali oparcia, i Wasze oczy mgłą zachodzą...

RÓŻAN: — Ani słowa więcej!

Zakrywa ręką usta Małgorzaty.

MAŁGORZATA: — Ale to trwa jedynie przez...

RÓŻAN, *odtrąca ją*: — Wariatka!

Spluwa.

MAŁGORZATA, *z goryczą i smutkiem w głosie*: — Kat miły...

RÓŻAN, *idąc w stronę schodów*: — A wieczorem, po każdej egzekucji, kobiety zachodzą w ciążę. Ale nie za moją sprawą! Bynajmniej! Plują na to.

Spluwa ponownie.

MAŁGORZATA, *biegnie ku niemu i zagradza mu drogę, aby nie schodził*: — Napluj na mnie.

RÓŻAN: — Nie!

MAŁGORZATA: — Dlaczego?

RÓŻAN, *już spokojny, ujął rękę Małgorzaty. Wracają do okna*: — Bo Waćpani... (*Milczy.*) Bo ty nie jesteś jak inne kobiety. Nie. Byłaś mi jakby siostrą. A teraz stajesz się współwinną, ponieważ odkryłaś tajemnicę, o której wiedział tylko Bóg, Bóg, który oprócz serc i lędźwie bada... To nas łączy. I jeszcze coś: Jesteś czysta. Ja też jestem czysty, najbardziej dziewczęcy spośród mężczyzn. Jest jeszcze coś innego, co nie pozwala mi zrównać cię z beczącą zgrają kobiet, o dziewico rozumna, tak straszliwie rozumna!

Jeszcze trochę, a i ja z kolei wpadnę w ton pochwalny. Nie. Nie można wyrazić uczucia, jakim cię darzę. Powiem ci tylko tyle iż uważam cię za istotę, która mi się prawnie należy, która jest mi przeznaczona...

MAŁGORZATA: — Nie powiedziałeś wszystkiego. Mów, prędzej...

RÓŻAN: — Obawiam się, że powiedziałem już za dużo. Tu nie chodzi o miłość.

MAŁGORZATA: — Powiedziałeś za dużo. Tu nie chodzi nawet o żądze, którą podsuwa jakaś gwałtowna namiętność. Spodziewasz się że dam ci o wiele więcej... (*Wyrażnie i prawie szeptem.*) Żadnemu z katów nie nadarzy się nigdy skazaniec równie pojętny. I nawet róże, róże, miazdzone twoimi palcami, nie będą tak pachniały.

RÓŻAN, *wstrząśnięty*: — Co za męka!

MAŁGORZATA: — Weź mnie do siebie. Do twoich podziemi. Inkwizytor teraz nie zasiada.

RÓŻAN, *znowu panując nad sobą*: — Nie. Nie tak. Tak nie można.

MAŁGORZATA: — Byłabym uwolniona.

RÓŻAN: — Nie ma mowy o symulowaniu. Jeżeli zaczynam, to kończę.

MAŁGORZATA: — Zgoda...

RÓŻAN, *gwałtownie*: — Dość tego! (*Spogląda na Małgorzatę.*) Nie chcę więcej widzieć u Waćpani podobnego wyrazu twarzy! Jeszcze nie dziś. Ale dzień ten nadejdzie...

Małgorzata odwraca się.

MAŁGORZATA: — Jakże się na Was zawiodłam!...

RÓŻAN: — Trudno! Ja nie żądałem niczego. Wziąć Waćpanią do mnie? Nie. Trzeba żeby los ją tam przyprowadził. Jedyne to jest życiem, jedyne to jest zgodne z prawdą, co los nazaczył swą niepojętą pieczęcią. Czy myślała Waćpani o tym? (*Mrukiłszy schodzi po schodach.*) W mieście bawia się...

MAŁGORZATA, *odzyskawszy swą wyniosłość*: — Różan?

RÓŻAN: — Dość gadania. Zegnam!

MAŁGORZATA: — Zanim odejdziecie, powiedzcie mi pociście tu przyszli?

RÓŻAN, *zatrzymując się, osłupiały*: — Sam już nie wiem. (*Namysła się.*) Wiem: po to, żeby Waćpanią ostrzec. (*Wstępuje po schodach.*) Bo mnich...

MAŁGORZATA: — Przewielebny Pilar? Czego chce?

RÓŻAN: — Lękam się, że zguby Waćpani...

MAŁGORZATA: — On zaś twierdzi że mego zbawienia.

RÓŻAN: — Chce ujrzeć Waćpanią, bądź potępioną, bądź w chwale wiekuistej, ale w każdym razie w grobie.

MAŁGORZATA, *z drwiną*: — Widzicie jak się tym przejęłam? Nie przeraża mnie ta chrześcijańska troskliwość.

RÓŻAN: — Proszę się mieć na baczności! Mnich rozpusza pogłoski, iż być może Waćpani nie obce są czary. Podobne posądzenie zawsze znajduje wiare, dając pokrycie jak najbardziej zbrodniczym zamiarom.

MALGORZATA: — Nic mi tam wszystkie machinacje Świętego Oficjum, skoro i tak jego mnisi w końcu mię wydadzą...

Przerywa, jakby chcąc złapać oddech.

RÓŻAN, w zamysleniu: — Mnie, siłą rzeczy.

MALGORZATA: — A zatem... (Za oknem rozbrzmiewa muzyka i słychać zbliżający się hałas.) Kiermasz, słyszycie?

Pociąga Różana do okna.

RÓŻAN: — Co to za pochód?

MALGORZATA, w oknie: — Różan, spójrzcie na środek rynku, gdzie stoi buda komediantów. Tam wznosi się zazwyczaj Wasz pień kатовski...

RÓŻAN: — Kiermaszu też potrzeba...

MALGORZATA: — Trzeba też i szafotów. Co to za jedni, ci ludzie z muzyką na czele?

RÓŻAN: — Zdążają ku domowi Waćpani. Wziąwszy pod uwagę towarzyszący im poczet, możnaby przypuszczać że to szlachcice. Zna ich Waćpani?

MALGORZATA: — Helgar i Adorno? Dla mnie tu przychodzą. Układni młodzieńcy...

RÓŻAN: — Szlachetni w południe! Ale od ładacznicy, nad którymi mam nadzór, wiem o ich wyczynach o północy...

MALGORZATA: — Spełniają przynajmniej to, co zapowiada ich dziarska mina?

RÓŻAN: — Ho, i to jeszcze jak! Helgar jest wysłannikiem Anglii, a więc szpiegiem. Adorno jest wysłannikiem Dożów, więc szpiegiem jak i tamten. Dobrali się, jak w korcu maku.

Hałas wybucha radośnie. Słychać coraz głośniejszą muzykę. Podczas gdy Malgorzata otwiera okno, Różan usuwa się w cień. Malgorzata wychyla się.

GŁOS: — Pani w oknie!

MALGORZATA: — Są inne, bardziej wytworne balkony. Będziecie sławić moją cnotę? Tylko nie za głośno.

GŁOS HELGARA: — Najpiękniejszej...

GŁOS ADORNA: — Najgodniejszej...

MALGORZATA: — Chociaż w stroju nieodpowiednim, bo domowym, nie mniej posłucham...

Słychać okłaski pomieszane ze śmiechem. Wpierw instrumenty przegrávají melodię, zaraz potem chór zaczyna śpiewkę. Wyraźnie odcinają się głosy Helgara i Adorna.

CHÓR:

*„Kochasz-li starców, Zuzanno,
Czy też wystarcza ci żeś jest bez szat,
Jak perła, chłodna i obojętna,
Jak marmur wyniosły, patrząca na świat?”*

Śmiechy i przygrywka.

MALGORZATA: — Zgrabnie ułożone. Oczekiwałam* jednak żywszych obrazów.

RÓŻAN: — Niech Waćpani słucha dalej.

CHÓR:

*„Jużeśmy wzrok utracili
Z podziwiania Waćpani...”*

Serenada urywa się nagle. Słychać wrzawę i gwizdanie.

GŁOSY: — Uuuu! Przepędzić go... Precz z mąciwodą!

MALGORZATA: — Dlaczego umilkli? Czy to intermedium?

CZYJŚ GŁOS: — Precz stąd!

Śmiechy i okłaski.

MALGORZATA: — Wygląda, jakby ktoś szukał zaczepki. Jakby miano za złe naszym szlachcicom.

RÓŻAN: — Tak, to koniec serenady. Zacznie się bójka... (Śmieje się.) Czyżby to był mąż Waćpani?

MALGORZATA: — Juréal! Jak on wygląda! Istny przebieraniec. Co za wstyd dla nas! (Wola przez okno.) Ej, safaundo, do domu i to już! Dość się już Waćpan ośmieszył!

RÓŻAN: — Za późno. Tłum go unosi, fala tłumy unosi ich wszystkich. Zewsząd biegną ludzie; istny alarm...

Wrzawa rośnie, potem przycicha.

MALGORZATA: — Co za rozczarowanie, jeżeli nie przyjdzie do kordów. Chcecież, Jaśni Panowie, pozbawić mnie tej przyjemności?

RÓŻAN: — Szlachcice nie zniżają się do tego, aby podnieść kord na rzemieślnika, trzymającego w ręku rożen. Zganiono by ich za to. Ale Waćpani nic nie straci. Panowie już wezwali swoich przybocznych. I draństwo to już otoczyło Signora. O, niech Waćpani posłucha, tłum szaleje z radości! Tłum już odgadł...

MALGORZATA: — Po co rozpościerają czerwoną płachtę? Co chcą zrobić z moim mężem?

RÓŻAN: — To bardzo stara zabawa, i lud przepada za nią. Hop! Już mąż leci w górę! Hop! Jeszcze wyżej... spada. Już uchwycili rytm. Już wylatuje ponad głowy. Dosięgnie dachów, jeśli pacholki będą mocno trzymać płachtę. Hop!...

MALGORZATA: — Mój Signor podrzucany na płachcie! Wspañiała zabawa! Hop!...

RÓŻAN: — Krotochwilna męka! Hop! Stał się lekki jak piórko... Czy tym razem dogodzili Waćpani?

MALGORZATA: — Tak, dobry mieli pomysł. Tak jak i tłum, nie posiadają się z radości. Nie szukajcie, Różan, litości na mej twarzy. To nie człowiek wylatuje raz po raz pod niebo, ale kukła Wyżej! Hop! Już zdobył uznanie! Hop! Już go przyjęli okłaskami Hop, Signor!... Żeby tylko te kpy nie ustały!

RÓŻAN: — Skądże znowu, oplacono ich. Zabawa oddala się. Mógłbym się założyć, że idą w stronę pałacu.

MALGORZATA: — Gdyby wiedział, że go widzę. Niech Waszmość skacze, niech się wznosi. Wysoko jak katedra! To było ambicją Waszmościa...

RÓŻAN: — Ale ostrożnie ze spadaniem...

MALGORZATA: — O, jakże ci szlachcice umieją żyć! (Głosem urywanym.) Żeby się tylko nikt nie wmieszał i nie próbował przerwać zabawy...

RÓŻAN: — Tak jakby Waćpani nie znała okrucieństwa tłumy? Proszę słuchać...

Malgorzata i Różan wyciągają słuch.

TLUM: — Hop! Signor... (Cisza.) Hop! Signor... (Cisza.) Hop! Signor...

Cisza dłużej trwająca niż poprzednie.

MAŁGORZATA, gwałtownie zatrząskuje okno: — Dość tego.

RÓŻAN: — Waćpani cierpi?

MAŁGORZATA: — Jeszcze gorzej. (Chwieje się, Różan podtrzymuje ją.) Co się stało? Dlaczego nikt nie krzyczy na rynku? Różan, słyszycie? Ten głuchy jęk? A przecież tłum był szczęśliwy? Czemuż więc jęczy?

RÓŻAN: — Szczęście, dosięgając zenitu, przechodzi w jęk.

MAŁGORZATA, zamknięwszy oczy: — Kiedyż zaniosę się tym jękiem? Kiedy zaznam szczęścia, co stale umyka, i o którym wiem tylko tyle, że jest bliskie?

Nogi uginają się pod nią, obsuwa się, podtrzymywana przez Różana.

RÓŻAN: — Ej, kobieto, śpisz?

MAŁGORZATA, przychodząc do siebie: — Pomruk wściekłego tłumu...

RÓŻAN: — Mięso tve pachnie i jest już w sam raz...

Nachyla się nad nią gwałtownie i obwąchuje ze wszystkich stron. Małgorzata uśmiecha się, zachwycona. Kat cofa się jednak. Z za okna dochodzi głuchy szum tłumu. Chruń, brzdękając na gitarze, wpada do ogrodu, ścigany przez Murgę.

MURGA: — Innej zaśpiewa zaraz serenadę, a mnie to nic!

CHRUŃ: — Tobie? Nie wartas nawet kocię muzyki! Chcesz serenadę? Na tym instrumentcie. (Wali Murgę gitarą po garbie.) Za chwilę piosenka!

MURGA, popiskując radośnie: — Mój signor mię tłucze! To znak że mię kocha!

Różan i Małgorzata śmieją się z farsy karlów.

MAŁGORZATA: — Chciałabym zobaczyć wszystkie ich sprawy miłosne. Różan, podrażnijcie je.

Różan: — Ej, pędraki; co nowego?

CHRUŃ: — Nic nowego, gębo w kwiat! Na rynku urządzono wielką zabawę. Zabawę niegodziwców.

MAŁGORZATA: — Wiecie kto ją zakłócił?

MURGA: — Nie, ale wiem kto ją nakazał.

CHRUŃ: — Murga się chwali, a nie rozumie ani po włosku, ani po angielsku...

RÓŻAN: — Niech-no Waćpani posłucha, co mówią. A wy, pędraki, przyszlście tu, aby zaśpiewać serenadę, tak czy nie?

CHRUŃ: — Tak. Zostańcie, proszę, na galerii. (Wpierw sama gitara.) Niegodny, ośmielam się pokłonić...

Niskie ukłony.

MAŁGORZATA, ubawiona: — Mnie?

CHRUŃ: — Waćpani. (Śpiewa.)

....Kształtna jest pani i wszystkich zachwyca,
Wszem znana wdowa, no i dziewica..."

MAŁGORZATA: — Już dziewica sprawiła mi przyjemność, a do tego jeszcze wdowa!

MURGA: — Cś, cś, cś...Niech Waćpani pozwoli mówić memu Sfinksowi.

CHRUŃ, śpiewa:

„Któż to chciał głowę nosić jak panowie?
Podniósł zanadto — pękła! I po głowie.”

RÓŻAN: — Niech Waćpani zgadnie!

MAŁGORZATA, śmiejąc się: — Pozbierajcie kawałki! Przebaw-na serenada. Różan, powiedzcie mi, co mam robić? Śmiać się tak, jak się śmieję?

RÓŻAN: — Śmiać się czy nie śmiać z takich śpiewek — to Waćpani sprawa, ale proszę obetrzeć czoło z potu. Z potu radości... (Jakby zdenerwowany do karlów.) Dość tego, pędaki, zmiatajcie...

CHRUŃ: — Ale wpięrw moral... (Staje na czworakach. Podobnie czyni Murga, i oboje po psiemu podchodzą do schodów, zatrzymują się i udają że sikają jak psy.)

„Liczni samcowie naszego grodu
Holysze i ci co atlasem lśnią
Przywdzieją na się skórę psią
I przyjdą łapkę podnieść, kóło schodów...”

Wstają, okłaskują się wzajemnie i śmieją się piskliwie.

MAŁGORZATA: — Szczekajcie, moi mili! Szczekajcie na wici psom-samcom. Rzucę im kości, a potem poleję ich wrzątkiem.

CHRUŃ: — Hau! Hau! Przybywajcie, zbrojni w nochale i kurki. Wydentujcie ścieżki i lejcie!...

MURGA: — Wdowa na czworakach... Hau!... Z wypiętym zadem...

RÓŻAN: — Nie nadaremne było ich szczekanie. Oto i pierwszy pies!

Wchodzi Pilar, patrząc nieprzytomnie.

PILAR: — Na kolana!...

MAŁGORZATA: — Karły! Bierz-go!

Karły warczą na mnicha, Różan schodzi do ogrodu.

PILAR: — Zaklinam Was, na kolana! Zwiastuję nieszczęście, nieszczęście co dzwoni jak dzwon o kamieniu! (Wskazuje na Małgorzatę.) Nieszczęście Waćpani już się zaczyna.

MAŁGORZATA: — Czy przyszlście po to, aby mi powiedzieć co porabia mój mąż? Czy dobrze go wyhuštano na płachcie?

PILAR: — O, tańczył. Hop!... (Gwałtownie.) A Waćpani? Waćpani nie płacze?

MAŁGORZATA: — A Wy? Wy nie tańczycie? Różan, co... on nie tańczy?

RÓŻAN, chwytła Pilara w pól i podrzuca go kilkakroć bez wysiłku. — I hop! Ojczulku... I hop!...

Karły i Małgorzata parszczą śmiechem.

PILAR: — Świętokradztwo!...

Uwalnia się.

MAŁGORZATA: — Nareszcie doczekał się męczeństwa! Kacie, złap go znowu.

RÓŻAN: — Za żadne skarby!... Mnich aż się rusza od robactwa.

PILAR: — Zaprawdę od robactwa! (Do Małgorzaty, w uniesieniu.)

Kiedy umiera człowiek, jego robactwo wędruje na kogoś z żyjących. Miłosiernie przyjąłem na siebie wszy umierającego, któremu uprzednio udzieliłem rozgrzeszenia. Oblazły mnie. Bóg niechaj będzie świadkiem.

MAŁGORZATA: — Umierającego?

Słychać zbliżające się głosy i krzyki. Helgar i Adorno, trzymając kapelusze w ręku, wchodzą do ogrodu; za nimi kilku mieszczan z zapalonymi świecami w ręku. Na koniec, wolnym krokiem, wchodzą ludzie prości, niosąc czerwoną płachtę, w której spoczywa coś jakby człowieka. Wszyscy zatrzymują się w milczeniu. Płachtę ostrożnie składają wpośrodku.

PILAR: — Na kolana przed orszakiem śmierci! Wszyscy!... (Wszyscy w ogrodzie kłękają, panowie, i kary, mieszczanie i pospólstwo. Stojąc na galerijce, Małgorzata spogląda przez chwilę na zebranych, po czym schodzi ku nim i przygląda się im, wyniosła. Szepty. Spojrzenia zebranych kierują się na Małgorzatę.) Oto godzina litości. Niechaj więc z czułych serc — ale nie z innych — wytryśnie modlitwa.

MAŁGORZATA, przerywając mu: — Co oznacza ten pochód żałobny i Wasza złowroga deklamacja? Co przynosić w progi mego domostwa, i na co czekacie, aby mię o tym powiadomić?

ADORNO, powstaje i kłania się: — Pani, bądź mężna. I przyjmij wyroki Opatrzności.

HELGAR, tak samo: — W obliczu pogrążonej w żalu Waćpani, skłaniamy głowy z najgłębszym uszanowaniem.

MAŁGORZATA: — Biorę Waszmościów za świadków mego zdziwienia. Gdzież to widzicie mię pogrążoną w żalu? Ci zaś, którzy spodziewają się oglądać tradycyjne rozpaczanie wdowy, odejdą z niczym. Wiem że jestem wdową, pojęłam to z Waszej ceremonii. Przyjmijcie moją podziękę za tę pobożną przysługę.

ADORNO: — Niestety! Człowiek myśli, Pan Bóg kryśli...

HELGAR: — Miałem bolesną pocięchę, mogąc zamknąć powiekę naszemu przyjacielowi. Oczy jego, łez pełne, zanim nie zagasły, szukały domu i okna, w którym Waćpani stała niewątpliwie...

MAŁGORZATA: — Byliście Waszmościowie naprawdę miłosierni. I przyjmuję wyroki Waszej Opatrzności, zarówno w tym co mnie dotyczy, jak i Jego. Nie żebym była mocna, lub zrezygnowana, czy też lepsza od innych — ale dlatego, ponieważ z instynktownym szacunkiem odnoszę się do srogich i osobliwych rządzeń starożytnego Fatum.

PILAR: — Co? Czyżby Waćpani nie znalazła w sobie słowa współczucia, gestu miłosierdzia dla tego nieszczęśnika, pogruchotanego i bez krwi, którego nazwisko Waćpani nosiła? Zdjąć całun czerwony, niech na oczach wszystkich uczyni znak litości!... (Gwałtownie.) Znak krzyża, który ty, kacie, robisz na czołach skazańców! (Do ludzi.) Czy też ośmieli się wyzwać niebiosy?

MAŁGORZATA: — Nie unosić całunu. Musiałam znieść brzydotę żywego, i nie chcę go widzieć w śmiertelnym grymasie. Mylisz się, mnichu, śmierć nie budzi we mnie owej litości, którą chcesz, abym obnosiła wszem i wokół. Śmierć budzi we mnie tylko strach zwierzęcy. I jeśli drzę w tej chwili, to na pewno nie dlatego, że czuję podmuch lodowatych przestrzeni owiewający Wasz orszak. Niech trup nie leży w moim domu. Nieście go do kościoła Wizytek, które zajmują się grzebaniem biedaków. A Wy, mnichu, idąc na czele konduktu, odmawiajcie czarne modlitwy, jak tego wymaga okoliczność.

Szepty.

HELGAR: — Pani, czyżby to było Jej całe pożegnanie?

ADORNO: — Doprawdy? Czyż nie żąda Waćpani nic ponadto?

MAŁGORZATA: — Owszem. Dodałabym chętnie: niechaj, po drodze, podrzucają go na płachcie. Hop!... Jak to miało miejsce niedawno. Zabawny miał koniec, dłaczegóż więc nie miałby mieć zabawnego pogrzebu?

HELGAR: — Ani słowa więcej. Jeszcze tego brakowało... Tak jakby Waćpani i tak już nie znali.

ADORNO, odurczając uwagę zebranych: — Dalej, w drogę!...

Ludzie prości podnoszą ciało, formuje się kondukt.

MAŁGORZATA: — Co, karły? Nie idziecie? Odprowadźcie zwłoki Waszego opiekuna, aby nikt nie mógł powiedzieć że odszedł sam i bez honorów.

Chruń i Murga stają na końcu wychodzącego orszaku.

PILAR, wychodząc: — Tego, któremu nic nie zostało prócz przyjaźni garbusów, Kościół otacza najzarliwzszymi modłami...

MAŁGORZATA, do Różana, który dołącza się do konduktu: — Ty też mię opuszczasz?

RÓŻAN, wychodząc: — Kat zawsze towarzyszy zwłokom straconych.

MAŁGORZATA: — Przeżuwacz róż!... (Do Helgara i Adorna, którzy zostali przy niej.) Pozostaje mi Wasza kompania, Jaśnie Wielmożni. Wyglądacie, jakbyście byli jeszcze przerażeni? Być może iż właśnie w ten sposób, z umiarem, należy się odnosić do świeżo owdowiałej niewiasty? Chodźcie, Waszmościowie, z wodą w ustach, prowadź Was wdowa, która wysłucha Was i nie pozwoli Wam mówić obu naraz.

Wstępuje po schodach. Po krótkim wahaniu, porozumiewszy się wzrokiem, Helgar i Adorno idą za nią w stronę galerii. Człgając się między posągami, powraca Pilar. Ukrywa się pod schodami.

MAŁGORZATA, po chwili milczenia: — Wszyscy już poszli. Zdejmijcie Waszmościowie maski smutku. I powiedzcie co Wam leży na sercu.

HELGAR: — Jednak ten trup. Proszę nam wybaczyć, ale to dopiero co się stało.

ADORNO: — Jeszcześmy pod wrażeniem. I bardziej wstrząśnięci zachowaniem się Waćpani, aniżeli samym nieszczęściem. I cokolwiek byśmy powiedzieli, wszystko stać będzie pod znakiem tego zakłopotania.

MAŁGORZATA: — Zetrzyjcie ten cień, co Wam oczy zasepia, moi piękni przyjaciele. Lub — skoro wzruszenie Was nie opuszcza — opowiedzcie mi całe wydarzenie, w którym uczestniczyliście, i to z bliska.

HELGAR: — Z tak bliska, że obryzgała mię krew. Nie, nie potrafię...

ADORNO: — A poza tym, czujemy się winnymi i nie możemy się pogodzić z tym, że Waćpani nie czyni nam żadnych wyrzutów.

MAŁGORZATA: — Jeżeli już sobie tego życzyście, mam Wam za złe, że macie skrupuły. (Śmieje się.) Rozchmurzcie się trochę. Jestem już tylko wdową i niczym więcej?

HELGAR, z emfazą: — Nigdy, od żadnej kobiety nie bił taki blask miesięczny.

MAŁGORZATA: — Ci sami, co dawnej. Lubię patrzeć na wasze wargi wyrzucające miąższ retoryki. Czy chciał Waszmość przez to powiedzieć że jestem wdową po człowieku co nosi wór, i którego dostrzegają dzieci na tarczy księżycy? Tak, wdową po kimś podobnym... A teraz prędko, opowiadajcie jak zostałam wdową.

HELGAR: — Jakby nie było, nie mogliśmy skrzyżować broni z tym hołyszem, pomimo iż był małżonkiem najcudowniejszej z kobiet — z tym wściekłym jannikiem, co nas obrażał...

ADORNO: — Widząc zaś że ludek gotuje się do swej zabawy, kiedy to płachta podrzuca kukielkę, kazaliśmy naszym służącym pochwycić szaleńca, potrząsnąć nim i trochę go pohuścić, aby się uspokoił i pojął, że wywyższyć się może tylko pośród pośmiewiska tłumu...

HELGAR: — Odpowiedzieć na obelgi, znaczyliby nadać im wagi. Bić się zaś z nim, równałoby się ośmieszeniu. Nasi służący załatwili to tak dobrze...

MAŁGORZATA: — Waszmościowi, czy też Adorna?

ADORNO: — Możemyz wiedzieć? Nasi ludzie tak sprawnie wykonali zabawę płachtą do podrzucania kukielki...

MAŁGORZATA: — Ale co takiego zarzucał Waszmościom Juréal w swoim majaczeniu?

HELGAR: — Że jesteście kochankami Waćpani.

MAŁGORZATA: — Obaj?

ADORNO: — I że się tym przechwalamy.

MAŁGORZATA: — W ten sposób, wszyscy troje napiętnowani jesteście przestępstwem, z którego żadne z nas nie miało korzyści.

HELGAR, *zbliżając się do Małgorzaty*: — Adorno, słyszysz Waćpan? Małgorzata nie lęka się mówić głośno o tym, o czym baliśmy się myśleć w skrytości.

ADORNO, *zbliża się również*: — Skoro nasza Małgorzata podaje ton, dlaczego nie mielibyśmy wyznać, Drogi Helgarze, jak małą przykładaliśmy wagę do prostowania tej kalumni?

MAŁGORZATA: — Świetnieście to pomyśleli. Nie tylko, że podtrzymywaliście swoje złudzenia, ale liczyliście również, że z czasem, kłamstwa te staną się rzeczywistością. Wierzyliście w to?

HELGAR, *z zapalem*: — Tak, przynajmniej bez wykrętów. Nieprawdaż, Adorno?

ADORNO, *tak samo*: — Byliśmy święcie przekonani, że jesteście kochankami Waćpani!

MAŁGORZATA, *berze ich za ręce*: — Gdybyście nimi byli naprawdę, zadowolenie Wasze wyglądałoby inaczej. Ach, dźwięk Waszych głosów młodzieńczych, (*Śmieje się*.) A gdybyście tak nimi zostali, skoro już tyle Wam o tym mówiono?

HELGAR, *cofając się*: — Wyśmiewa nas i kpi sobie...

ADORNO, *wyrwa się*: — Nie uwierzę w to. Chybam nie oszalał?

MAŁGORZATA: — Może ja oszalałam? Nie, ani ja, ani żaden z Was. (*Przyciąga ich*.) Śmiać się? Nie, już przestałam się śmiać... nawet mię boli. I po to, aby mię ból opuścił, trzeba by mnie ktoś zranił — nie wiem gdzie — tak, żebym zakrwawiła... Oto, co jasno i bez niedomówień Wam proponuję: Waszmość, Helgarze, i Waszmość, Adorno, zostaniecie moimi kochankami...

ADORNO: — Kiedy?

HELGAR: — A żaloba Waćpani?

MAŁGORZATA: — Nie byliście mymi kochankami wczoraj, nie będziecie już nimi jutro; ale moglibyście zostać nimi dzisiaj, ponieważ są chwile, kiedy każdy sen zbacza ze swej drogi i na krótko dzieje się na jawie, zanim się nie spostrzeże i nie odejdzie, aby śnić się znowu. W rzeczywistości, sen trwał bez przerwy. Gdzie jest sen? Gdzie bierze początek? Gdzie się kończy? Czy na drodze, po której biega wilki?

HELGAR: — Majaczy?

ADORNO, *chwyla ją za ramię*: — Małgorzato!

MAŁGORZATA, *przygląda się im z uwagą*: — O, przewidywałam Wasze osłupienie. Za proste, tak naraz? Wolelibyście to wszystko, ale w stanie tęsknego wyczekiwania? To, co ofiarowywaliście mi tak gorąco,

dajcie mi teraz, kobiecie, którą jestem — w jedynej godzinie jej życia, kiedy potrafi to przyjąć i tego pragnie.

HELGAR: — Małgorzato... dziś?

MAŁGORZATA: — Nie wczoraj i nie jutro.

ADORNO: — Podczas gdy chowają jej męża?

MAŁGORZATA, *oddala się na prawo, po schodach, do swego pokoju*: — To, że być może jesteście winnymi tej śmierci, bynajmniej nie wpływa na moje postanowienie. Jeszcze je wzmacnia. I jeżeli jeden z Was chce przysiąc, że pragnął tego zabójstwa — niechaj wejdzie pierwszy!

Znika w swym pokoju. Helgar i Adorno patrzą na siebie oszołomieni.

HELGAR: — Drzwi została otwarte, Adorno, co teraz?

ADORNO: — Niesłychane. Sam piorun z jasnego nieba nie pomieszalby mi tak myśli...

HELGAR: — Co począć? Drzwi są nadal otwarte.

ADORNO: — Co za pytanie! Nie traćmy czasu. Czyżbyś się choć trochę wahał?

HELGAR: — Chciałem wiedzieć co o tym myślisz. Dzień dzisiejszy był tak niezwykły!...

ADORNO, *robi krok w stronę drzwi*: — Ale kończy się dobrze, jak widzisz. Stój tu, ja idę.

HELGAR, *przytrzymując go*: — Pójdziemy razem. Skąd ten pośpiech? A ja?

ADORNO: — Ty poczekaż. Mnie się należy ten przywilej.

HELGAR, *śmiejąc się z przymusem*: — Chcesz uchodzić za mordercę? Chyba, że nim jesteś?

ADORNO: — Właściwie tak...

HELGAR: — A gdybym tak ja rościł sobie prawo do tego tytułu?

Chce zasrodzić drogę swemu przyjacielowi.

ADORNO: — To się zobaczy! A kto opłacił chamów, aby puścili płachtę, kiedy leciał na dół?

HELGAR: — Ale kto wpadł od razu na ten pomysł?

ADORNO: — Mnieisza o to, ja idę...

GŁOS MAŁGORZATY: — Idziecie? Stoje naga...

HELGAR, *odtraca Adorna*: — Idę!...

ADORNO: — Ani kroku, druhu! Ja wchodzę...

HELGAR: — Chyba trupem! A ja przejdę po tobie!

Krótkie szamotanie. Blyskają sztylety. Helgar upada.

HELGAR: — Upodził mnie...

ADORNO, *wbiega na schody prowadzące do pokoju*: — Teraz już nie wątpisz, że jestem zabójcą. Wynagrodź mię!...

Znika.

PILAR, *wychodzi z ukrycia*: — Gwałtu! Mordują!

ADORNO, *wybiega*: — Będiesz ty cicho, świnio jedna?!

Zeskakuje do ogrodu i chce pochwycić mnicha.

PILAR: — Mordują!

Wyrwa się z rąk Adorna i wbiega na schody.

ADORNO: — Co to, to nie!... Mając do wyboru, między kłosem kłosa i łosem kobiety, nie waham się ani chwili. Mój koń jest rączy. (*Ucieka na prawo*.) Adieu!

PILAR: — Łapaj zabójcę!

Małgorzata wybiega z pokoju. Włosy ma rozpuszczone, i pod futrem stara się nieporadnie ukryć swoją nagość. Pilar skrywa się, przypadwszy jak długi do schodów.

MAŁGORZATA: — Idziecie? (*Helgar, wyciągnawszy ku niej ręce, usiłuje powstać.*) Helgar?! Sam? Co się stało?

HELGAR: — Małgorzato...

Upada z powrotem.

MAŁGORZATA, *przypada do niego*: — Tyle krwi! A ja właśnie ciebie oczekiwałam, ciebie, wilku napastliwy! Czemuż miłość musi mieć otok z purpury? Białe jest twoje ciało. Pragnęłam mnie? (*Obejmuje go.*) Pragniesz mnie? Tak, czuję to. Będziesz moim dopóki jeszcze oddychasz. A ranę w twoim boku wargami zagoję.

PILAR, *zrywa się wrzeszcząc*: — Ohyda!

MAŁGORZATA, *zrywa się również, pod futrem widać tunikę pełną śladów krwi*: — Wy? (*Biegnie w stronę mnicha, dobywa spod futra jedną z pierś.*) Tutaj? Wpakuję ci to w pysk.

Pilar próbuje uciekać przez ogród, Małgorzata, zbiegłszy ze schodów, goni za nim.

PILAR: — Jesteś samą lubieżnością i Złem!...

MAŁGORZATA: — Jestem Zło, którego obsesja dostarczyła ci okropnych rozkoszy. Oddam się najbardziej nieczystemu z nieczystych...

Obejmuje Pilara i przyciska go do siebie.

PILAR: — Szatan przyjął jej kształty... Nie, nie zgrzeszę...

MAŁGORZATA: — Ale drżysz, ale ślinisz się. I twarz ci się rozjaśnia. Aniołyś zobaczył?...

Puszcza mnicha, który osuwa się na ziemię.

PILAR, *leżąc, kryje twarz w dłoniach*: — Agnus Dei! qui tollis peccata mundi...

MAŁGORZATA, *śmiejąc się płocho*: — O, co za słabeusz i flak! Nareszcie zgrzeszył! Szatan?... O, tam ucieka, leć za nim i łap go! Wykoczył z twej głowy ogolonej. (*Pomaga podnieść się Pilarowi.*) Jesteś czysty... Wzrok twój staje się czysty. To już nie twój wzrok...

PILAR, *cofa się*: — Boże!...

MAŁGORZATA: — Spowiadasz się?...

PILAR, *jakby chciał objąć Małgorzatę*: — Małgorzato! (*Cofa się jednak, mówiąc z wysiłkiem.*) Nie, jestem przeklęty!...

MAŁGORZATA: — Zawolałeś mnie po imieniu, i będziesz mnie wołać, będziesz wymawiać to imię kobiety pośród pokuty...

PILAR: — Ty? Kobietą? Szatanem. Kobieta rodzi, daje życie. A ty śmierć sprowadzasz i zabijasz... (*Biegnie na prawo.*) Ratunku! Strażnicy!...

MAŁGORZATA: — Gubisz mnie tak jak ja ciebie zgubiłam...

PILAR: — Ratuję Waćpanią... przed nią samą... (*Wrzeszczy.*) Na pomoc...

Wchodzą Chruń i Murga i stają jak osłupiali. W czarnej płachcie trzymają coś zawiniętego. Z ulicy dochodzi hałas. Pilar wychodzi.

CHRUŃ: — Co? Mnich w niebezpieczeństwie? Już niosą poduszki, żeby przyduśić wścieklaka...

MURGA: — Niech Waćpani stąd uchodzi i to daleko. Tłum już zwąchał zapach krwi...

MAŁGORZATA: — Chodźcie do mego pokoju, rozbiórę was jak dwie kukielki...

CHRUŃ: — Ale używanie!

MURGA, *odciąga Chrunia*: — Nie, mój Chruniu. Nawbija nam szpilek w garby. Spójrz na jej źrenice. Obląkana!

MAŁGORZATA, *idąc za nimi*: — Karty nie chcą? Pójdę na jarmark. I tam znaję na pewno mężczyznę, który mię zechce. (*Wola.*) Kto chce kobiety?

Wchodzi Różan. Zawraca ją do ogrodu.

RÓŻAN: — Ja. Nie myślałem że Cię zobaczę tak prędko.

MAŁGORZATA: — Ty? Mężczyznę? Kat... Będziemy razem... we dwoje...

Wchodzi Pilar.

PILAR: — We troje i nie do odróżnienia pośród dymu płonącego stosu.

MAŁGORZATA, *bierze za rękę Różana i Pilara*: — Na Was czekałam, na pewno na Was. Ach, uwolnijcie mię, to w waszej mocy!...

Sztynnie, zamyka oczy i zapada w nagłe odrętwienie. Różan podtrzymuje ją ostrożnie i okrywa swym płaszczem. Tymczasem tłum wtargnął już do ogrodu. Pilar usiłuje cofnąć ludzi. Wchodzi prokurator królewski, z nim halabardnicy i dobosze, którzy natychmiast opróżniają ogród z tłumu.

PROKURATOR: — Trzymać w ryzach pospółstwo. (*Do mnicha.*) Odpowiedziałem na Wasze wezwanie. Postąpimy tak jak nakazuje prawo. (*Kłania się Małgorzacie.*) Co przyjdzie mi stwierdzić w tym domu?

PILAR: — Jej mąż został przypadkowo zabity, ale opinia publiczna głosi, że bywają wypadki przewidziane.

PROKURATOR: — Tak utrzymują ludzie złośliwi. Damyż im posłuch? I zaczniemy szukać sprawców? Małgorzato Harstein, co Waćpani o tym sądzi?

Cisza.

PILAR: — Gdyby nawet odpowiedziała, gdyby nawet oskarżała samą siebie, nie trzeba dawać jej wiary. Przebywa w niej ktoś potężniejszy od niej samej, ktoś równie potężny jak Bóg...

Zegna się.

PROKURATOR: — Zobaczymy ile w tym prawdy, Przewielebny Pilarze. Sprawiedliwość nasza ma chłodne czoło.

PILAR: — Niech Wasza sprawiedliwość jak najprędzej pozbędzie się tej kobiety. (*Wpada w gniew.*) A jeśli jednego trupa wam za mało, chodźcie!... Pokażę wam drugiego.

Ciągnie prokuratora po schodach i pokazuje mu ciało Helgara, leżące na galeryjce.

PROKURATOR: — Szlachcic ten zginął śmiercią nienaturalną. (*Skłania głowę przed ciałem i schodzi.*) Jakie wnioski wyciągnąć z powyższego stwierdzenia?

PILAR: — Ze zbrodnia!

CHRUŃ, *wtrąca się*: — Przed chwilą dano znać, że wielmożny Adorno uciekł z miasta.

PROKURATOR: — Dlaczego przyjaciel żywy odbiega nie żyjącego przyjaciela? Czy to sztylet? Kto był przy tym?...

PILAR: — Byłem tu. Ale... czy wielmożny Adorno nie po to uciekł, aby uniknąć losu przyjaciela? Kto dobył sztyletu?... (*Gwałtownie.*) Ona! Oskarżam ją! To wampir, co krew wysysa! Widziałem, jak leżała na konającym i piła krew z jego rany.

GŁOSY TŁUMU: — Zbrodnia!...

PILAR: — Zbrodnia, mówicie? — Czary są! — mówię.

PROKURATOR: — Waćpani nie drzy, Małgorzato Harstein? Czy słyszy Waćpani co mówią?

RÓŻAN: — Ona śpi.

PILAR: — To nie sen, to urok. Bo skądby się w niej wzięło tyle urody? To Szatan ją usypia. Spójrzcie na jej wargi uśmiechnięte niewinnie...

PROKURATOR: — Niech i tak będzie. Zabieram ze sobą tę kobietę, choćby po to, aby była pod opieką. Zabrać stąd zamordowanego...

RÓŻAN, do Małgorzaty: — Będiesz kwiatem trującym, który rzuca w ogień co oczyszcza. Zapłodnię twą agonię, i z twoich popiołów podniosą się róże straszliwe.

Halabardnicy otaczają Małgorzatę, która stąpa wolno, pogrążona we śnie. Różan, położywszy dlonie na jej barkach, prowadzi ją ku wyjściu. Wychodzą powoli. Pilar spuścił kaptur na oczy. W ślad za orszakiem, ludzie wynoszą pośpiesznie ciało Helgara. Ogród pustoszeje. I cichnie dochodzący z ulicy hałas. Na scenie pozostali jedynie Chruń i Murga, nie mogąc przyjść do siebie. Długa chwila ciszy.

CHRUŃ: — I po wszystkim. Nie tylko w teatrze zdarza się, że w jednym dniu naukladają ci tyle trupów! Ach, lży mi się cisną.

MURGA: — Dość tej wody płynącej spod czoła. (Potrzęsa Chruniem.) Godzi się płakać, gdy ubywa człowiek?

CHRUŃ: — Nie, raczej trzeba było płakać, gdy przychodził na ten świat co wart pośmiewiska. A nasza stara planeta, nie jest-li wydziedziczona i kaleką pośród mnogości pełnej chwały gwiazd? Wracajmy do zabawy! Sprawiedliwości stało się zadość, bylibyśmy bardziej wymagający niżli ona?

MURGA: — Sprawiedliwości stanie się zadość, ale czy można w ogóle o niej mówić, jeżeli winny wyzienie ducha, pogrążony w zatwardziałości serca i bez pokuty?

CHRUŃ: — I cóż? W każdym strachu jest coś do śmichu! Dalej, uwiecznijmy ambitnego cherlaka, co pod chmury wleciał. Hop, i w niebo!...

Rozwija płachtę, skąd Murga wyjmuje małą, ledwie trzymającą się kupy kukielkę, przebraną za jaśnie pana, przy mieczu i z piórem u kapełusza. Murga całuje ją i zbliża kukielkę do twarzy Chrunia, który również ją całuje. Po czym napinają płachtę. I kukielką wylatuje w górę, upada i, odbita, wylatuje znowu.

MURGA: — Hop, jaśnie panku! Byleś szlachetny!

CHRUŃ: — Wyżej! Hop! signor...

MURGA: — Hop! signor...

Tak bawiąc się, wychodzą. Scena pustoszeje. Z ulicy dolatują wybuchy śmiechu i radosne okrzyki. Jeszcze chwila, i tłum podchwytuje okrzyk karkłów: „Hop! signor...”, raz za razem — podczas gdy w oknie widać wzlatującą i opadającą kukielkę — niby zranionego ptaka, wahającego się w którą stronę przeważać swój lot, ku niebu, czy ku ziemi.

Kurtyna.

1935.

Za zgodą Librairie Gallimard i Autora.

Archiwum polityczne

Kwestia rosyjska

Kwestia rosyjska w Polsce ma dwa oblicza. Znakomita większość nie analizuje tylko zwyczajnie nienawidzi. Na chemizm tej nienawiści składa się tradycja, historia, współczesność.

Pewien procent inteligencji reprezentuje pogląd, że wojny na wielką skalę prawdopodobnie nie będzie. Po czterdziestu latach teorię o kolosie na glinianych nogach należy odstawić do politycznego muzeum niespełnionych nadziei.

Byłoby błędem przypuszczać, że w Kraju podział na tych, którzy wypracowanie jakiegoś modus vivendi z Rosją uważają za potrzebne i na tych, którzy po prostu nienawidzą — pokrywa się z podziałem na partyjnych i niepartyjnych. Nie wszyscy jednak członkowie partii są miłośnikami Rosji sowieckiej. Z drugiej strony wielu zwolenników „modus vivendi” rekrutuje się z sfer poza-partyjnych.

Nie ulega wątpliwości, że w oczach przywódców sowieckich polska tradycyjna nienawiść do Rosji jest synonimem reakcjonizmu. Ponieważ każdy komunista ex definitione jest przyjacielem Związku sowieckiego wskutek tego na Kremlu wnioskuje, że z chwilą gdy komunizm zostanie przyjęty przez większość polskiego społeczeństwa — nienawiść do Rosji zniknie wraz z widmem burżuazyjnej epoki.

Aktywiści partyjni nie tają, że głównym hamulcem opóźniającym skomunizowanie Polski jest powszechna nienawiść do Rosji. Być może obywatel X. czy Y. byłby podatniejszym politycznie materiałem, gdyby komunizm był doktryną francuską czy włoską. Obywatel X. odrzuca komunizm a priori z powodu jego rosyjskości.

To jest pierwszy krąg polsko-rosyjskiego błędnego koła.

Kierownictwo partii wnioskuje logicznie, że jeżeli pragnie się rezultatów na odcinku ideologicznym trzeba w pierwszej linii zmniejszyć ciśnienie nastrojów antyrosyjskich. Titoizm — sugerują jego polscy zwolennicy — byłby operacją zmierzającą do

wydatnego zmniejszenia ciśnienia nastrojów antyrosyjskich. Rozumowanie oparte jest na słusznym założeniu, że im Polska będzie bardziej niepodległą tym społeczeństwo będzie mniej antysowieckie.

Rosjanom jednak ten typ rozumowania nie trafia do przekonania. Przywódcy sowieccy sądzą, że Polsce można by przyznać bardziej niezależny statut tylko wówczas, gdyby społeczeństwo było mniej antyrosyjskie. I to jest drugi krąg polsko-rosyjskiego błędnego koła.

Rozpatrzmy kwestię rosyjską na szerszym tle.

Gdyby któregoś dnia marszałek Żukow dokonał zamachu stanu a następnie obwołał się carem Wszech Rosji — nie jest pewne czy dla Waszyngtonu byłby to zysk czy strata. Gdyby Rosja w ten sposób zerwała z komunizmem — zmiana flagi i oficjalnej ideologii nie wpłynęłaby w niczym na obecną strukturę „równowagi sił”. Przeciwnie, biała Rosja mogłaby być jeszcze groźniejszym rywalem Ameryki niż Związek Sowiecki.

Na tym przykładzie widać, że ideologie nie stanowią jądra politycznych problemów. Istotą polityki, tak dawniej jak i dziś, jest interes państwowy — siła i bezpieczeństwo. Upadek komunizmu miałby tylko wówczas dalekosiężne polityczne konsekwencje, gdyby był równoznaczny z upadkiem potęgi Rosji. Ale i w tym wypadku istotą politycznej przemiany byłby upadek światowego mocarstwa a nie tylko upadek ideologii. Innymi słowy chcąc zmienić obecny „balance of power” nie wystarczy zlikwidować komunizmu. Trzeba zlikwidować Rosję.

Pisarze, politycy i działacze wschodnio-europejskich emigracji usiłowali przez ubiegłe dziesięć lat przekonać Zachód, że politykę należy podporządkować ideologii antykomunistycznej. Staraliśmy się dowieść Amerykanom, że wolność świata jest tym istotnym interesem państwowym Stanów Zjednoczonych, który winien być realizowany za wszelką cenę. Nie przekonaliśmy ani Amerykanów ani Anglików. Oba te mocarstwa mimo, że są zdecydowanie antykomunistyczne — nie prowadzą polityki ideologicznej. I dlatego nie podejmą nigdy z pobudek ideologicznych wojny prewencyjnej, krucjaty czy „wyzwolenia” siłą.

A jaką politykę prowadzi Rosja? Być może, gdyby Stalin był młodszy i żył piętnaście lat dłużej doprowadziłby za swego życia do otwartego konfliktu z Zachodem. Niewątpliwie w umyśle Stalina polityka sowiecka pokrywała się całkowicie z celami światowego komunizmu i w tym sensie była to polityka ideologiczna.

Dziś sytuacja wygląda nieco inaczej. Dla Stalina zwycięstwo Rosji i zwycięstwo rewolucji w skali światowej to były synonimy. Lecz dla pp. Chruszczowa i Bułganina pytanie Nr 1 brzmi: Czy Rosja w tym wyścigu politycznej inicjatywy i produkcji gospodarczej zdoła utrzymać stanowisko drugiego mocarstwa świata?

Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że polityka Sowietów z każdym rokiem będzie mniej ideologiczna. Gdyby jednak

w Moskwie utrzymali się przy sterze ludzie, którzy w swym doktrynerstwie i ciasnocie zechcieliby identyfikować interes Rosji z losami światowego komunizmu — Rosja nie zdoła utrzymać swego obecnego statutu.

Dla Stalina świat składał się z lojalnych komunistów, którzy byli sługami Sowietów i z antykomunistów, którzy byli wrogami Sowietów. Jeszcze za życia Stalina przykład Jugosławii wykazał, że powyższy schemat jest nie tylko prostacki ale i fałszywy.

Wiemy z przemówienia Chruszczowa na XX Kongresie partii, że Rosja była źle przygotowana do wojny i znajdowała się dosłownie na krawędzi klęski. Podniesienie się Rosji na przestrzeni zaledwie czternastu lat — z dna upadku do pozycji światowego mocarstwa jest niewątpliwie jednym z najefektowniejszych wydarzeń w historii XX wieku. Ale czy ten bezprzykładny sukces Rosja zawdzięcza komunizmowi?

Rosję z odmetu wyciągnęli burżuazyjni sojusznicy. Gdyby nie było Dr. Fuchsa i komunistycznej sieci szpiegowskiej na Zachodzie — pomoc anglosaska płynęłaby równie szerokim strumieniem. Zachodni komuniści w niczym nie odegrali roli decydującej. Ostatecznie ani Roosevelt ani Churchill komunistami nie byli.

Po upadku hitlerowskich Niemiec na wschód od linii Berlin-Praga-Wiedeń powstała próżnia w którą wlały się armie rosyjskie. Zachodni sprzymierzeńcy nie potrafili się przeciwstawić tej polityce faktów dokonanych i tak zrodziła się Jałta. To nie komunizmowi zawdzięcza Rosja podbój Europy wschodniej. Prawdą jest natomiast, że dzięki wyjątkowej wprost koniunkturze mimo swej komunistycznej flagi Rosja zdołała zagarnąć pół Europy.

Od czasów Stalina i Jałty świat uległ wielkim przeobrażeniom. Jeżeli w tym nowoczesnym świecie Rosja zechce utrzymać i umocnić swą wielkomocarstwową pozycję, polityka Moskwy w coraz większej mierze będzie musiała szukać sprzymierzeńców wśród nie-komunistów.

Świat nie zmierza do komunistycznego milenium. Wydaje mi się, że komuniści zachodni nie żywią w tej materii złudzeń. Komunizm nie zostanie nigdy przyjęty ani w Stanach Zjednoczonych ani w republikach południowo-amerykańskich. Komunizm nie będzie również ani w Anglii ani w krajach wspólnoty brytyjskiej. Wbrew pesymistycznym ocenom pewnych europejskich komunistologów — amerykańscy rzeczoznawcy oceniają, że komunizm nie ma poważnej życiowej szansy na kontynencie afrykańskim. W porównaniu z latami wojny i z okresem bezpośrednio powojennym należy stwierdzić, że komunizm traci grunt w kontynentalnej Europie zachodniej z Francją i Włochami włącznie. Nadzieje komunistów w obu tych krajach — choć wydawać się mogły usprawiedliwione — nie spełniły się.

W świetle powyższego rozpoznania wydaje się oczywiste, że celem polityki rosyjskiej winna być nie komunistyczna rewo-

lucja światowa lecz utrzymanie i rozbudowa mocarstwowej pozycji vis à vis Stanów Zjednoczonych.

Ktoś powie, że powyższe cele nie są alternatywami lecz przeciwnie pokrywają się wzajemnie.

Otóż tak nie jest. Weźmy przykład nam najbliższy — Polskę. Realista, chcąc być w zgodzie z logiką i faktami, musi przyjąć (niezależnie od „pobożnych życzeń”), że Rosja jest najpotężniejszym naszym sąsiadem i prawdopodobnie takim pozostanie. Polityka „przedmurza obrotowego” zwróconego na wschód przeciwko Rosji a na zachód przeciwko Niemcom — nie wytrzymała próby życia i nie wierzę by wśród Polaków miała jeszcze wielu zwolenników.

Każdy rząd polski demokratycznie wyłoniony starałby się bez wątpienia o możliwie dobre stosunki z Moskwą. To leży bowiem w oczywistym i bezspornym naszym interesie. Nie wydaje mi się również by mogła w Polsce powstać partia programowo antyrosyjska. Nienawiść nie jest bowiem ani programem ani polityką. Nienawiść jest potencjalnym odporem. Nasza nienawiść do Rosji nie jest typu „zoologicznego” i jeszcze ciągle istnieje po stronie Polaków gotowość ułożenia stosunków polsko-rosyjskich na normalnych warunkach. Sąsiadów nikt sobie nie wybiera. Irlandczycy może również woleliby za sąsiadów inny naród niż Anglików.

Dla każdego kto spojrzy przytomnie na mapę Europy jest oczywiste, że w Warszawie nie może być dziś rządu wrogiego Rosji. Ale to co jest narzucone przestaje być oczywiste.

Nie jest wadą obecnego rządu reżymowego, że jest pro-rosyjski. Jego wadą natomiast jest, że nie jest rządem polskim.

Rosja mając własną korzyść na oku winna przejść w stosunku do tak zwanych państw satelickich z polityki ideologicznej na normalną politykę państwowego interesu. Uznawszy nasze prawo nie tylko do niepodległości ale i do form ustrojowych zgodnych z wolą większości — Rosja zdobyłaby poparcie wszystkich trzeźwo myślących nie-komunistów.

Ideologiczna polityka Rosji doprowadziła do fatalnych rezultatów. Antyrosyjsko są nastawieni nie tylko bezpartyjni ale nawet pewien procent, jeśli nie większość, członków partii.

Rewolucja od dołu może być wielkim politycznym atutem — rewolucja narzucona z góry jest politycznym obciążeniem. Przejdzie chwila, że Rosjanie — jeżeli zechcą dotrzymać kroku Ameryce — będą musieli w stosunkach międzynarodowych porzucić politykę ideologiczną.

Przypuszczam, że większość Rosjan — podobnie jak wielu ludzi na Zachodzie — sądzi, że komunizm służy imperializmowi rosyjskiemu. Niewątpliwie tak było ale czy nadal tak będzie? Już dziś jest coś fałszywego w stosunku imperialnej polityki rosyjskiej do światowego komunizmu. Anulowanie dogmatu o nieuchronności wojny z kapitalistycznym otoczeniem, teza o pokojowym współzawodnictwie, teza o zdobywaniu władzy poprzez

większości parlamentarnej — to są wszystko ideologiczne odstępstwa podyktowane politycznym interesem Rosji ale nie interesami światowego komunizmu.

Starzy komuniści jak Mołotow, potępiając titoizm z punktu widzenia doktrynalnego mają rację. Przyjęcie tezy o prawie do „własnej drogi do socjalizmu” musi w konsekwencji prowadzić do powstania serii „komunizmów” narodowych. Cechą zasadniczą komunizmu jest jego uniwersalizm. Komunizm jest albo jeden — albo żaden.

Niemniej interes polityczny Rosji wymagał wyrównania stosunków z Jugosławią. I interes polityczny przeważał nad ideologicznym.

Komunizm na terenie Polski w jego obecnej formie gra de facto przeciwko Rosji. Jak długo w stosunku do nas Rosjanie stosować będą politykę ideologiczną tak długo w Polsce nie powstanie żaden, niezależny program polityczny, który współpracę z Rosją wysuwałby jako jedno ze swych założeń.

Tak Rosjanie jak i Amerykanie nie zdają sobie w pełni sprawy, że niebawem rozrost ich atomowych super-mocarstw wywołał w świecie żywiolową reakcję nacjonalistyczną. Każdy średni i mały naród czuje się zagrożony w swym narodowym bycie i niezawisłości. Realistyczna polityka tak amerykańska jak rosyjska musi ów fenomen brać pod uwagę.

Wielka polityka winna być prosta i pragmatyczna. Nie byłoby żadnych trudności przekonać miliony Polaków, że bez względu na przeszłość interes państwa polskiego wymaga poprawnego ułożenia sąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich. To jest jasne i zrozumiałe dla każdego. Nie ma jednak żadnych możliwości przekonania milionów Polaków, że by być dobrym sąsiadem narodu rosyjskiego trzeba wprawdzie zmienić... wyznanie.

W rezultacie dziesiątki milionów Polaków, którzy w innych warunkach podtrzymywaliby lojalnie politykę dobrych stosunków z Rosją — dziś z nienawiścią odnoszą się do wszystkiego co rosyjskie.

Rezygnując z polityki ideologicznej Rosjanie odzyskaliby możliwość ułożenia na realnych przesłankach swych stosunków z krajami Europy wschodniej. Podstawą reorientacji musiałyby być ewakuacja wojsk sowieckich i uznanie pełnej niepodległości państw tego obszaru. W takiej sytuacji w Polsce, pod naciskiem opinii społeczeństwa, nastąpiłaby powolna demokratyzacja ustroju.

Rozwój po tej linii stanowiłby dla Rosji czysty zysk. Straciłaby kilkadziesiąt tysięcy swych obecnych popleczników zyskując wzamian pozytywny oddźwięk w milionowych rzeszach.

I punkt ostatni. Tego typu polityką Rosja odcięłaby się skutecznie od wylęgarni wszystkich odchyłań. Odchylenia i herezje rodzą się poza granicami Sowietów. Titoizm jest dziś nie tylko problemem jugosłowiańskim i „satelickim” lecz również

wewnętrzno-sowieckim. Satelickie herezje mogą przynieść Rosji nieobliczalne komplikacje i kryzysy.

Represje, czystki, inkwizycje budzą nienawiść i de facto są zawsze stratą. Polityka sowiecka jeżeli zechce utrzymać swe zdobycze będzie musiała „zamerykanizować” swe metody i taktykę. Rosja winna więc stanąć na stanowisku, że nie jest istotne czy Jugosławia jest klasycznie komunistyczna czy tylko „postępowo-lewicowa” jak wyrazić się miał Mołotow. Istotne jest tylko czy Jugosławia jest z Rosją czy przeciw niej. Wszystko inne to są szczegóły trzeciorzędnego znaczenia. Jeżeli Jugosławię można pozyskać za uznanie jej ideologicznych odstępstw — należy te odstępstwa uznać. Na to by obecne i przyszłe odstępstwa móc uznać w imię rosyjskich interesów — trzeba zerwać z polityką ideologiczną. Bo jak długo Moskwa prowadzi tę politykę — każdy kryzys w łonie jakiegokolwiek komunistycznej partii świata jest rosyjskim kryzysem.

Ten realistyczny wzorec winien być zastosowany do wszystkich krajów „satelickich”. Jeżeli Rosjanie tego nie pojmą — wcześniej lub później utracą statut światowego mocarstwa i wrócą za mur swojego wielkiego ghetta w którym żyli do sierpnia 1939 roku.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NA DWA FRONTY

I

Pandora w londyńskich „Wiadomościach” zaszczyciła nas dłuższym komentarzem. W artykule pt. „Ręce i nogi” („Wiadomości”, Nr 550) podano surowej krytyce krajową politykę „Kultury”, a w szczególności postulaty dotyczące wydań krajowych książek autorów emigracyjnych.

Nie należy kwitować milczeniem tej krytyki, bo choć Pandora nie jest przedwojennym Słonimskim, a „Wiadomości” nie są „Wiadomościami Literackimi” — to niemniej są poważnym tygodnikiem emigracyjnym. W każdym razie bliżej „Wiadomościom” do „Wiadomości Literackich” niż Pandorze do Słonimskiego.

Przyjrzyjmy się taktyce Pandory. Oto cytaty z jej artykułu: „Londyńczyk sprawę rozpatruje metodą materialistycznego pojmowania dziejów...”, „W tym upatrywaniu w pieniądzech jedynej formy uzależnienia objawia się chłopięcy materializm neo-marksisty...”, „Praktykujący neofici materializmu przywiązują nadmierną wagę do cyfr...” itd., itd., itd.

Pandorze nie chodzi o argumenty, o dyskusję, o problem. Jej chodzi tylko o to by na „Kulturę” i zespół redakcyjny rzucić cień podejrzeń i insynuacji.

Reakcyjność to nie jest pogląd polityczny. To jest postawa wewnętrzna. Dla Pandory każdy przeciwnik jest marksistą i materialistą — dla p. Arskiego każdy przeciwnik jest faszystą. Dla reakcjonistów z prawicy jesteśmy neo-marksistami; dla reakcjonistów z lewicy jesteśmy faszystami.

Czym jest reakcyjność? Reakcyjność jest prostactwem. Jest metodą rozpatrywania wszystkiego dwukolorową skalą biało-czarną. Zagubieni w współczesnym skomplikowanym świecie ci, którzy stracili, względnie nigdy nie mieli, zdolności analizy zjawisk, które wybiegają poza ich własny filisterski pułap — chronią się w skrajność. Bo tylko rzeczy skrajne, skonstrastowane, są dla nich wreszcie czymś zrozumiałym. Skrajność daje im poczucie twardego gruntu pod nogami. Wszystko inne jest niepewne, płynne i wysoce podejrzane.

Reakcyjniści wyposażeni we władzę — są straszni; bezsilni — są tylko śmieszni. Pod wpływem uczucia zagrożenia stają się coraz bardziej kłanowici i licytują swoje hasła ad absurdum. Jeżeli ktoś powątpiewa czy rozbicie Związku Sowieckiego i wytrzebienie komunizmu w pięciu częściach świata nie jest zbyt wygórowanym programem w stosunku do emigracyjnych możliwości — zostaje natychmiast napiętnowany jako materialistyczny „pojmowacz” dziejów.

Reakcyjniści tak lewi jak i prawi mają nie tylko swój własny system logiczny lecz również swoją własną sloganową gramatykę. Dla kogoś niewtajemniczonego w prawidła i konwencje tej gramatyki teksty są zupełnie niezrozumiałe.

Pandora w omawianym artykule pisze między innymi:

„Jeżeli takim skutecznym narzędziem w walce o demokrację w Polsce ma być książka emigracyjna to dlaczego właśnie komuniści wysilają się żeby tę książkę zdobyć”.

Ponieważ według schematu „białe-czarne” komuniści jako czarni nie mogą zrobić nic dobrego — jeżeli wydadzą wiersze Balińskiego będzie to rzecz ex definicio zła.

Michał Rusinek w jednym z pism londyńskich został nazwany politrukiem. W świetle systemu „białe-czarne”, kto ma paszport reżymowy jest politrukiem. Jakie przemówienie może wygłosić politruk? Oczywiście prowokacyjne. W oparciu o ten niezawodny system Zygmunt Nowakowski nie słysząc tego przemówienia mógł „na pewniaka” napisać, że przemówienie Rusinka było prowokacyjne. Wszystko w zgodzie z obowiązującą sloganową gramatyką.

Łaskawa Pandoro — nie jestem zwolennikiem materialistycznego pojmowania dziejów, ale z dwojga złego to już wolę materialistyczne niż historyczne.

II

Artykuł w wrześniowym numerze „Kultury” pt. „Dialog” został po-
tepiiony nie tylko przez Pandorę lecz również przez p. Zbigniewa Mitznera,
który jako Jan Szelaąg jest filarem biuletynu i radiostacji pn. Kraj.

Natomiast „Życie Warszawy” w przeciwieństwie do Pandory i Sze-
łağa dało względnie rzeczowe i nienapastliwe omówienie „Dialogu” w arty-
kule pt. „Między emigracją a Krajem”.

P. Mitzner oburzony do żywego pewnym obiektywizmem artykułu
o „Kulturze” w „Życiu Warszawy” wystąpił z płomiennym listem do
redakcji cytowanego stołecznego pisma. Na list p. Mitznera redakcja „Życia
Warszawy” odpowiedziała ciepko, że nie ma obowiązku drukować świat-
łych uwag p. Szelağa.

Odnotowując ten epizod wypada zaznaczyć, że jest to pierwszy wypadek
polemiki pomiędzy reżymowym dziennikarzem a redakcją pisma warszaw-
skiego na temat artykułu drukowanego w prasie emigracyjnej.

P. Szelaąg vel Mitzner niezrażony odmową „Życia Warszawy” za-
mieścił artykuł poświęcony „Kulturze” w tygodniku „Świat”.

Mitzner jest bardzo wątpliwym propagandystą ale za to jest poetą.
Proszę tylko posłuchać: „Pan Mieroszewski dla Polaków w Kraju istnieje
o tyle tylko, o ile postać tę stworzył w wyobraźni tutejszej premier Cyran-
kiewicz”.

Osobiście wolałbym zamiast „stworzył”... „wyczarował” ale w końcu
niech i tak będzie. Niewątpliwie gdybym był mniej skromny z natury i z na-
wyku — zawróciłoby mi się w głowie. Bo gdzież jest drugi emigrant, któ-
rego postać w wyobraźni Kraju stworzył sam premier Cyrankiewicz.

P. Szelaąg nicuje „Kulturę” i jej współpracowników by na końcu
odkryć przed sterytyzowanym czytelnikiem największą zbrodnię mojego ży-
wota. Choć postać p. Mieroszewskiego stworzył premier Cyrankiewicz, to
niemniej tenże Mieroszewski przetłumaczył Orwella „Rok 1984”.

Z powagą i politrukowskim zapalem oskarżać polskiego dziennikarza, że
przełożył na język ojczysty jedną z najwybitniejszych książek angielskich
doby współczesnej — to już nie jest ani żart ani nawet propaganda. To jest
stalinowska stupajkowatość z której p. Szelaąg nie wyrósł bo zbyt dobrze
do niego pasuje.

Orwell ukazał się jako drugi tom Biblioteki „Kultury”. Nic nie
wiadomo ani „Kulturze” ani mnie czy „Rok 1984” zrucano z baloników
— jak twierdzi p. Mitzner. Ośmielam się natomiast wyrazić pogląd, że typ
transportu w niczym nie wpływa na jakoś literackiego dzieła. Felietony
p. Szelağa nawet zrucane z księżycy nie przestałyby być makulaturą.

W POSZUKIWANIU ŻABY

W tym samym numerze „Świata” w którym p. Mitzner odkrywa przed
opinią krajową moją zbrodnię przekładu Orwella — Melchior Wańkowicz
drukuje reportaż bogato ilustrowany pt. „W poszukiwaniu żaby”.

Sielszczyzna i anielszczyzna w skondensowanej formie. Strawczyn —
miejsce urodzin Żeromskiego, Oblęgorek... biała Nida... kajaki z historycz-
nymi napisami „Tirliporek” i „Kuwaka” — no i pół tuzina zdjęć samego
autora. Z wiosłem, bez wiosła, z łonetką, z księdzem i z Courvoisier'em.

W tekście wszystko cacy-cacy z Kazimierzem Wielkim jako promo-
tem pięćioletek (!) na czele. Jednym słowem powrót Odyssa.

Aż tu nagle Kazimierz Koźniewski na łamach „Przeglądu Kultural-
nego” wysunął pytanie może impertynenckie ale nie pozbawione logiki:
jeżeli wszystko jest tak świetne dlaczego Wańkowicz pozostaje na emi-
gracji?

„Skoro omawiamy twórczość pisarzy pozostających nadal na emigracji”
— cytuję artykuł Koźniewskiego — „musimy sprawę stawiać bardzo jasno
i tłumaczyć czytelnikom, że istnieją jakieś usprawiedliwione powody, które
trzymają autora w rezerwie do Kraju. Jest to w odniesieniu do Wańkowicza
o tyle ważne, że kilka jego książek ukaże się obecnie w Polsce”.

Koźniewski ma rację. Jeżeli ktoś podróżuje po Polsce i w prasie kra-
jowej zamieszcza pełne optymistycznego sentymentu reportaże czytelnicy
mają święte prawo zapytać autora: dlaczego nie osiędzie pan w Kraju na
stałe?

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Wydaje mi się, że jest tylko jedno
rzetelne wyjście. Wańkowicz powinien oświadczyć, że przestał być emi-
grantem politycznym i jest obecnie zwyczajnym emigranem zarobkującym.
Przebywa poza Krajem nie z przyczyn politycznych czy ideowych lecz
z przyczyn zarobkowych i finansowych. Jest obywatelem amerykańskim i za-
rabia na kawałek chleba z boczkiem jak może i gdzie może.

Nie wszyscy musimy być emigrantami politycznymi. Nie należy nato-
miast przypisywać sobie statutu, którego się nie posiada. Wańkowicz z całą
pewnością nie będzie tego robił.

Na tle wypowiedzi Koźniewskiego można w pełni ocenić jak słuszny
był postulat Zespołu „Kultury” by powszechnie znane osobistości świata
emigracyjnego nie odwiedzały Kraju. Pisarz przebywający za granicą jeżeli
nawet wyrazi zgodę na przedruk swych książek w Kraju — zrzekając się
honorarium — nie przestaje być emigranem politycznym. Na pytanie jakie
padło pod adresem Wańkowicza może śmiało odpowiedzieć: „Nie wróciłem
do Kraju w roku 1945 — z tych samych przyczyn nie wracam w roku 1956”.

EPILOG SPRAWY 48-MIU

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne, że tak zwana kampania repatria-
cyjna rozpoczęła się apelem skierowanym przez 48 „powszechnie znanych
obywateli”. W odpowiedzi na ów apel redakcja „Kultury” postanowiła
zaprosić 48-miu ojców chrzestnych akcji repatriacyjnej do Paryża celem
przeprowadzenia na neutralnym terenie swobodnej rozmowy. Ponieważ nie
posiadaliśmy aktualnych adresów wszystkich sygnatariuszy cytowanego apelu
— imienne zaproszenia wysłaliśmy na adres redakcji „Tygodnika Powszech-
nego” z prośbą o przekazanie zaproszeń adresatom. By „Tygodnika Po-
wszechnego” nie narażać na wydatki dołączyliśmy do listu 48 międzynaro-
dowych kuponów pocztowych. Ponieważ Tygodnik zamieścił na swych
łamach apel repatriacyjny — wnioskowaliśmy, że redakcja zna adresy osób,
które ów apel podpisały. Pismo krajowe nie miałooby zresztą żadnych trud-
ności w ustaleniu tych adresów.

Stwierdziliśmy, że żaden z 48 sygnatariuszy nie otrzymał naszego zapro-
szenia. Wobec tego złożyliśmy reklamację na pocztę paryskiej. Cóż się oka-

zało? Nasz list polecony do „Tygodnika Powszechnego” nie dotarł do rąk adresata. Obecnie poczta polska za pośrednictwem poczty francuskiej wypłaciła redakcji „Kultury” przewidziane ustawą odszkodowanie za niedoręczenie listu poleconego.

No. 1318 R

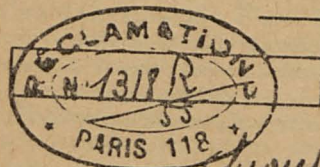
REPUBLIQUE FRANCAISE

POSTES · TÉLÉGRAPHES · TÉLÉPHONES

BUREAU de : PARIS 118

TFL

CCP Paris

Roter
o
rappeler

18/9/56.

Monsieur

Bonne suite à votre réclamation
du 16/12/55 relative à un envoi
recommandé adressé par vos soins le
11/11/55 à Redakcja Tygodnika Powszechnego à Kraków.

J'ai l'honneur de vous faire
de vouloir bien vous présenter au
quichet 3 de votre bureau pour
toucher un péage de 2850 francs comme
indemnité pour perte de cet envoi.

Veuillez agréer, Monsieur, l'assurance
de ma considération distinguée.

F. le Receveur,
Rauzy

Listy zwykle a cóż dopiero polecone — nie giną po tej stronie „żelaznej kurtyny”. I list polecony „Kultury” do „Tygodnika Powszechnego” nie zginął tylko został skonfiskowany przez Bezpiekę ku chwale reżymowej „demokracji” i „praworządności”.

Jak władze warszawskie potraktowały owych 48 sygnatariuszy wśród których nie brak ludzi przynależących do elity kulturalnej Polski? Murzyn podpisał — Murzyn zrobił swoje — Murzyn może odejść. Z Murzynem nie dyskutuje się, do Murzyna nie pisuje się listów poleconych tylko rozmawia się z jego panem i mocodawcą.

Może p. Mitzner-Szeląg przedrukuje niniejszą notatkę w biuletynie „Kraj”, bo — bądź co bądź — sprawa wiąże się ściśle z propagandą repatriacyjną.

PISARZE I KSIĄŻKI

Dziwnie sobie poczynają pewne wydawnictwa krajowe. W ostatnim numerze „Twórczości” (Nr 9) znajdujemy zapowiedź druku fragmentów „Dziennika” Witolda Gombrowicza. „Dziennik” drukowany był na łamach „Kultury” i nigdzie poza tym.

Okazuje się, że redakcja „Twórczości” nie uważała za stosowne zapytać (ani nawet powiadomić) Gombrowicza o zamiarze publikacji. Autor „Transatlantyku” przesłał nam kopię listu, jaki wysłał do redakcji „Twórczości”. W liście tym czytamy między innymi:

„Wobec tego, że dzieje się to bez mojej zgody i upoważnienia uprzednie proszę o natychmiastowe wstrzymanie tej publikacji, zastrzegając sobie dochodzenie moich praw na drodze sądowej w razie przeciwnym”.

Poprzednio również bezceremonialnie postąpił „Przekrój” przedrukując fragment „Transatlantyku”.

W okresie kiedy wydawnictwom krajowym tak zależy na normalizacji stosunków z pisarzami emigracyjnymi tego rodzaju przejawy korsarstwa literackiego są trudne do zrozumienia.

„Życie Literackie” (Nr 39-224) przedrukowało obszerny fragment artykułu Zdzisława Broncia pt. „Polskie echa kongresu Pen-Clubu” z wrześniowego numeru „Kultury”. Fragment zajął całą stronę krakowskiego pisma i robi wrażenie podpisanej, nadesłanej korespondencji. Wiem od Broncia, że przedruk dokonano bez jego wiedzy.

Pisma emigracyjne przedrukują również fragmenty artykułów z prasy krajowej. Wydaje się jednak, że co innego jest zacytować kilka czy kilkanaście wierszy a co innego jest przedrukować około 600 wierszy. W myśl powszechnie przyjętych zwyczajów na Zachodzie przedruk tego typu i rozmiaru wymaga zgody autora. Jest to tym istotniejsze, że redakcja „Życia Literackiego” uważała za właściwe pominąć pierwszą część artykułu Broncia co nadało przedrukowi zmieniony wyraz.

Tyle o pisarzach — a teraz parę słów o książkach.

Teodor Parnicki podpisał umowę dotyczącą wydań krajowych „Aecjusza” i „Srebrnych Orłów”. Parnicki nie przyjął oferowanego mu (raczej wysokiego) honorarium w dewizach. Honorarium złotowe zamierza w pewnej części przeznaczyć na ufundowanie w Kraju stypendium dla młodych pisarzy interesujących się antykiem.

W prasie emigracyjnej na temat książek i przedruków panuje w dalszym ciągu kompletny chaos. Pandora w „Wiadomościach”, Łobodowski

w „Orle Białym”, Bielatowicz w „Życiu” — by wymienić głosy typowe — wysunęli pogląd, że wydawca krajowy jeżeli pragnie rozpowszechnić książki emigracyjne w Polsce winien je zakupywać u emigracyjnych wydawców i księgarzy.

Więc tak. Jeżeli pisarz emigracyjny — notoryczny nędzarz — wzięby honorarium od wydawcy krajowego to uzależni się od reżymu, straci statut emigranta politycznego itd. Jeżeli natomiast księgarz emigracyjny napcha sobie kieszenie reżymowymi funtami a... to wszystko w idealnym porządku.

Pisarze i nie-pisarze, którzy zabierają głos w tej sprawie mieszają dwie różne rzeczy. Dopuszczenie książek emigracyjnych do Kraju — to jest jedna sprawa — wydania krajowe książek emigracyjnych to jest druga i odrębna sprawa.

LONDYŃCZYK

List z Berlina

„POLSKI TYDZIEŃ” W POLITYCE ZACHODNIO-NIEMIECKIEJ

Corocznie parlament zachodnio-niemiecki przyjeżdża do zachodniego Berlina na tygodniowe sesje, aby zadokumentować więź łączącą Niemiecką Republikę Federalną z dawną stolicą Niemiec. Tegoroczna wyjazdowa sesja „Bundestagu”, w pierwszej połowie października, miała przebieg bardzo spokojny. Posłowie powstrzymywali się od wygłaszania szumnych przemówień o zjednoczeniu Niemiec, odczuwając widocznie, że tego rodzaju manifestacje kontrastowałyby z beznadziejnie, przynajmniej obecnie, wyglądającą sytuacją w sprawie zjednoczenia. Toteż na licznych konferencjach prasowych, przy rozmowach w zacisznych winiarniach i na wiecach publicznych mniej miejsca poświęcano sprawom bieżącej niemieckiej polityki wewnętrznej niż... stosunkom polsko-niemieckim.

Każda z licznych konferencji prasowych z wybitnymi przedstawicielami życia politycznego Niemiec Zachodnich kręciła się wokół zagadnienia granicy na Odrze i Nysie i normalizacji stosunków dyplomatycznych między NRF a Polską.

Może to był przypadek (choć wielu obserwatorów skłania się do wręcz przeciwniej tezy, a mianowicie, że chodziło tu o przemyślaną akcję), ale w każdym razie kilkuniedniową intensywną dyskusję o stosunkach polsko-niemieckich zainicjował wiceprezydent parlamentu zachodnio-niemieckiego, jeden z wybitnych przywódców Niemieckiej Partii Socjal-Demokratycznej prof. Carlo Schmid. Jak Schmid nam sam w kilka dni później opowiadał, wszystko zaczęło się od tego, że podczas obrad przedstawicieli życia politycznego Niemiec i Francji, które się odbywały na początku października w miejscowości Bad-Neuenahr, Francuzi wyrazili obawy, że zjednoczone

Niemcy mogłyby wywołać awanturę wojenną z Polską i uwikłać w nią Francję. W związku z tym, Carlo Schmid uważał za stosowne, oczywiście w imieniu własnym, a nie w imieniu partii socjalistów niemieckich, wyjaśnić Francuzom swój punkt widzenia. Schmid oświadczył, że Niemcom wyrządzono w roku 1945 wielką krzywdę i że dokonano aktu bezprawia. Ale nie trzeba zamykać oczu na to, że powstały pewne fakty, nad którymi trzeba się zastanowić i o których można i trzeba dyskutować z Polakami. Polityk niemiecki podkreślił, że najważniejszym obowiązkiem polityki niemieckiej jest przełamywanie przesądów, które przybrały rozmiary jakiegoś tabu. Rozumowanie swe Carlo Schmid oparł na trzech przesłankach. Warto je przytoczyć, gdyż odegrają one niewątpliwie w rozpoczętej w zachodnim Berlinie dyskusji niejednokrotnie jeszcze ważną rolę. Otóż Schmid powiedział ni mniej, ni więcej:

1) Można czekać tak długo, aż Niemcy będą silne i przemocą odbiorą Polsce swe byłe tereny wschodnie. Kto jednak tak myśli, tego należałoby już dzisiaj osadzić w więzieniu, gdyż w ten sposób wybuchłaby trzecia, okropniejsza niż ostatnia, wojna światowa.

2) Można narzekać i psioczyć i czekać, czekać. Takie stanowisko może w najlepszym wypadku doprowadzić do uwiecznienia dzisiejszego stanu.

3) Można jednak przejawiać aktywność i to w tym sensie, że jest się gotowym do obopólnych koncesji; inaczej rokowania nie miałyby jakichkolwiek szans.

Wypowiedzi Carlo Schmid'a sprawiły, że tydzień pobytu Bundestagu oraz rządu bońskiego w zachodnim Berlinie przemienił się, mówiąc zupełnie bez przesady — w swego rodzaju „polski tydzień”. Przyczyniła się do tego niewątpliwie także i bliskość Polski odczuwalna na terenie Berlina w o wiele większym stopniu niż w dalekim, nadreńskim Bonn. Sam profesor Carlo Schmid złożył w berlińskim klubie przedstawicieli prasy zagranicznej dodatkowe wyjaśnienia na temat swego przemówienia w Bad-Neuenahr. Powiedział on między innymi, że w stosunkach niemiecko-polskich powstały w roku 1945 fakty, których nie można usunąć i o których należy rokować. Trzeba stanowczo odrzucić myśl, iż osiedlonym w międzyczasie Polakom można by wyrządzić tego samego rodzaju akty bezprawia, jak to się działo w 1945 roku w stosunku do Niemców. Koledzy warszawscy przypuścili szturm do okazałej osoby Carlo Schmid'a. Pewien młody dziennikarz z katowickiej „Trybuny Robotniczej” zapytał socjalistę zachodnio-niemieckiego czy należy uważać, że jest on zwolennikiem nawiązania stosunków dyplomatycznych z Warszawą? Schmid odrzekł z przekonaniem: „Zawsze występowałem za tym”. Wówczas nasz młody kolega wystąpił z ubraną w płaszczek interpelacji ofertą wizyty Carlo Schmid'a w Warszawie. Stary wyga parlamentarny Schmid uśmiechnął się i jak najuprzejmiej odpowiedział: „Byłbym bardzo rad móc odwiedzić Warszawę i rozmawiać tam z polskimi socjalistami, o ile jeszcze jacyś istnieją”. Nie spodobał się widocznie ten przycinek towarzysowski z „Trybuny Robotniczej”, bo uważał za stosowne pouczyć Schmid'a, że socjaliści w Polsce połączyli się z komunistami w 1948 roku itd., itd. Schmid posłuchał, pokiwał głową i powiedział: „Tak samo połączyli się dobrowolnie jak nasi socjaldemokraci pod okupacją sowiecką. Co będziemy gadać na ten temat”.

W związku z tym nasuwa się dygresja, iż prasa krajowa wysyłając swych korespondentów zagranicę, a szczególnie na niezwykle skompliko-

wany teren niemiecki, powinna podchodzić do tego problemu bardziej elastycznie, unikając szczególnie wszelkich dydaktycznych momentów w stosunku do polityków niemieckich, wykazujących dobrą wolę w podejściu do trudnego zagadnienia stosunków polsko-niemieckich. Wracając jednak do konferencji prasowej z Carlo Schmidem należy podkreślić, że ten niewątpliwie bardzo pozytywnie usposobiony polityk uważa, że normalizacja stosunków niemiecko-polskich wymaga ustępstw terytorialnych ze strony polskiej. Na pytanie dziennikarzy, jak Schmid wyobraża sobie te ewentualne ustępstwa skoro w obecnym układzie sił międzynarodowych bezpośrednim zachodnim sąsiadem Polski jest państwo wschodnio-niemieckie, mówca nie umiał dać na to przekonującej odpowiedzi.

Profesor Schmid miał podobno poważne spory w łonie socjal-demokratycznej frakcji parlamentarnej Bundestagu i z niektórymi członkami Zarządu Głównego SPD. W każdym razie stanowisko Schmid'a zostało w poważnym stopniu osłabione przez przewodniczącego partii socjalistów niemieckich Ericha Ollenhauera, który na konferencji prasowej dla dziennikarzy niemieckich i zagranicznych, urządzanej 11 października 1956 roku w Berlinie, podkreślił z naciskiem, iż wypowiedzi Carlo Schmid'a były wyłącznie jego osobistym stanowiskiem, niczym nie zobowiązującym SPD, jako partii. Wyluszcżając punkt widzenia socjaldemokracji niemieckiej w sprawie granicy na Odrze i Nysie i normalizacji stosunków polsko-niemieckich, Ollenhauer wysunął trzy zasadnicze punkty, którymi się kieruje partia socjalistów:

1) Ostateczne ustalenie granic może nastąpić dopiero w drodze rokowań nad przyszłym traktatem pokojowym z Niemcami.

2) SPD stoi nadal na stanowisku, iż prawo do ojczyzny jest podstawowym prawem zarówno jednostek jak i całych narodów.

3) SPD pragnie jednak jak najwyraźniej stwierdzić, że w danym wypadku wchodzi jedynie w rachubę pokojowe rozwiązanie kwestii i że w związku z tym należałoby poczynić już dziś kroki w kierunku rozpoczęcia rokowań.

Precyzując następnie pogląd partii socjalistów niemieckich w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych z krajami wschodnio-europejskimi, przewodniczący SPD przyznał, że jest to niewątpliwie bardzo delikatny problem. Niemiecka Republika Federalna musi czuwać nad tym, aby nie pozabawić się lekkomyślnie postulatu reprezentowania interesów narodu niemieckiego. Ale nie wyklucza to możliwości znalezienia dróg i metod wiodących do normalizacji stosunków z państwami satelickimi. Jako jedną z możliwości Ollenhauer wymienił model misji dyplomatycznych które istnieją na przykład w Finlandii i w Izraelu.

Ten sam problem dominował na konferencji prasowej, która miała miejsce również 11 października, tym razem z przewodniczącym Wolnej Partii Demokratycznej „FDP” dr. Thomasem Dehlerem. Otrzymała się ona w ramach przyjęcia, wydanego dla przywódcy liberałów niemieckich przez berliński Związek Prasy Zagranicznej. Dehler stwierdził, że FDP nie ma jakiegos z góry ustalonego punktu widzenia w sprawie Odry i Nysy. Granica ta będzie jednym z ważnych przedmiotów rokowań pokojowych, a możliwie pertraktacji między Niemcami a Polską. Chodzi tu jednak o zagadnienie prawne i byłoby niemądrze ze strony Niemiec zrzucać się zbyt wcześnie pozyceji prawnej, wywodzącej się bądź co bądź z Uchwał Pocz-

damskich. Dlatego — zdaniem Dehlera — niektóre sformułowania socjaldemokraty Carlo Schmid'a nie były zbyt zręczne. Tym niemniej należy natychmiast przystąpić do wymiany misji handlowych między Bonn a Warszawą i do rozpoczęcia pertraktacji celem nawiązania stosunków dyplomatycznych. Jest to niewątpliwie trudny problem, gdyż pod jednym względem nie można się ludzić: stosunki dyplomatyczne między dwoma krajami akceptują zwykle istniejący stan faktyczny. Jeśli chodzi o obawy, iż w Warszawie mogłoby być dwóch ambasadorów reprezentujących dwa państwa niemieckie, to właściwie dla czego w Polsce nie mogłaby się powtórzyć ta sama sytuacja, jaka istnieje w Moskwie. W każdym razie odpowiedzialni politycy zachodnio-niemieccy powinni — zdaniem Dehlera — wykazywać Polakom swoją postawą, iż traktują Polskę jako kraj europejski i jako swego sojusznika.

I wreszcie, pod koniec „tygodnia polskiego”, sam kanclerz Konrad Adenauer wypowiedział się w ramach konferencji prasowej, 12 października, na temat stosunków niemiecko-polskich. Jeśli chodzi o granice na Odrze i Nysie to, zdaniem kanclerza, warunkiem wszczęcia rozmów w tej sprawie są dobrosąsiedzkie stosunki pomiędzy wolnymi i zjednoczonymi Niemcami oraz wolną Polską. Uregulowanie zaś samego problemu musi się odbyć na zasadach humanizmu i prawa do ojczyzny. Tego rodzaju wyjaśnienie nie zadowoliło większości licznie zebranych w Berlinie przedstawicieli prasy niemieckiej i zagranicznej i kanclerz musiał zająć stanowisko w sprawie ewentualnych pertraktacji z obecnym rządem polskim. W tej sprawie Adenauer wykazał bardzo sztywną postawę i trawestując nadreńskie przysłowie, że jeśli się ma do wyboru uregulowanie jakiejś sprawy z panem Schmidem lub z panem Schmidchen, to się zwykle wybiera pana Schmid'a, a ponieważ Moskwa jako ów Schmidt ma więcej do powiedzenia niż Schmidchen — obecna Polska — to lepiej jest pertraktować bezpośrednio z Moskwą.

Zakończył się ów „tydzień polski” w zachodnim Berlinie nieprzyjemnym, na tle wspomnianych wyżej wypowiedzi, rewizjonistycznym zgrzytem. Na wiecu urządzonym 13 października w auli Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego przez ewangelickie skrzydło Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) minister spraw wewnętrznych rządu zachodnio-niemieckiego dr Schroeder uważał za stosowne zakończyć swe przemówienie okrzykiem: „Niech żyją Niemcy w granicach od Saarbruecken po Królewiec”.

Reasumując obserwacje poczynione w ciągu tygodniowego pobytu parlamentu i rządu zachodnio-niemieckiego w Berlinie i dyskusowanych w tym czasie spraw dotyczących Polski, należy podkreślić dwa momenty: Różnice zdań w sprawie Odry i Nysy i normalizacji stosunków z Warszawą istnieją nie pomiędzy partiami, ale idą poprzez partie i frakcje. W CDU można zaobserwować trójpodział, a mianowicie na zwolenników kompromisowego podejścia, skupiających się wokół osoby prezydenta parlamentu zachodnio-niemieckiego Gerstenmaiera, wyznawców ostrożnej polityki wyczekiwania i koncepcji porozumienia się z „wolną” Polską, którym przewodzi kanclerz Adenauer, oraz na obóz rewizjonistycznych maksymalistów, na których czoło wysunął się swoimi wypowiedziami w Berlinie minister spraw wewnętrznych Schroeder. Ale i wśród socjalistów istnieją poważne rozbieżności. Podczas gdy Carlo Schmid oraz drugi wybitny polityk SPD Herbert Wehner wykazują gotowość do kompromisów, posłowie frakcji socjalistycznej, rekrutujący się z kół wysiedleńczych, trwają na pozycjach rewizjonistycznych, wysu-

wajac na czołowe miejsce postulat realizacji „prawa do ojczyzny”. Sam przewodniczący partii Erich Ollenhauer zaprezentował się w Berlinie jako mediator pomiędzy obydwojoma kierunkami. Jeśli chodzi w końcu o stanowisko FDP to mimo daleko idących wypowiedzi dr. Dehlera nie można brać tego za ostateczne stanowisko. Chodzi tu raczej o taktyczne pociągnięcia prowadzone pod kątem widzenia rozgrywki z kanclerzem Adenauerem.

Drugim ważnym wnioskiem wypływającym z doświadczeń „tygodnia polskiego” w polityce zachodnio-niemieckiej, to sprawa reakcji opinii publicznej w Niemczech. Opinia ta, rozhuśtywana w ciągu długich lat powojennych w duchu radykalnego rewizjonizmu antypolskiego, nie jest przygotowana na kompromisowe idee w rodzaju wypowiedzi profesora Carlo Schimida. Panuje pod tym względem niewątpliwie daleko idący paralelizm zjawisk z sytuacją w Polsce, gdzie również długoletnia jednostronna propaganda, wychodząca z wulgaryzującej tezy o „dobrych” Niemcach w NRD, i o „złych” w NRF, dokonała wielkich spustoszeń w umysłach Polaków.

BERLIŃCZYK

Kraj

O zaprzepaszczany dorobek kulturalny

Wydany w lipcu br. mickiewiczowski zeszyt „Nauki Polskiej”, kwartalnika Polskiej Akademii Nauk, przynosi „sylwetki naukowe” dwóch najwybitniejszych naszych „mickiewiczologów”, Kleinera i Pigionia. Autor szkicu o Pigioniu, Julian Krzyżanowski, omawiając studia tego uczonego nad pisarzami przełomu XIX i XX wieku, pisze: „Osiągnięciem najwyższym w tej dziedzinie jest niewątpliwie monografia o Orkanie, której rozdział czytało się w czasopismach, która jednak — wskutek jakiegoś nieporozumienia — dotąd nie ukazała się w całości. Fakt to godzien ubolewania, jest to bowiem pierwsza naukowa monografia o autorze „Roztok”, oparta na przebogatym, a najzupełniej nieznanym, archiwalnym materiale biograficznym, z mnóstwem wiadomości o utworach Orkana zaniechanych lub niedrukowanych, ustalająca jego stosunek do otaczającej go rzeczywistości polityczno-społecznej i jego miejsce w nurcie ówczesnej myśli postępowej. Równie precyzyjnie przedstawione tu są koneksje Orkana z boją przed półwieczem literaturą polską i pozapolską, by wspomnieć tylko to, co Pigoń mówi na temat związku dramaturgii autora „Skapanego świata” z głosnymi podówczas dziełami Maksyma Gorkiego. Nie wiem, powtarzam, jakie okoliczności czy nieporozumienia sprawiły, iż książka o Orkanie nie ukazała się dotąd drukiem, sądzę jednak, że czas najwyższy, by sprawę wyjaśnić i książkę udostępnić czytelnikom i miłośnikom dzieł Orkanowych”.

Tyle prof. Krzyżanowski. Wymowa jego apelu jest jasna. Książka Pigionia „Władysław Orkan. Twórca i dzieło” zapowiedziana została jeszcze w roku 1951 w cennej krakowskiej serii historyczno-literackiej „Literatura-Sztuka-Krytyka”. Seria ta w tymże roku 1951 została zawieszona. Nie pojawiły się zapowiedziane w niej wybory przedwojennych studiów Chrzanow-

skiego, Kołaczковского, Konińskiego, Miriama-Przesmyckiego, Windakiewicza, Zawodzińskiego. Nie wyszedł również zapowiedziany tam tom (nowych? starych?) studiów filozoficzno-literackich Henryka Elzenberga „Wartość i człowiek”. Nie ujrzał światła dziennego przyobiecany nam także zbiór czterech rozpraw Romana Ingardena „Z filozofii sztuki”. Nie doczekaliśmy się dotąd innej z zapowiedzi serii, książki Przemysława Mączewskiego „Stanisław Wyspiański”. Wraz z nimi wszystkimi od lat pięciu czeka na druk „Orkan” Pigionia.

Jest rzeczą pocieszającą, że w roku 1956 można było publicznie w periodyku Polskiej Akademii Nauk apelować od decyzji cenzury, powziętej w latach surowych stalinowskich mrozów, jakkolwiek nie bez uczucia zażenowania czyta się, iż w apelacji tej trzeba było powołać się jako na argument, uzasadniający prawo książki do druku, na fakt, iż ustala ona związki dramaturgii Orkana z twórczością kanonizowanego na sowieckim Parnasie Gorkiego. Miejmy nadzieję, iż apel Krzyżanowskiego odniesie skutek i że książka Pigionia — ogłoszone przed laty rozdziały kazały się po niej dużo spodziewać — nareszcie zostanie udostępniona czytelnikom.

Ale książka Pigionia jest tylko jedną z licznych ofiar tej obskuranckiej i bigockiej praktyki cenzuralnej. Trudno jeszcze mieć dzisiaj pełny obraz zasięgu szkód kulturalnych, za jakie ta polityka jest odpowiedzialna. Prasa krajowa ostatnich miesięcy poruszała te sprawy na ogół dorywczo, i to głównie na tym odcinku, który ją najbezpośredniej obchodził. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że był to zasięg bardzo poważny. Wie się o tym nie tylko z wieści, które do nas, na emigrację, przędostały się z listów czy rozmów z ludźmi z kraju. Sporo można tu ustalić w sposób najoczywistej, publicznie sprawdzalny. Przede wszystkim dokumentem tych praktyk cenzuralnych są wydawnictwa, których druk zaczęto w pierwszych latach powojennych, kiedy warunki wydawnicze były jeszcze względnie swobodniejsze, a których wydawanie następnie, gdy przyszło przykręcanie śruby, zostało przerwane. Poza tym sporo tytułów dzieł pozostawionych w rękopisach wyczytać można z nekrologów i wspomnień pośmiertnych o uczonych i pisarzach zmarłych w latach wojny i wkrótce po wojnie.

Jeśli idzie o wydawnictwa nie doprowadzone do końca, to szczególnie dotkliwą stratą było zawieszenie „Polskiego Słownika Biograficznego”. Kiedy w roku 1935 Polska Akademia Umiejętności przystąpiła po wieloletnich przygotowaniach do druku „Słownika”, wydawnictwo to było odrabianiem jednej z najdotkliwszych zaległości nauki polskiej. Znaczenie takiego „Słownika” tak dla ugruntowania kultury historycznej w społeczeństwie, jak również i jako jednego z podstawowych narzędzi badawczych historyka, jest zbyt oczywiste, aby trzeba się było tu nad nim rozwodzić. Dzięki energii i talentowi organizacyjnemu redaktora wydawnictwa, Konopczyńskiego, „Słownik”

wychodził ze wzorową punktualnością: co roku pięć zeszytów, składających się na jeden tom. W ten sposób do wybuchu wojny wydano cztery tomy i pierwsze trzy zeszyty tomu piątego. Wkrótce po wojnie, w roku 1946, udało się Akademii podjąć pracę nad „Słownikiem” na nowo i wydać pozostałe zeszyty tomu piątego. Druk tomu szóstego przeciągnął się już jednak przez dwa lata. Wina to była nie redakcji, która pracowała równie sprawnie jak przed wojną, ale cenzury, przetrzymującej miesiącami poszczególne zeszyty. Tomu siódmego ukazały się w roku 1948 trzy zeszyty, a w roku 1949 wyszedł jeszcze zeszyt czwarty (doprowadzony do nazwiska: Gemma). Był to już ostatni zeszyt wydawnictwa. Ingerencja cenzury była tu szczególnie złośliwa czy bezmyślna. Nie zezwolono na druk gotowego już zeszytu piątego, który by pozwolił zamknąć tom.

Na inny sposób wymowne są dzieje „Wspomnień” zmarłego w roku 1941 znakomitego socjologa i działacza kulturalnego, Ludwika Krzywickiego. Ich tom pierwszy wyszedł w roku 1947 w opracowaniu Stanisława Stempowskiego. Zapowiedziane dalsze tomy już się nie ukazały. Zamiast nich pojawił się w „Myśli Współczesnej” werdykt Adama Schaffa: Krzywicki, którego nb. jako marksistę wysoko oceniał jeszcze przed wojną w specjalnym studium Oskar Lange, nie zrozumiał poprawnie Marxa, są u niego niebezpieczne odchylenia i współcześni polscy marksiści nie mają się czego uczyć od niego. Można się domyśleć, iż nie dopuszczenie przez cenzurę do wydania dalszego ciągu „Wspomnień” było też, przynajmniej w pewnej mierze, represją za ustęp pierwszego tomu, w którym autor, pisząc o mieście swego dzieciństwa, Płocku i wybiegając daleko w przeszłość, z dumą opowiadał o tym, jak to w roku 1920 ludność Płocka spontanicznie brała udział w walkach z bolszewikami. W tekście drukowanym tego ustępu ani razu nie pojawia się słowo „bolszewik” czy „Rosjanin”. Tam gdzie moglibyśmy się go spodziewać, spotykamy się z ogólnikowym „nieprzyjacielem”. Wolno przypuszczać, iż dzięki takiemu podstępowi redaktor „Wspomnień”, sam dobrze otrząskany z lat swej działalności publicystycznej z praktykami carskiej cenzury, ocalił ustęp przed cenzurą, no i zaostriżył jeszcze jego swoistą wymowę polityczną. Redaktor ten zmarł w roku 1952, a w rok później ukazały się jego własne „Pamiętniki”. I tu również nie dostaliśmy pełnego tekstu. Ogłoszony tom „Pamiętników” jego urywa się na roku 1914. W ostatnich miesiącach zapowiedziano wydanie pełnego tekstu „Wspomnień” Krzywickiego. Miejmy nadzieję, że i na dalszy ciąg „Pamiętników” Stempowskiego nie przyjdzie nam długo czekać.

Inny przykład, to losy „Królowej Bony” Władysława Połciechy. Wielka ta, czterotomowa biografia, dzieło życia historyka, przynosi dużo więcej niż życiorys Bony, bo — jak już zapowiada podtytuł: „czasy i ludzie odrodzenia” — doskonale udokumentowane przedstawienie tła historii politycznej i kultu-

ralnej Polski pierwszej połowy XVI wieku. Wydanie tego dzieła utknęło w roku 1949 w połowie. Chodzą pogłoski, iż wmszała się tu cenzura partyjna, argumentując, iż książka jest skażona kosmopolityzmem bo traktuje o królowej z pochodzenia Włoszce, i służy interesom imperializmu, bo pisze o wpływach włoskich na kulturę polską. Bardzo możliwe, że jest to tylko złośliwa anegdota, faktem jednak pozostanie, iż dwa ostatnie tomy „Królowej Bony” dotąd drukiem się nie ukazały.

A oto kilka na chybił trafił wybranych głównie z wspomnień pośmiertnych wiadomości o rękopisach dzieł zmarłych autorów, które nie doczekały się druku.

Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić, ze względu na imponująco obfitą spuściznę pośmiertną, redaktora „Polskiego Słownika Biograficznego”, Władysława Konopczyńskiego. W latach wojennych napisał on siedem książek. Dwie z nich zostały wydane wkrótce po wojnie. Zanosilo się też na wydanie i trzeciej, „Historyki”, zgilotynowanej przez cenzurę, kiedy tekst jej był już złożony. Czeką ona druku, tak jak i książki o konfederacjach w dziejach Polski, o pierwszym rozbiorze, o Piłsudskim oraz zbiór drobniejszych studiów historycznych z XVIII wieku. Wiadomo też, że w ostatnich latach przed śmiercią Konopczyński pisał książkę o polskiej literaturze politycznej XVIII wieku.

Najwybitniejszy uczeń Konopczyńskiego, zmarły w roku 1946 Józef Feldman zostawił po sobie tom szkiców historycznych z XIX wieku. Jeden z nich, ogłoszony swego czasu w „Twórczości”, imponował szerokością horyzontów i oryginalnością ujęcia. Mimo to — a może właśnie dlatego — tom zalega dotychczas w rękopisie.

Wiadomo, że zmarły w roku 1939 profesor Uniwersytetu Poznańskiego, Bronisław Dembiński, pozostawił po sobie „Polskę między pierwszym a drugim rozbiorem”, „wielkie dzieło... które jest pośmiertnym plonem jego życia, jak pisał we wspomnieniu pośmiertnym Adam Skałkowski.

Po zmarłym również w r. 1939 Stanisławie Estreicherze pozostał pamiętnik, który, jak czytamy w szkicu o Estreicherze Henryka Barycza, „kiedyś stanowić będzie ważne i interesujące źródło do dziejów życia umysłowego i społecznego Krakowa na przełomie dwóch stuleci”. Kiedyś — ale kiedy? Wiadomo też, że pozostał po tym uczonym, niewykończony niestety, zarys literatury politycznej XVI wieku, który mógłby nareszcie złuzować mocno już przestarzałą książkę Tarnowskiego.

Wiadomo też, że Tadeusz Zieliński na krótko przed wojną ukończył dwa ostatnie tomy swoich „Religij świata starożytnego”, poświęcone Rzymowi okresu cesarów i chrześcijaństwu antycznemu. „Istnieje zatem nadzieja, że może przecież niezadługo — pisał z górą dziesięć lat temu Ludwik Piotrowicz — i ta ostatnia już praca znakomitego badacza ukaże się drukiem”.

Zmarły w roku 1943 jeden z najoryginalniejszych historyków literatury polskiej Stanisław Windakiewicz pozostawił po sobie

trzy dzieła. Rękopis najcenniejszego z nich, dwutomowych dziejów teatru polskiego, podsumowujących rezultaty badań długiego żywota, niestety spłonął. Ale pozostały i czekają na druk rękopisy dwóch innych książek, książki o Słowackim oraz dzieła pt. „Wpływ literatur romańskich na literaturę polską”.

Śmierć zastała Wacława Borowego w roku 1950 nad wykańczaniem dużej książki o poezji Mickiewicza. Ciężar gatunkowy nazwiska Borowego, świetne zalety jego pióra, wreszcie kilka początkowych rozdziałów, ogłaszanych, przeważnie jeszcze za życia autora, po periodykach, wszystko to zapowiadało, iż książka będzie dużej miary wydarzeniem w polskim życiu kulturalnym. Nie znalazło się na nią miejsce w planie wydawniczym Roku Mickiewiczowskiego. Chodzą jednak pogłoski, że nareszcie teraz książkę będzie można ogłosić. Oby okazały się one prawdziwe.

Jeden z najzdolniejszych historyków polskich młodszego pokolenia, zamordowany w Dachau w roku 1942 ks. Stanisław Bednarski, autor świetnej książki o upadku i odrodzeniu szkolnictwa jezuickiego w XVIII wieku, na krótko przed wojną opracował książkę o Stanisławie Warszewickim. Była ona w druku z chwilą wybuchu wojny. Jej pierwszy rozdział ukazał się pośmiertnie w roku 1949 w zbiorowych „Studiach z dziejów kultury”. Jest on świetnie opracowany, doskonale napisany i nie ma wątpliwości, że książka ks. Bednarskiego to jedno z najcenniejszych studiów monograficznych z dziejów kultury polskiej XVI wieku.

Po zmarłym w roku 1939 kustoszu Ossolineum Ludwiku Bernackim, pozostały zbierane przez dziesięciolecia materiały do życia i twórczości Krasickiego. „Właściwie obszerne dzieło — pisał o nich Stanisław Lempicki — owoc przetrząśnięcia zbiorów publicznych i rodzinnych, dzieło przygotowywane z pasją miłośnika, opatrzone w szereg rozpraw i rozprawek — pozostało w pośmiertnych papierach Zmarłego”.

Zmarły w roku 1943 Karol Ludwik Koniński pozostawił po sobie „bardzo jedyny dokument myśli polskiej” — żeby posłużyć się sformułowaniem Kazimierza Wyki — dwa tomy pamiętników i rozważań, „Ex labyrintho” i „Nox atra”, „pamiętnik religijny — cytuję w dalszym ciągu Wykę — całkowicie pozbawiony precedensu w naszej literaturze, a przez nieminiejszą wartość rzadszych znacznie uwag na inne tematy, pamiętnik myślowy w ogóle też bez precedensu”.

Pozycja szczególnego znaczenia, to listy Wyspiańskiego. Trzynomowe ich wydanie w opracowaniu Leona Płoszewskiego oddano do druku na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Mówiono wówczas, że listy te to nie tylko pierwszorzędnej wagi dokument biograficzny, ale że mają one także nie byle jaką wartość literacką. Ze pokazują Wyspiańskiego w zupełnie nowym świetle. Wkrótce po wojnie „Odrodzenie” przyniosło wiadomość że szczęśliwie zachował się egzemplarz korektowy wszystkich

trzech tomów i że dzięki niemu będzie można przystąpić do wydania listów na nowo. I na tej zapowiedzi się skończyło. Jak cała Młoda Polska, Wyspiański był do niedawna w niełasce. W ostatnich latach jednak wydano „Wesele” oraz — chudy — wybór dramatów, pojawiło się też i kilka studiów o „Weselu”. Ale na wydanie listów ciągle jeszcze czekamy na daremnie.

Oto kilka tylko wybranych przykładów. Listę ich można by bez trudu powiększyć. Nie mówię już o leżących w szufladach i czekających na daremnie na imprimatur cenzury dziełach żyjących polskich filozofów, historyków, badaczy literatury, etnologów. Z pierwszych powojennych roczników „Sprawozdań” Polskiej Akademii Umiejętności, Warszawskiego i Poznańskiego Towarzystw Naukowych można by cytować i cytować tytuły przedstawionych tam prac, które nigdy nie doczekały się druku w pełnym tekście. Przecież od jakichś z górą sześciu lat nie ukazało się w Polsce ani jedno oryginalne niemarksistowskie studium filozoficzne.

Jasną jest też rzeczą, że tylko wyjątkowo które z wyliczonych tu dzieł może mieć jakieś ostrzejsze akcenty polityczne. Pierworodny grzech przyniatającej większości spośród nich to po prostu to, iż nie mieszczą się one w pewnych ciasnych schematach, których użyteczność i celowość za pierwszymi podmuchami odwilży zaczęły stawiać pod znakiem zapytania nawet i gorliwi marksiści, jak się o tym dowiedzieć można choćby z gorzkiego a bardzo wymownego rachunku sumienia Witolda Kuli, ogłoszonego świeżo w „Kwartalniku Historycznym”.

Wydanie drukiem wszystkich tych dzieł to nie tylko akt pietyzmu wobec ludzi, wśród których są luminarze kultury polskiej. Jest to przede wszystkim elementarny obowiązek kulturalny. Idzie tu przecież o wciągnięcie w obieg kulturalny, udostępnienie ogółowi czytelniczemu bardzo poważnego dorobku naukowego i literackiego. I to jest najważniejszy aspekt sprawy.

Ale sprawa ta ma także i swój aspekt polityczny, wymowny zwłaszcza dla nas, pisarzy emigracyjnych. Niemal że każdy z nas spotkał się w ostatnich miesiącach z ofertami: wydawajcie swoje rzeczy w kraju. W dyskusjach, jakie się rozwinęły wokół tych ofert w prasie emigracyjnej, nacisk położono przede wszystkim na drażliwą sprawę honorariów autorskich. Ponieważ w rezultacie upaństwowienia ruchu wydawniczego wydawcą jest ten sam reżym, którego pisarz-emigrant polityczny ex definitione nie uznaje, sprawa jest niewątpliwie nie bagatelna. Ale nie to jest tu najważniejsze.

Najważniejsze jest tu co innego: znalezienie odpowiedzi na pytanie, ile we wszystkich tych apelach jest tu rzetelnej polityki liberalizacji, szczerzej chęci obalenia barier między pisarzami polskimi bez względu na ich przekonania polityczne i miejsce przebywania, a ile chytrej gry na jakże naturalnej chęci pisarza dotarcia do mas czytelników polskich, w celu siania zamętu i moralnego rozładowania literatury emigracyjnej. Bez fałszywej

skromności można powiedzieć, że wkład kulturalny wszystkich tych rękopisów, zamrożonych w kraju, jest niemniej cenny od tego, który możemy przynieść my, emigranci, nie mówiąc już o tym, że ostatecznie nasz dorobek pisarski jest utrwalony w druku i dostępny, prawda, w dużo skromniejszych nakładach. Toteż wydanie tych czekających w kraju na druk rękopisów miałoby swoją wymowę polityczną, byłoby ważnym probierzem szczerości i sprawdzianem zasięgu polityki liberalizacji. Dysponując bogato rozbudowanym aparatem wydawniczo-drukarskim, można tę „stalinowską” zbrodnię wobec kultury polskiej odrobić względnie szybko.

Wiktor WEINTRAUB

Zmiany w polszczyźnie krajowej (dok.)

III — WPLYW JĘZYKA ROSYJSKIEGO

„czyż w opisie atmosfery fałszywego, bezkrytycznego kultu rosyjskiej kultury nie dostarczyli mu argumentów mali lizusi. Oto wiceprezes instytucji powołanej do popularyzowania wiedzy w czasie konferencji, na której ktoś zwraca mu uwagę na zachwaszczenie języka polskiego u naszych prelegentów, nazywa to wystąpienie „nacjonalizmem”” (P. 4-5).

Wpływ języka rosyjskiego w pewnym stopniu musiał się rozpocząć — nie na całym zresztą terytorium Polski — już w dobie rozbiorów. Oczywiście obecnie musimy się liczyć z nową falą tego wpływu — wszak Polska jest państwem, którego urzędowa ideologia wiedzie się z Moskwy i którego ustrój przyszedł i ostał się dzięki Moskwie.

W „Po prostu” znajduję zdanie: „spytał szeptem *partorga* Zbyszka” (II.1). *Partorg*, ‘organizator partyjny’, jest skrótem

żywcem wziętym z języka rosyjskiej partii komunistycznej — gdyby na wzór skrótowców rosyjskich powstał w polszczyźnie, brzmiałby „*orgpart*” (po rosyjsku porządek członów jest odwrotny). Rosyjską gwarą partyjną (?) trąci nieprzyjemne wyrażenie *po linii*: „mogłam współpracować z mężem *po linii* naukowej” (P. 7.3), „*Po linii* związkowej nie dajecie, to jak dajecie, do cholery jasnej?” (T. 479 — znaczy: ‘na zasadzie przynależności do związków zawodowych’). Z rosyjskiego żargonu marksistowskiego wzięty jest pozornie polski przymiotnik *bytowy* (por. np. *bytowyje ustówija*, ‘warunki bytu’) — to, że występuje już u Jeża (por. str. 30, Witold Doroszewski, *Język Teodora Tomaszka Jeża*, Warszawa, 1949), bynajmniej nie podważa twierdzenia o marksistowskim pochodzeniu dzisiejszego *bytowego* — między Jeżem a epoką dzisiejszą nie ma tu ciągłości:

„zupełny brak zainteresowania u męża potrzebami *bytowymi*” (P. 7.3), „o ... (St. W.) poprawę warunków *bytowych* studentów” (P. 13.1), „Sprawy *bytowe* studentów najżywiej chyba spośród wszystkich interesowały tow. Bieruta” (P. 13.2), itd., itd.

Na tle rozplenienia się tego rusycyzmu jakże miła jest tradycyjna *troska o byt* (P. 4.3)!

‘Usunąć, zwolnić z urzędu’ to po rosyjsku *snjat’* (= *zdyć*), *snimăt’* (= *zdejmować*) *s dólżnosti*. Na wzór biurokracji sowieckiej używają w tym znaczeniu *zdyć* i Polacy w kraju, por.:

„funkcjonariusz odpowiedzialny za nie (za kicze — St. W.) został w końcu *zdyty* ze stanowiska (P. 1.1), „Uchwała: wybrać wszystkich siedmiu, każdego kto nie wywiąże się ze swych zadań — natychmiast *zdejmować*” (P. 9.5).

Bodaj rusycyzmem jest *zdyć* i w takim użyciu:

„otrzymają dziesięć lat więzienia, amnestia *zdejmie* im ze cztery lata, resztę kary za dobre sprawowanie władze ograniczą im do połowy” (P. 9.7).

Przeciw temu rusycyzmowi słusznie występuje W. Doroszewski (*Poradnik Językowy*, 1953, zesz. 4, str. 36-7), ale — rzecz boleśnie charakteryzująca atmosferę, w której pracuje czołowy polski językoznawca w stolicy Polski — powstrzymuje się od ujawnienia, że chodzi tu o rusycyzm.

Dawno przebrzmiał już wydany w latach 1819-1820 poemat Staszica pt. „Ród ludzki”, więc dzisiejszy *ród ludzki*, mimo polskich pozorów i staszycowskiej tradycji, jest rusycyzmem: „Ale nie tylko pochodzenie *rodu ludzkiego* interesuje uczonych” (P. 6.1) — normalnym polskim wyrażeniem jest *rodzaj ludzki*.

Po tych przykładach wziętych wyłącznie z „Po prostu” dam jeszcze szereg rusycyzmów ze „Złego” Tyrmanda:

barachło, ‘grat, rupieć’ (wyraz rosyjski ma znaczenie zbiorowe): „pojąć nie może, jak taki wspaniały mężczyzna dostrzegą w ogóle takie blade *barachło* jak Marta, skoro tyle jest modelowych kobiet wokoło i w pobliżu” (T. 434);

bardak, ‘burdel, bałagan’: „Koniki (= nielegalni sprzedawcy biletów) będą mogli lepiej pracować w takim *bardaku*, rozumiesz?” (T. 586);

bidon, ‘bańka, blaszanka’: „niezliczone kanistry i bańki na benzynę wszelakiego kształtu i pochodzenia, od trójkątnych blaszanek *po* wojskowe, zamczyście *bidony*” (T. 346) (9); może jednak bezpośrednio z francuskiego?

szczot, ‘rachunek’: „Rada Zakładowa na mnie naskoczyła, że rozłamuję harmonogramy dla pojedynczych zamówień, że robię *na* prywatny *szczot*” (T. 163);

szpala, ‘podkład na torze kolejowym’: „piramidy żwiru lub stopy *szpal* i progów torowych” (T. 610);

śniegurka, ‘gatunek łyżwy’ (po rosyjsku *Śniegurka* to Królewna Śnieżka): „Na turfach, *śniegórkach*, halifaxach, panczelnach” (T. 24);

zajawa, ‘notatka prasowa’ (z rosyjskiego *zajávka* bodaj rodzimie zgrubione): „I ten oto Jakub Wirus dowiaduje się o tym z maleńkiej *zajawy* na piątej kolumnie ŻYCIA” (T. 32), „Dorzuci jeszcze tę *zajawę* o twoim kiermaszu i daj do składania” (T. 300);

żulia, ‘złodziejska „granda”’: „Natomiast nie wolno nam nawet w najmniejszym stopniu okazać cienia pobłażliwości dla drugiej strony, dla świata chuliganerii, dla warszawskiej *żulii* i szumowin” (T. 300), „Tam wszędzie, gdzie kotłuje się najgorsza, warszawska *żulia*, zatruwająca życie w tym mieście” (T. 368, por. także 575).

Rzadko i wyjątkowo wpływ rosyjski można i należy uznać za zjawisko dodatnie. Polszczyzna od dawna ma rzeczowniki złożone z rodzimym *samo-* (np. *samobójca*, *samochwał*). Sądząc z danych „Słownika Warszawskiego” (i braku danych u Lindego), analogiczne złożenia z greckim *auto-* (np. *autoanaliza*), ograniczonym *nota bene* do słów pochodzenia greckiego (i w ogóle obcego), pochodzą dopiero z XIX wieku. Owóż pożądane byłoby w polszczyźnie możliwie jak najszersze rozpowszechnienie się złożenia z rodzimym *samo-* kosztem, oczywiście, złożenia z greckim *auto-*. Sprzyja temu stan rzeczy w rosyjskim, gdzie, jakkolwiek *avto-* istnieje, znacznie przeważa rodzime *samo-*. Miło należy witać dwa twory, które występują u Tyrmanda, oba nieznanne „Słownikowi Warszawskiemu” (tom z roku 1915):

samoironia: „I znów kąśliwy jęczyczek *samoironii* liznął go po nerwach” (T. 460);

samokontrola: „Resztką *samokontroli* Merynos opanował głos i powiedział” (T. 604).

(9) Tu, w kolejności alfabetycznej, należałoby wymienić wyrażenie *być kwit* (zamiast *być kwita*), które, mimo iż Linde zna je już z Fabiana Birkowskiego, jest dziś chyba rusycyzmem („Zresztą ... *jestemy* teraz *kwit*”, T. 302 i in.).

Twory te powstały w szerokiej fali napływu ze wschodu komunistycznej praktyki samokrytyki i tegoż słowa, które istnieje w rosyjskim. W przejrzanych numerach „Po prostu” notują pięć wypadków użycia słowa, por. np.: „Programowa samokrytyka prof. Petruszewicza i Michajłowa” (P. 4.1). Mając do czynienia z tą falą, można nie brać pod uwagę faktu, że samokrytykę zna już Prus w „Lalce” (por. str. 30, t. II wydania PIW z r. 1953: „Tu Wokulski osiągnął najwyższego punktu samokrytyki”) — nie stamtąd podjęli słowo nasi komuniści. Ale oczywiście twory z *auto-* nie giną bez śladu i nigdy prawdopodobnie nie zginą, por.: „Gdy znalazłem się znów przed kierownikiem świetlicy, powiedziałem z *autoironią*” (P. 4.8).

IV — ZMIANY W UŻYCIU PRZYIMKÓW

a) Miejscownikowe na przestrzenne

Rozszerzanie się przestrzennego użycia przyimka *na* z miejscownikiem (i z biernikiem w wypadku wskazania kierunku) szczegółowo rozważyła H. Orzechowska-Zielicz w doskonale opracowanym artykule pt. „Szerzenie się typu *na zakładzie*” (*Język Polski*, 1951, str. 131-140, 173-6). Przyjmijmy z dobrą wiarą dwukrotnie powtórzone twierdzenie autorki (str. 135, 138), że samo *na zakładzie* do czasu napisania artykułu nie występowało jeszcze zupełnie w druku, aby zanotować zmianę w ostatnim pięcioleciu: (mówi delegat robotniczy) „U nas, *na zakładzie*, robi blisko trzy tysiące chłopa i każdy chce iść na mecz” (T. 478). Ale *w zakładzie*; *w zakładach* jeszcze trwa: „Przyboś pisze o powszechnej organizacji bodźców plastycznych: w domu, *w zakładzie* pracy, na ulicy, w sprzętach używanych na codzień” (P. 4.3), „*w zakładach* zamkniętych” (P. 12.7 — chodzi o zakłady lecznicze). Trwanie tradycyjnego typu można stwierdzić również w wypadku nazw zakładów pracy na *-owni-a*, których występowanie z *na* stwierdza autorka na str. 134: „Robotnicy zatrudnieni w laboratoriach i montażowniach dostają mleko” (P. 6.7). Również i w nazwach innego typu: „Zaczęłam od najcięższej pracy fizycznej w *Domu* Matki i Dziecka, *w szpitalach*” (P. 7.3), „*w przedsiębiorstwach* i *urzędach* wiele stanowisk jest obsadzonych” (P. 9.6). W swój artykuł nie wciągnęła autorka rzeczownika *komisariat*. Oto pierwszy znany mi przykład użycia tego rzeczownika z *na*: „Pamiętasz, opowiadałem wam, jakie baty dostałem kiedyś na Wiejskiej i tę mowę tego lekarza z Pogotowia, *na komisariacie*” (T. 135). Należy jednak stwierdzić, że w powieści Tyrmanda mamy poza tym tylko *w* z miejscownikiem, kilkakrotnie, w dialogu (por. 187) lub od autora (por. 201).

Z. Klemensiewicz pisał o szerzeniu się *na* tak: „Nasuwa się pytanie, czy szerzące się wyrażenia z przyimkiem *na* zamiast

tradycyjnych z przyimkiem *w*, nie pozostają w związku z przemianami naszego życia, czy *mianowicie nie odbija się w nich inne, bardziej konkretne spojrzenie na miejsce pracy tego właśnie człowieka pracy, który je posiada w swoim praktycznym doświadczeniu w jego całej złożoności, rozległości, przestrzenności*” (podkreślenie moje — *Język Polski*, 1951, str. 92). Sądzę, że ten pogląd trafia w sedno rzeczy, nawet mimo że nie stwierdza oczywiście wpływu języka środowiska robotniczego. Inaczej sprawę ocenia H. Orzechowska-Zielicz, według której „użycie zwrotu z *na* przy nazwach miejsc pracy wynika niekoniecznie z poczucia ich strukturalnej złożoności, ani szczegółowej obszerności” (str. 135). Nie mają bowiem „wielkich rozmiarów” ani portiernia, ani brama, ani szatnia, ani wartownia, gdzie może dziś występować *na*. Owóż pojęcie obszerności jest pojęciem względnym, co pozwala szerzyć się *na* dalej w sposób dość irracjonalny. Ponadto w niektórych wypadkach *na* może być analogiczne (*na wartowni*, bo *na warcie*, podobnie jak *na stolówce*, bo *na* (lub *w*) *sali jadalnej*).

H. Orzechowska-Zielicz kilkakrotnie wspomina, że *na* jeszcze bynajmniej nie wyparło tradycyjnych *w* i *do*. Szkoda, że autorka ogranicza się tu tylko do ogólników (10) — jakże ciekawe przecież byłyby albo listy przykładów ilustrujące *oba* sposoby (a nie tylko użycie *na*), albo ściśle obliczone proporcje *na* : *w*, *do*.

b) Biernikowe w czasowe

Interesujące jest rozszerzenie się użycia czasowego *w* z biernikiem:

„Ja *w okupację* jeszcze dla AL-u amunicję przez miasto nośnię” (T. 671), „Niemcy mu język wyrwali *w wojnę*” (T. 221).

Język polski znał dotąd tę składnię w zastosowaniu do innych rzeczowników, por. np.: „*w taką nie pogodę* trudno wyjść na dwór”, „*w(e) źniwa*”. *W okupację* i *w wojnę* występują u Tyrmanda w dialogu, w języku przedstawicieli tzw. „warstw niższych”. Są to najprawdopodobniej rozszerzenia z czasu ostatniej okupacji, ostatniej wojny, ale przed przyjęciem tego poglądu należałoby jeszcze zbadać możliwości wpływu rosyjskiego, gdzie podobne użycia są znane.

ZAKONCZENIE

Poliszczyna, jak i każdy inny język, zmienia się i zmieniała zawsze. Jest i zawsze była ciągłością zmienną. Przez cały czas swojego historycznie znanego istnienia, to jest już 820 lat

(10) Np. na str. 133 autorka pisze: „*W* (prasie — St. W.) powojennej i w innych formach publicystyki często jest *na fabryce*, ale zawsze obok tradycyjnego zwrotu”, to jest obok *w fabryce*.

(pierwszym historycznym momentem jest data spisania Bulli Gnieźnieńskiej, to jest rok 1136).

Gdy sięgam w mgły swojego lubelskiego dzieciństwa, przypominam sobie, z lat dziesiątych, *bioskop* i *iluzjon*. O ile pamiętam, *kinematograf* panował w latach dwudziestych, a skrótowiec *kino* w latach dopiero trzydziestych. Po roku 1926 ustaliła się w zbiorowym znaczeniu *sanacja*, która uprzednio była tylko rzadkim abstraktem, no i nieco ironiczny *sanator*. Wojna przyniosła *A.K.* i *akowca*. Itd., itd. Oto kilka tylko zmian słownikowych, które dał okres poprzedzający „powojnie”.

Z samych już niejako lat wynikało, że po wojnie *muszą się dokonywać zmiany* w polszczyźnie. Biała Rosjanka-emigrantka otrzymuje list od przyjaciółki z Moskwy. I mówi (mając na myśli rok 1917): „Wtedy miała lat dwadzieścia. Sliczna, miła, przystojna. A teraz jej c z t e r d z i e ś c i lat. *Boże, co oni z tymi ludźmi zrobili!*” — sala międzywojennego kabaretu nieodmiennie wybuchała rozgłośnym rykiem śmiechu.

Zreasumuję pokrótce przyczyny opisanych zmian językowych. Zmiana może być samorzutna, wiążąca się z zasadniczą wewnętrzną niestacynnością-zmiennością języka, por. powstanie rzeczownika *mżawa*. Takie zmiany dokonywały się w dziejach polszczyzny ciągle. Są niejako funkcją samego czasu, samej potrzeby ponowy.

Zmiana może być pochodzenia politycznego. Powstanie komunistycznego Z(wiązku) M(łodzieży) P(olskiej) przyniosło nazwanie *zetempowiec* (i *zetempówka*). Monopolizacja inicjatywy w ręku partii komunistycznej i rządu przyniosła przymiotnik *odgórnny* (i, bład księżyc słońca, przymiotnik *oddolny* jako przeciwstawienie). Polityczne jest nazwanie szkoły: *podstawowa*. Zakłamanie propagandowe doprowadziło do powstania *dretniej mowy*, którą tzw. lud (zwrot pochodzi ze slangu ludowego) ustalił swój stosunek do gadaniny propagandowej.

Zmiana może być pochodzenia gospodarczego. Nowe znaczenie *budowy* i np. słowa *biurowiec*, *wieżowiec* łączą się z odbudową zniszczonej w roku 1944 Warszawy. Rozszerzenie zakresu użycia przymiotnika *kawowy* spowodowane zostało pewną drobną zmianą gospodarczą — stworzeniem barów *kawowych* w miastach polskich. Terminy *ręczniak* i *ciuchara* wiążą się z rozrostem „pokątnego” handlu prywatnego.

Zmiana może być pochodzenia społecznego. Gangsteryzacja części młodzieży jest tłem, na którym doszło do powstania *rozróby-rozróbki*, *rozrabiacza-rozrabiaka*, wreszcie i *wdechowca*. Przemiany społeczne innej już natury, to jest przede wszystkim przyspieszona i w swoisty sposób wykonywana demokratyzacja inteligencji, wprowadziły w obieg literacki np. takie użycia przymiotników jak *na zakładzie* oraz wzmocniły żywotność tworów na *-ak*. Norma językowa, oparta na przedwojennej inteligencji, uległa pewnemu zachwianiu na rzecz normy, opartej na narasta-

jącej inteligencji powojennej o nieco innym już składzie społecznym. I między wojnami było już sporo inteligencji pochodzenia robotniczo-włościańskiego, co się dziś w Polsce chętnie pomija milczeniem. Dziś jednak jest, jak się zdaje, dość zasadniczo inaczej.

Gdyby po wojnie doszło było w Polsce do systemu rządów demokratyczno-parlamentarnych, każda z tych zmian wszystkich czterech typów, inaczej oczywiście, również by się zarysowała (nb. i te rządy odbudowywałyby zniszczoną już w toku wojny Warszawę).

Trudno jest jakoś obliczyć proporcję zmian, trzeba więc tylko poprzestać na ogólniku: zmiany w stosunku do polszczyzny międzywojennej są minimalne (11).

W związku ze zmianami społecznymi, z których trybem i marksistowską podstawą ideową nie solidaryzuje się na emigracji nikt, mówi się często o *schamieniu* polszczyzny powojennej. Nie jestem zwolennikiem tego określenia. Termin *cham* ma za sobą przeszło czterechsetletnią tradycję użycia w tarciach społecznych. Dość już długie — i dość szerokie — własne doświadczenie życiowe stwierdza, że *wyabstrahowany* z tarć społecznych i wartościowań termin *chamstwo* mógłby być z równym usprawiedliwieniem stosowany wobec przedstawicieli wszystkich możliwych klas wszystkich możliwych narodów na całym świecie, a tymczasem częsty *usus* polski po dziś dzień na ogół nie wprowadził tej poprawki. Dlatego wołę *wulgaryzację*, której dawna baza łańciska jest już bezpiecznie przedawniona, a która dostatecznie jasno oddaje intencję *chamstwa*, *schamienia* w jego społeczeństwie już wyczyszczonym użyciu. Owóż sądziłbym, że z wulgaryzacją powojennej polszczyzny krajowej w ramach poruszanych w niniejszym szkicu zjawisk i faktów można i należy się liczyć. Wulgaryzacją jest zbyteczny nalot slangowy, który zresztą i w potocznym międzywojennym języku inteligentkim dokonywał się np. jako rezultat lektury warszawskiego Wiecha. Jakieś tanie lekceważenie tkwi w niektórych twórcach na *-ak* (między wojnami sam wołałem dostojniejszego *warszawianina* niż *warszawiaka*, ale przecież w swoich studenckich warszawskich latach należałem do Koła *Lubliniaków*), jakiś, niestety, nieprzyjemny *esprit varsovien*, który w podaniu wszystkich klas warszawskich od dawna już stanowił o niezbyt dobrej opinii Warszawki wszędzie chyba w całej Polsce (12). Nie jest właściwy *wstępniak*-artykuł *wstęp-*

(11) Czy powstały już nowe typy słowotwórcze? Nie. Ale twór *wdechowiec* powstał od wyrażenia *w dechę* — otóż w ramach typu *-owi-ec/ow-c* takiego „podtypu” dotąd nie było i jeżeli jeszcze wytworzy się np. „*wkichowiec*” (por. wyrażenie *w kichę*), będziemy mogli mówić o nowym „podtypie”.

(12) Określenie *esprit varsovien* jest niesprawiedliwie nieściśle, gdyż szersze rozpowszechnienie tworów na *-ak* jest faktem północno-polskim; nie tylko warszawskim.

ny (13), już od biedy właściwszy był *wstępniak*, uczeń dawnej klasy wstępnej, bo *młokos*. Ale i tu nie trzeba przesadzać, wszak gdzieś w średniowieczu i cała nacja nasza z dostojnych *Polan* stała się mniej dostojnymi *Polakami*. Precepta *cum grano salis* jest złotą preceptą. Twory na *-ak* nie są jedyną domeną wulgaryzacji w słowotwórstwie — to samo *może* dotyczyć, acz inaczej, i tworów typu *ciuchara* czy *macha*. W ich wypadku mogliśmy liczyć się z wulgaryzacją naprawdę chyba tylko wtedy, gdyby powstawać te twory zaczęły szeroką falą, niszcząc twory na *-k* (a tak przecież nie jest).

W szkicu poruszyłem tylko sprawę wpływu języka rosyjskiego. Chciałbym podkreślić, że negatywne stanowisko wobec niewolniczości, z jaką niekiedy poddają się Polacy temu wpływowi, jest takie samo w wypadku zbytecznych wpływów wszelkich innych języków obcych. Tak samo więc negatywnie ustosunkować się wypada do *peluzy*-murawy (fr. *pelouse*, por. „Na wielkiej *peluzie*, przed szarym gmachem, wznoszącym się na skraju Centralnego Parku, kołysały się cienie jakichś postaci na tle jasnej nocy”, T. 675), do *flanować*-wałesać się (fr. *flâner*, por. „Teraz — oświadczył Halski — przestaniemy *flanować*, gdyż odnalazłem cel”, T. 86) (14), do *dresu*-stroju (ang. *dress*, por. „młody człowiek, otulony płaszczem, pod którym widniał zielono-czarny *dres* hokejowy z emblematem warszawskiego AZS”, T. 24), do *slipu*-majteczek (ang. *slip*, por. „w tanich, płóciennych *slipach*”, T. 405), do *blezera*-rodzaju marynarki (ang. *blazer*, por. „prześliczna dziewczyna o ciemnych włosach, w taniej, żorzetowej sukni w kwiaty i w męskim *blezerze*”, T. 336), jak do *klubzesla*-fotela klubowego (niem. *Klubsessel*, por. „Takie *klubzesle* pamiętam z Ziemi Odzyskanych”, T. 100), i *kamelhaar*-palta z wielbłądziego włosia (niem. *Kamelhaar*, por. „*Bonjour* — rzekł pan w *kamelhaarze* łaskawie i z rezerwą”, T. 154).

Popyt na słowa pochodzenia obcego ma w Polsce od dawna jeszcze jeden aspekt, nie tylko niesamoistność-niewolniczość. Aspektem tym jest zbytnia, barokowego początku, skłonność do zdobnictwa stylowego przy pomocy słów obcego pochodzenia. Skłonność ta jest zrozumiała na szerszym tle hyperestetyzującej kultury polskiej wywodzącej się od dawnej szlachty i częściowo mieszczan, ale, wydawałoby się, należałoby ją trochę w miarę możliwości przyhamować. Z zadowoleniem witamy rodzime krajowe *współistnienie*, z niechęcią obcą zdobniczą emigracyjną *koegzystencję*.

Ustalenie norm dla języka krajowego jest zadaniem językoznawców krajowych. My, z obczyzny, możemy tylko dawać

(13) W tej ocenie nie ma żadnej stronniczości politycznej — wszak *wstępniak* (p. przykłady) potania w pierwszym rzędzie artykuły wstępne np. „Trybuny Ludu”.

(14) Tak samo mam za złe francuską *truję* — *truie* paryskiemu pisarzowi Janowi Brzękowskiemu, por. str. 117 lipcowej „Kultury” z br. Czemu nie *macióra*?

wyraz swoim poglądom, które o tyle mogą być lepiej sformułowane, że korzystamy z całkowitej swobody słowa. Jeżeli chodzi o język literatury emigracyjnej i język inteligencji na emigracji, sprawa jest bardzo złożona i od kraju do kraju diaspory przedstawia się nieco inaczej. Pisząc swoje, nieliczne zresztą, uwagi o języku pisarzy emigracyjnych, stałem, nie wypowiadając tego, na stanowisku konserwatywności językowej, utrzymania międzywojennej normy językowej możliwie bez większych zmian i raczej niechętnie witałem przerostowe skłonności nowatorskie-„*nowotworskie*” np. Wańkowicza. Ale oczywiście nie należałoby sądzić, że byłbym skłonny namawiać pisarzy do muzealizacji języka, który wywieźli z Polski. W każdym razie jednak, po siedemnastu latach, które, jakże wartko, upłynęły od początku wojny, czy po jedenastu latach od tejsze wojny końca stajemy się, my na obczyźnie, hadko słuchać, językowym *ancien régime'm*. Oczywiście *ancien régime'm* znowu *cum grano salis*, bo przecież zmiany w polszczyźnie krajowej są minimalne. Nb. w rzeczywistości o tyle jeszcze „minimalniejsze”, że oba wybrane źródła niniejszego szkicu przedstawiają język nieco dalej posunięty w zmianach niż język wielu innych źródeł.

Gdyby w Polsce zaszły zmiany zasadnicze, punktem wyjściowym zmian językowych *dalszych* byłby jednak język *taki jak u Tyrmanda* czy *taki jak w „Po prostu”*, a nie język *ancien régime'owy* nasz. Są pewne rzeczywistości, nawet nie zawsze przyjemne, z którymi trzeba się liczyć.

West Ferry, Szkocja, 15. VIII. 1956.

Stanisław WESTFAL



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Najnowsza historia Polski

O Janie Hemplu, mistrzu Bolesława Bieruta

Zaraz po rehabilitacji Komunistycznej Partii Polski przez Moskwę, ukazało się w prasie warszawskiej szereg artykułów o różnych pomordowanych na rozkaz Stalina polskich komunistach, przebywających ongiś w Rosji i, prawdopodobnie, przeciwstawiających się tyranii dyktatora. Właśnie wtedy jeden z dzienników, już nie pamiętam z jakiej okazji, podał fotografię, na której obok Bolesława Bieruta widniał jakiś starszy pan o szlachetnym wyglądzie. Podpis nie wyjaśniał mi kim był starszy pan, ale wielu ludzi rozpoznało w nim zapomnianego dzisiaj filozofa Jana Hempla. Chociaż jestem od czasu niejakiej liberalizacji stosunków w Polsce dość pilnym czytelnikiem pism krajowych, nie zauważyłem w nich dotychczas żadnej poważniejszej wzmianki o Janie Hemplu. Przez parę miesięcy spodziewałem się, że napisze o nim Władysław Broniewski, żyjący z nim w zażyłości przed drugą wojną światową, ale się nie doczekałem. Może dlatego, że Bierut umarł i może niesporo pisać o jego przyjaciółach. Jan Hempel był nie tylko przyjacielem, ale, i to przede wszystkim, mistrzem późniejszego wielkorządcy Polski. Całą wiedzę i doświadczenie posiadał Bierut od nieznanego dzisiaj Hempla. Mikołajczyk gdzieś w swoich wspomnieniach przytacza, że Hempel umarł w łagrze „na rękach Bieruta”. Źródło nie jest pewne, nie mogę brać za nie odpowiedzialności, ale raczej tak było.

Mało ludzi wie, że Jan Hempel, teoretyk komunizmu polskiego, kandydat na polskiego Lenina, w sierpniu 1914 roku wstąpił do Legionów Piłsudskiego, brał udział w walkach I Brygady i wraz z nią wkroczył do Kielc. Już po niewielu jednak

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczone są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

tygodniach zdecydował się Legiony opuścić ze względu, jak mi to sam później mówił, na ich charakter „wrażnie powstańczy i anty-rewolucyjny”. W cywilu stał się natychmiast „uciążliwym cudzoziemcem”. Austriacka policja aresztowała go w Krakowie i zesłała najpierw do Nowej Paki w Czechach, a następnie do miasteczka Gars am Kamp w Dolnej Austrii, gdzie przebywał na wolności do końca roku 1916. Dla ówczesnych władz austriackich był on przede wszystkim autorem książki, zwalczającej „złego, chrześcijańskiego Boga”. Książka ta została w latach 1913-1914 skonfiskowana kolejno przez rządy wszystkich trzech zaborców.

W końcu roku 1914 z powodów, o których dużo można by napisać, znalazłem się również w Gars am Kamp i tam właśnie zetknąłem się po raz pierwszy z Janem Hemplem. Był to w moim ówczesnym pojęciu człowiek stary. Liczył 42 lata. Mieszkał w towarzystwie drugiego eks-legionisty, Tadeusza Głodowskiego, u pewnej Czeszki, której mąż, lekarz, znajdował się gdzieś na froncie w szpitalu polowym.

W okresie pobytu w Gars, Hempel nie należał do żadnej partii. Nie miał też nic wspólnego z Socjal-Demokracją Królestwa Polskiego i Litwy, a przynajmniej nic o tym nie wspominał. Cechował go wówczas nie obowiązujący pacyfizm, antyklerykalizm, nieco pogardliwa pobłażliwość dla PPS, oraz nieprzebrana szlachetność i dobroć. Był on wówczas namiętnym wyznawcą teorii, że nie walka o byt, a współdziałanie dominuje w przyrodzie. Mówił wiele o mrówkach i pszczołach. Z zajęciem obserwował dość zgodne współzycie grupy sześciu mężczyzn, do której należałem również ja i późniejszy major Mieczysław Fularski, mieszkających razem i prowadzących wspólne gospodarstwo. „Oto typowy przykład współdziałania” — powtarzał wielokrotnie. Byłem wówczas pod jego urokiem, tak jak w wiele lat później Bolesław Bierut. Zachwyciła mnie jego wiedza, szczerłość i zgodność postępowania z głoszoną teorią. Nawet odejście z Legionów, dokonane w tragicznych okolicznościach, było dla mnie potwierdzeniem, że teorie Hempla nie są przeznaczone na wynos, lecz stanowią treść jego życia.

Jan Hempel pochodził z rodziny o tradycjach zachowawczych. Wychowanie i oddziaływanie otoczenia powinno by ukształtowało jego światopogląd co najwyżej na modłę dziewiętnastowiecznego liberalizmu. W tym wypadku marksistowski dogmat „byt określa świadomość” — zawiódł. Panicz opuścił swoją klasę, swoje miejsce w układzie społecznym i, dobrowolnie, przerzucił się na drugą stronę barykady. Stało się to na początku XX wieku, a więc gdy Hempel był już dojrzałym mężczyzną. Techniki tego przejścia opowiedział mi sam. Otóż pewnego dnia, nikomu nic nie mówiąc, wsiadł do pociągu w Kielcach „jak stał” i wysiadł w parę tygodni później w Mandzurii. Przez kilka lat pracował przy budowie kolei Wschodnio-Chiń-

skiej, jako robotnik. Między rokiem (mniej więcej) 1909 i 1912 przebywał w Brazylii, w Paranie, gdzie pracował jako nauczyciel w szkołach polskich. Tam zawarł przyjaźń z księdzem Józefem Anuszem, bratem późniejszego wieloletniego komisarza rządu m. st. Warszawy. Ów ksiądz Anusz, zapewne pod wpływem Hempła, porzucił stan kapłański, ożenił się, dochował licznego potomstwa i jeszcze do niedawna żył na południu Brazylii. Z tych czasów pozostała Hempłowi rzadka w Polsce znajomość języka portugalskiego i szacunek dla pracy polskich chłopów w pionierskich warunkach tropikalnych. Jeszcze do dzisiaj można spotkać w Paranie jego znajomych i uczniów.

Po intermezzo w Gars am Kamp, wielka wojna rzuciła mną przez parę lat po różnych frontach legionowych, zagnała wreszcie do niemieckiego obozu w Szczypiornie, potem w Łomży i wreszcie w szeregi tak zwanego Wehrmachtu. Tam zabawiłem krótko. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i pewnego dnia sierpniowego 1918 roku wszedłem o zmroku w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu do bramy znajomego mi domu przy ulicy Zielnej w Warszawie, i wyszedłem po chwili, jako cywilny młodzieniec w maciejówce na głowie. Jeszcze do dzisiaj uśmiecham się na myśl, jaką minę musiał zrobić stróż tego domu, ujrzawszy w kącie tak zwanej „ubikacji” karabin i rynsztunek żołnierski żałośnie i beztrósko porzucony.

Z Warszawy udałem się do Sosnowca, gdzie pomnożyłem szeregi „zielonej kadry”, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem Gabriela Lawika. Przybył tam również Jan Hempel i zamieszkał w Grodźcu u mego przyjaciela Apoloniusza Zarychty, późniejszego wysokiego urzędnika MSZ. Ale i wówczas Hempel trzymał się z daleka od partyj. To ja raczej byłem od niego czerwieńszy. Miał po kryjomu parę odczytów i pogadanek o wyższości moralności pra-aryjskiej od chrześcijańskiej. Rozmowy z nim o potrzebie dobroci, wyrozumiałości, skupienia wewnętrznego i wspólnej pracy dla dobra ogólnoludzkiego — rozplamięły moją wyobraźnię i przykuwały mnie do jego rydwanu. „Słowo” głoszone przezeń w czasie gdy w Rosji panował krwawy gwałt, gdy fronty państw centralnych waliły się, gdy potężna fala rewolucyjna wzbierała w całej Europie — było niezwykłe i tą niezwykłością urzekające. Właśnie kończyłem dwadzieścia jeden lat wobec czego wyplenienie wszelkiego zła w świecie wydawało mi się natychmiastową koniecznością.

Po rozbrojeniu Niemców, już na początku grudnia 1918 roku, znalazłem się w Jabłonie, w formacji wojskowej, z której później powstał 1 pułk piechoty Legionów.

Z Janem Hempłem spotkałem się znowu w czasie nieudanego puczu gen. Januszajtisa i księcia Sapiehy na początku stycznia 1919 roku. Mój oddział został wówczas sprowadzony do Warszawy i użyty do rozbrojenia wmieszanej do zamachu Straży Obywatelskiej. Nie była to tak straszna kontr-rewolucja,

aby wieczorem nie móc pójść odwiedzić znajomych. Udałem się więc na ulicę Mariensztadt do Michałowstwa Pankiewiczów, których znałem z dawna, a jego podówczas uwielbiałem, jako człowieka, który był w Ameryce Południowej i widział las dziewiczy... Nie przypuszczałem wówczas, trzymając na kolanach małą jego córeczkę, Wisłę, że bawię się z przyszłą panią premierową Osóbka-Morawską... W czasie tej wizyty przybył do Pankiewicza również Jan Hempel. Znali się jeszcze z Brazylii i na temat tego kraju zawsze mieli sobie dużo do powiedzenia.

Pankiewicz, który był od dawna SD-kiem, rzekł wówczas do mnie z ironią :

— Wiecie, Jan wstąpił do PPS. Będziecie kolegami.

Hempel uśmiechnął się dość kwaśno.

— Trudno — rzekł — chodzić samopas. Trudno i aspołecznie.

Mówił wówczas długo i przekonywująco, że fala rewolucyjna na Polskę nie sięgnie, gdyż naród musi wyżyć się w wolności politycznej. „Tak twierdzi Lenin” — dodał. Ponieważ ja osobiście też nie czułem w sobie tej fali, więc obaj przyznaliśmy Leninowi rację.

Hempel nie zabawił jednak w PPS długo. Już w roku 1921 usłyszałem o nim po raz pierwszy, jako o komuniście.

W rok po wojnie polsko-rosyjskiej rozpocząłem swoje dalekie i długie podróże. Zwiedziłem Brazylię, Hiszpanię, Afrykę Północną, Argentynę, Paragwaj, Boliwii i szereg innych krajów, podówczas jeszcze o wiele bardziej egzotycznych aniżeli obecnie. Straciłem Jana Hempła z oczu na wiele lat. Przypadkowo dopiero spotkałem go w końcu roku 1926. Odwiedziłem go w jego mieszkaniu przy ulicy Wolskiej. Pełno tam było książek, rękopisów i pewnej kobiety, którą Hempel przedstawił mi jako swą żonę. Pracował nad tłumaczeniem dzieła socjologicznego z języka niemieckiego i nad jakąś własną książką. Opowiedział mi wówczas historię delegacji KPP do Walerego Sławka w czasie zamachu majowego. Delegacja prosiła o broń i obiecywała czynne poparcie Piłsudskiego w walce z kołtuństwem i zacofaństwem. Sławek miał odpowiedzieć: „Broń weźmiecie sami”, co delegacja zrozumiała, że partia ma zająć odpowiednie magazyny. Cały jednak udział komunistów rozszedł się po kościach na skutek instrukcji Kominternu. „A wy, Janie — zapytałem — mieliście wówczas chęć pomóc piłsudczykom?” Hempel popatrzył mi w oczy po dawnemu i odrzekł: „Może i nie miałem racji, ale chęć miałem”. Przy innej okazji powiedział mi, że, być może, przyszłość „sanacji” przyjąłaby inny charakter, gdyby komuniści współdziałali w rozwoju wypadków majowych. W wiele lat później przypomniały mi się te słowa, gdy komuniści poparli argentyńskiego dyktatora Perona w jego walce z „plutokracją”.

W owym czasie Jan Hempel był już komunistą w całym tego słowa znaczeniu. O partii mówił „my”, do mnie, chociaż nigdy polityką się nie zajmowałem, zwracał się per „wy”. To „my” i „wy” wciąż się wtedy w naszych rozmowach przeplatało, uświadamiając obu, że drogi dawnego mistrza i dawnego ucznia rozeszły się już gdzieś w okolicach znanej stacji „Niepodległość”.

Utrwalenie poglądów komunistycznych nie sprawiło, aby Hempel pozbył się dawnych, tak mu jednających przyjaciół cech: dobroci i łagodności. Dzisiaj, gdy wiemy, że dobroć i łagodność w ustroju totalitarnym była do niedawna (a kto wie, czy i nadal nie jest) godna pogardy, zrozumiemy łatwo dlaczego Jan Hempel zamiast zaszczytów i godności doczekał się w Rosji Stalina zsyłki i śmierci w łagrze. Gdy pewnego razu przeczytałem parę przemówień Bieruta, w których gorąco podkreślał „łagodność” polskiej rewolucji społecznej, wydało mi się, że jak gdyby z zawstyżeniem tłumaczył się przed swoim mistrzem — dobrym Janem Hempem. Tę szczyptę łagodności, która jednak cechowała początek przewrotu społecznego w Polsce, być może zawdzięczamy nie komu innemu, jak właśnie naukom Jana Hempła idealisty i marzyciela. W roku 1926 Hempel znał już od dawna Bieruta, pracowali obaj w spółdzielczości.

Spotykałem swego dawnego mistrza coraz rzadziej. Coraz mniej, oprócz wspomnień, mieliśmy sobie do powiedzenia. Nadal jednak lubiłem go i szanowałem. Parę razy zwracał się do mnie Władysław Broniewski z prośbą: „Pomóżcie Janowi, policja depcze mu po piętach”. Rozmawiałem o nim z wiceministrem Kaweckim, a później z ministrem Bronisławem Pierackim, aby mieli względ na starego filozofa. Patrzano na mnie koso i podejrzliwie, ale interwencje pomagały; Hempel nie był nazbyt przez policję nagabywany, a gdy zdecydował się wyjechać na stałe do Moskwy, nie potrzebował tego robić po kryjomu. Mimowoli nasuwa się porównanie stosunków za rządów „wroga ludu”, „tyrana” Piłsudskiego w Polsce ze stosunkami podczas rządów „słoneczka” w Związku Radzieckim. Wątpię, aby w ówczesnej Moskwie było do pomyślenia wstawianie się u władz za jakimś filozofem chrześcijańskim, tak jak to było możliwe za „sanacji” w stosunku do filozofa doktryny marksistowskiej. Nie piszę o tym polemicznie, a tylko „tak sobie”, gdyż sama prasa komunistyczna jest obecnie pełna potępień minionego okresu.

I znowu popłynęły lata. Dla mnie znaczyły one podróż na Ziemię Ognistą, do Chile, Amazonką do Peru, do Panamy, Guatemali, Meksyku, na wyspę Kubę, a potem z Marszałkiem Piłsudskim na Maderę, do Rumunii, Turcji, Grecji i Egiptu.

Latem 1936 roku udałem się w swoją trzecią podróż do Związku Radzieckiego. Zwiedziłem wówczas pobojowiska polskie, rozrzucone od Bugurustanu na Zawołżu aż do miejscowości Tajga w zachodnim Sybirze. Przy okazji odwiedziłem Żydow-

ską Republikę Autonomiczną Birobidżan, położoną w granicach Kraju Dalekowschodniego, nad brzegami rzeki Amur, na pograniczu ówczesnego japońsko-chińskiego cesarstwa Mandżukuo. Otóż w powrotnej drodze z tego wojażu zatrzymałem się w Moskwie. Dużo się tam już zmieniło w stosunku do Polski od czasu mego pierwszego pobytu w roku 1933. Nie było mowy o żadnych przyjęciach, uprzejmościach, ani innych tego rodzaju ceregieliach. Odradzano mi nawet zamieszkanie w hotelu. Nocowałem i stołowałem się w poselstwie. Naszym attaché wojskowym był podówczas mój kolega-legionista ppłk. Zaborowski. Najwięcej kręciłem się po mieście z nim razem. Z nim też poszedłem pewnego dnia na popołudniowe przedstawienie do teatru letniego. Dawała tam „Zbójców” Schillera polska trupa ze stałego teatru polskiego w Kijowie. Teatr był „nabity” jeszcze na długo przed podniesieniem kurtyny. Umyślnie przyszliśmy z Zaborowskim wcześniej, aby się przyjrzeć publiczności, spodziewając się zobaczyć tłum polski. Nic z tego. Był to zwykły, szary, cichy i dość obszarpany tłum moskiewski, niczym nie przypominający wesółych i rozgadanych bywalców teatrów w Polsce. Język polski słyszało się rzadko.

Już po zgaszaniu świateł usiadł w rzędzie przede mną jakiś starszy pan z kobietą. Jego profil kogoś mi przypominał, ale spotkanie znajomego w Moskwie wydało mi się tak niedorzeczne, że nawet mu się nie przyjrzałem. Można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy w czasie antraktu poznałem w swoim sąsiedzie Jana Hempła. Postarzał się, posiwiiał, ale żywe oczy i ruchy kazały zapominać o 64 latach, które miał już za sobą. W pierwszej chwili był tak zdumiony, że aż zaniemówił. Zaraz jednak zaniepokoił się. „Co wy tu robicie? Co wy tu robicie?” — powtórzył kilkakrotnie i dopiero uspokoił się, gdy mu powiedziałem o póturzędowym charakterze mojej podróży. Opowiedział mi, że pracuje w Instytucie im. Lenina, a mieszka na „dacz” pod Moskwą. Prosił aby go odwiedzić. Jego towarzyszką, ta sama z ulicy Wolskiej, wypytywała mnie o Warszawę z wypiekami na twarzy. Dopiero znacznie później, gdy już sam byłem emigrantem politycznym, zrozumiiałem te wypieki. Hempel był ubrany skromnie, ale nie zdradzał niedostatku. Naturalnie, chciałem dowiedzieć się od niego, jak się w Moskwie czuje. Odpowiedział krótko: „dobrze”. O Związku Radzieckim mówił, że „tutaj robią się wielkie rzeczy”. Jego żona, słuchając tych słów, machnęła ręką. Ponieważ już wcześniej uprzedzono mnie w poselstwie, że atmosfera w Moskwie jest naprężona, że szykują się jakieś porachunki partyjne, więc bałem się wyciągać Hempła na słówka. Mógł ktoś podsłuchiwać i potem zrobić donos. Gdy w niewiele dni później (byłem w Moskwie w sierpniu) wybuchła prawdziwa epidemia aresztowań, których ofiarą padli najbardziej zasłużeni komuniści, a między nimi znany mi z pierwszej podróży do Rosji Karol Radek, byłem zadowolony z tej powściągliwości.

Było to moje ostatnie spotkanie z Janem Hemplem. Na „daczę”, pomimo serdecznego zaproszenia nie pojechałem. Znałem już nieco system stalinowski i nie chciałem moimi — „fazysty”-piłsudczyka — odwiedzinami narazić naiwnego filozofa.

Wielokrotnie później starałem się dowiedzieć o losach Jana Hempla. Nikt nie umiał mi nic wyjaśnić. Dopiero via Mikołajczyk poszła w świat wiadomość, że również i jego, jak wszystkich przyjaciół wolności i wrogów tyranii, będących w zasięgu zbrodniczej łapy stalinowskiej, nie ominęła kaźń. Umarł w łagrze. I ile by grzechów w życiu popełnił, ta śmierć mu je zmaże.

Mieczysław B. LEPECKI

DO POLSKI i ROSJI	LEKI — ŻYWNOSĆ — ODZIEŻ <i>najtaniej — najlepiej — wysyła</i> FREGATA (Merchants) LTD. 7, Cromwell Rd., London, S.W.7.
--------------------------------	--

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
 I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
 NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad 3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
 ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
 I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
 „Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Ile, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Kronika kulturalna

Perspektywy, czy ich brak?

(RZECZ O MŁODYCH PISARZACH NA EMIGRACJI
 I O DRUKU W KRAJU)

Wbrew przewidywaniom pesymistów w ciągu ostatnich kilku lat stało się rzeczą jasną, że polska twórczość literacka na emigracji nie będzie jedynie epigoństwem Dwudziestolecia, ale ma jakąś tam, nową zupełnie przyszłość. Nie tylko łabędzi śpiew dogorywujących na wygnaniu luminarzy starszego pokolenia, nie tylko praca „średniaków”, którzy debiutowali w Polsce przedwojennej, będą składały się na obraz tego okresu literatury, ale także twórczość Polaków wychowanych częściowo lub całkowicie poza Krajem i poza Krajem debiutujących. Stosunkowo do niedawna zjawisko to było ignorowane, a w każdym razie niedostrzegane. Młode talenty pozostawione były same sobie i pozabawione konkretnej opieki, tym ciekawszy więc był ten samorodny rozwój, świadczący niezbicie o atrakcyjności polskiego języka i kultury, w obrębie której przez świadomy wybór pozostali ludzie mogący być może zapewnić sobie środki ekspresji w ramach kultur obcych. Ten temat wymaga osobnego socjologicznego studium i nie o to mi w tej chwili chodzi. Nie będę też podejmował literacko-krytycznej oceny zjawiska młodej literatury emigracyjnej, choć zwrócić trzeba uwagę na to, że przyszła już chyba pora na taką ocenę. Pierwsze próby w tym kierunku zostały już podjęte (częściowo na łamach „Kultury”), a choć są one jeszcze nieporadne i błakają się po peryferiach problemu, nie podobna kwestionować dobrej woli tych prób. Sam problem nie jest zresztą łatwy.

Z chwilą, gdy młoda literatura emigracyjna została „odkryta” powstał dokoła niej doraźny huczek ze względów ilościowościowych, prestiżowych. Znaleźli się organizatorzy, kierownicy ideowi, szafarze dobrych rad. Nie w smak było, że młodzi

pisarze chcą się dopracowywać własnych dróg, że nie chcą dać się zemleć w młynku kawiarnianych sporów, zakładania i plotkarstwa. Dla młodego artysty ważniejsza była jego sztuka, jego mozolna droga twórcza, niż rozmaite — z palca wysrane — posłannictwa. A droga nie była łatwa. Z każdego punktu widzenia sytuacja młodych pisarzy jest gorsza i trudniejsza niż starych. Nie finansową sytuację mam na myśli; chodzi mi o warunki twórcze.

Tworzywem młodego pisarza jest środowisko obce i w zasadzie narzucałby się obcy język. Pisanie po polsku w tych okolicznościach jest wyrazem wyjątkowego przywiązania do języka i kultury kraju, który jako taki często jest nieznany i nie pamiętany z osobistych wspomnień. Młody pisarz nie polską ma przeszłość w „kraju lat dziecińczych”, nie taką do jakiej wrócić może pisarz starszy po „zamknięciu drzwi od Europy hałasów”. Nie koniec na tym. Odbiorcami pisarzy starszych są szerokie warstwy emigracyjne ich własnych pokoleń, pamiętające ich zresztą z Polski. Młody pisarz musi tworzyć sobie odbiorców. Z kogo? Starsza emigracja przerzedza się stale, a poza tym jest „zafiksowana” w swoich gustach i — jak to zresztą zawsze bywało w dziejach — ma gusty dnia wczorajszego: nowe formy, którymi operują młodzi pisarze, jej nie odpowiadają. Młode pokolenie emigracyjne odbiorców literatury jest znacznie mniej liczne — czysto ilościowo rzecz biorąc — i częściowo przekształca się na „polonijne”: ma więc mniejsze zainteresowanie literaturą polską, jak i w ogóle rodzimymi sprawami, a większe obcym światem, w którym żyje i który dla niego wcale taki obcy nie jest. Do wyjątków nie należą jednostki wynaradawiające się zupełnie. Więc małe są dla młodych pisarzy perspektywy na emigracji, a w Kraju przecież nie ma ich zupełnie. Dodać trzeba, że prawie nie ma opieki nad talentami — czołowe pisma emigracyjne albo w ogóle nie są zainteresowane literaturą (chyba, że ów ubogi kuzynek jest „politycznie układny”), albo też uznają jedynie literaturę tematycznie i formalnie tkwiącą w epoce króla Cwiczka. Byłoby więc rzeczą zrozumiałą, gdyby zewnętrzne te trudności, bynajmniej nie podnoszące na duchu, powodowały dodatkowe wewnętrzne trudności. Jest chyba naturalnym pragnieniem dla pisarza polskiego być czytany przez naród. Starsi pisarze są znani w Kraju i pamięta się tam o nich. Mogą więc liczyć na zainteresowanie i oddźwięk, gdy ich dzieła tam przenikają. Młodzi są wartością w Kraju nieznaną, nie mają tam oddźwięku, nie mogą liczyć na nic. Tworzą w próżni, a próżnia — więc brak jakiegokolwiek atmosfery — dusi czułą psychikę pisarza.

Jeśli więc młodzi pisarze są i piszą, czynią to przez upór wewnętrzny i z przekonania, że ich twórczość ma sens, mimo wszelkich kłód, jakie im okoliczności i ludzie pod nogi rzucają. Młodzi pisarze wykorzystują zresztą te skromne możliwości publikacji, jakie istnieją. Kilka pism emigracyjnych drukuje dość

chętnie utwory młodych pisarzy, istnieje także parę pism młodzieżowych o pewnych ambicjach literackich. Ale to i wszystko. Niewątpliwie nie należy lekceważyć istniejących już obecnie praktycznych możliwości druku, gdyż odegrały one pewną rolę w ratowaniu młodych talentów dla literatury polskiej. Mógłbym przytoczyć przykład znanego już dzisiaj młodego poety i essayisty, który pisząc przez szereg lat dużo po polsku, a nie mając żadnych możliwości publikacji, stopniowo ograniczył twórczość po polsku do zupełnego niemal zaniku, przy jednoczesnym przerzuceniu się na twórczość zarówno essayistyczną jak i poetycką w języku obcym, gdzie miał możliwość publikowania swych utworów. W ostatniej chwili uzyskał on możliwość druku po polsku, najpierw w jednym piśmie, co w niedługim przeciągu czasu wyraziło się wzmoczeniem jego twórczości w języku polskim i ugruntowało go w literaturze polskiej na dobre. Na dłuższą metę jednak druk w łaskawszej — stosunkowo nikłej — części prasy nie jest zadawalającym rozwiązaniem problemu młodych pisarzy, którzy stanowią coraz liczniejszą i wciąż rozwijającą się grupę.

Na podstawie obserwacji obecnego stanu stwierdzić można, że najlepsze warunki rozwoju ma poezja. Ten dział literatury jest dziś najliczniej może reprezentowany, a w każdym razie najwcześniej się objawił w pełnej i stosunkowo dojrzałej formie. Nic to zresztą dziwnego, jeśli się zważy, że poezja bardziej od innych dyscyplin sztuki jest „sprawą młodości”. Obiektywne warunki dla rozkwitu poezji są w tej chwili najlepsze. Składa się na to indywidualny charakter poezji — a więc poeta bardziej niż ktokolwiek może być twórczo wyodrębniony od swego środowiska. Z siebie można snuć poezję, ze świata, który się widzi obok, a który nie koniecznie musi być polski — wystarczy, że jest uniwersalny, a w wyczarowywaniu ojczyzny pomoc może wyobraźnia. Nadzwyczajne warunki życia w obcym środowisku są dla poezji również dobrą pożywką. Nawet gdy w materialnym, fizycznym sensie codzienność skrzeczy, nie brak psychicznych problemów, które są materiałem poezji. Pod wszystkimi tymi względami młody poeta może sięgnąć również do tradycji własnej literatury i mieć tę satysfakcję, że sytuacja jego miała już w przeszłości precedensy, na których literatura nasza wyszła nie najgorzej. Wreszcie młodzi poeci, kształceni na zachodzie i obznajomieni z poezją obcą, mają otwarte szerokie pole dla przyswajania naszej poezji formalnych zdobyczy zachodu, dla eksperymentowania, czasem nawet dla otwierania nowych ścieżek i ścieżynek dla naszej literatury. Nie mówię tu już o zadaniach tak widocznych jak działalność przekładowa w obie strony, aktualna zresztą także dla innych działów literatury. Są i trudności. Poeta kroczy przecież w awangardzie języka, a jak ma sprostać temu zadaniu młody człowiek, który nigdy nie słyszał żywego języka, tak jak nim mówi się w Polsce i skazany jest na słuchanie potwornego emigracyjnego wolapücku? Z dotychczasowo-

wych doświadczeń widać jednak, że młodzi poeci jakoś dają sobie radę pod tym względem (może pomocą jest żywe i stałe zainteresowanie i studiowanie poezji i w ogóle literatury krajowej — emigracyjna jest niestety zbyt nikła ilościowo i niezawsze czysta językowo — oraz dobre osadzenie w klasykach polskiej poezji: postęp często jest nawrotem do dawnej tradycji). W każdym razie młoda poezja jest językowo poprawna i dość bogata, a czasem nawet odkrywcza.

Proza literacka w młodym pokoleniu literackim na emigracji rozwija się dotąd na ogół słabo. Przyczyną jest brak tła i środowiska, które prozę musi podbudowywać w daleko większym stopniu niż poezję. Zbyt wcześnie zostali młodzi wyrwani z Kraju, żeby stamtąd czerpać swe tworzywo, a może niedość jeszcze wniknęli w środowisko obce, nowe, zwłaszcza ci, którzy żyją i obracają się w sporych skupiskach emigracyjnych (które znowu same w sobie są zbyt ubogie w literackie treści, by stanowić coś więcej niż temat do odcinkowej powieści typu brukowego). Pierwsza faza młodszej prozy została więc dostarczona przez dzisiejszych trzydziestolatków (a więc starszą grupę wśród młodych) i dotyczyła przeważnie ubiegłej wojny, bo autorzy, wówczas dorastający, mogli to jeszcze pamiętać. Jest już sporo danych, które pozwalają przypuszczać, że proza młodych wkracza obecnie w okres bogatszy, w którym będą dominowały zagadnienia i środowiska współczesne autorom. Nie chcąc bawić się w prorocтва tematu tego nie będę tu rozwijał. Nie dziwiłbym się jednak, gdyby na dłuższą metę młoda proza emigracyjna okazała się ciekawsza nawet, niż dominująca dziś poezja.

Dramat nie ma dziś żadnych szans publikacji, ani inscenizacji, z tej prostej przyczyny, że teatr z prawdziwego zdarzenia na emigracji nie istnieje. (O powodach tego stanu rzeczy pisalem już parokrotnie i ograniczam się tu jedynie do tego stwierdzenia). Młodzi pisarze muszą więc pisać utwory sceniczne z całkowitym pominięciem widoków na wykorzystanie ich w jakiejkolwiek formie, to znaczy pisać jedynie z wewnętrznej potrzeby. Ta strona twórczości młodych jest dla ogółu zupełnie nieznaną i prawdopodobnie pozostanie nieznaną najdłużej. Ilościowo nie przedstawia się ona, jak dotąd, pokaźnie. Tak się składa, że znam szereg rękopisów i uważam, że młodzi dramaturdzy będą mieli do pokazania nieco utworów ciekawych.

Dość ciekawie przedstawia się essayistyka i krytyka, zwłaszcza naukowa. Wykształceni na zachodnich uniwersytetach naukowcy opierają się na zachodniej dyscyplinie naukowej, a jeżeli interesują się odpowiednimi naukami w Polsce, posiadają szeroki wachlarz porównawczy. Często młodzi naukowcy w zakresie krytyki literackiej publikują w obcych językach, zbyt mało mają jednak możliwości publikowania po polsku. A czasami niestety ich to nie interesuje. Młodzi krytycy nie mają jednak zbyt dużych możliwości działania w zakresie krytyki dziennikarskiej. Pism

jest zbyt mało, obsadzone są dość dobrze przez krytyków starszych o uznanych nazwiskach. Często metody krytyczne ludzi formacji zachodniej nie są dobrze widziane przez polskich odbiorców i nie są dostosowane do emigracyjnych pism i ich potrzeb. Stąd tylko stosunkowo nieduży procent młodych krytyków literackich i artystycznych może się w pełni wypowiadać na łamach pism. O publikacjach książkowych oczywiście nie ma mowy.

Gdy się operuje dość luźnym pojęciem młodej literatury emigracyjnej i jej przyszłości należy uwzględnić nie tylko kilkudziesięciu pisarzy w wieku lat od dwudziestu jeden do trzydziestu kilku, którzy już zadebiutowali, ale i pokolenie najmłodsze, poniżej podanej przeze mnie granicy wieku, które dopiero debiuty swe przygotowuje. Kontakty z najmłodszymi, którzy oficjalnie nie weszli jeszcze na literacką arenę ukazują zjawisko nieoczekiwane i radosne. Ze strony nieco starszych kolegów opieki i zrozumienia im nie zabraknie, bo sami zaczęli swą twórczość w podobnych warunkach. Ale nie oni są możliwymi emigracyjnego świata i nie od nich zależy, by przyszłości emigracyjnej literatury nie zaprzepaszczono z kretesem.

Konkretne działanie winno iść w kierunku zapewnienia stałych możliwości druku w miejsce dotychczasowych dorywczych. Brak funduszy nie jest wystarczającym wytłumaczeniem obecnej inercji, bo w tym samym czasie duże sumy pieniężne marnuje się na cele znacznie mniej ważne. Potrzebne jest stworzenie na emigracji pisma literackiego, do którego finansowych podstaw nie byłyby przywiązane żadne warunki polityczne, czy ideologiczne. Pismo takie powinno być wolne, bo tylko wtedy spełni swe zadania. Zaufaniem, którym się obdarzy pisarzy, osiągnięciem się w rezultacie więcej niż histerią i nieodpowiedzialnymi nagonkami. Należy również podejść z uwagą i zrozumieniem do sprawy dopuszczenia młodych pisarzy i adeptów literackich do istniejących pism, aby nie były one domeną koterii. Trzeba więc unowocześnić zaśnieżonych redaktorów tam, gdzie to jest jeszcze potrzebne. Należy też stworzyć możliwość publikacji książkowych młodym pisarzom przede wszystkim. Publikacja na emigracji nie jest dla pisarza kwestią zysku, bo honoraria i tak są znikome, lub żadne. W tych warunkach więc pisarz który ma za sobą dziesiątki pozycji książkowych, a nic nowego do powiedzenia, powinien ustąpić młodemu. Lata pracy bez możliwości publikowania jej owoców nie mogą być dla pisarza źródłem dobrego samopoczucia, to jasne. W tym miejscu trzeba z całą stanowczością podkreślić, że przybieranie tonu mentorskiego i biadanie nad „złym stanem literatury” ze strony tych, którzy dysponując funduszami społecznymi i środkami wydawniczymi kierują się w ich użytkowaniu oportunistycznym komercjalizmem, jest zwykłą hipokryzją.

Pozostaje jeszcze bardzo zasadnicza sprawa, którą się określa mianem druku w Kraju. Jak się okazuje, jest to sprawa draż-

liwa, która doprowadziła pewien odłam emigracji do hysterii, oraz stała się przyczyną kampanii plotek i oszczerstw (*). A sprawa jest prosta i, zdawałoby się, nie powinna nastęrczać cienia wątpliwości. Że polski pisarz pisze dla Polaków i im swą twórczość przedstawia, kiedy to możliwe, to powinno być chyba zrozumiałe dla każdego. Jeśli pisarze emigracyjni nie publikowali w Kraju, to dlatego, że nie byli tam dopuszczani, lub że stawiano by im warunki i wymagania nie do przyjęcia odnośnie charakteru ich twórczości (**). Z tych samych względów zamilkli niektórzy pisarze w Kraju. Dziś drukują oni to, co w ciągu lat milczenia pisali. Jeśli chodzi o pisarzy emigracyjnych, druk w Kraju możliwy jest jedynie na naszych własnych warunkach. Można się rozmaicie zapatrywać na to, jakiego rodzaju mają to być warunki i jak sprawę należy praktycznie przeprowadzić. Ale nie do utrzymania jest negatywna postawa względem druku w Kraju „sztuka dla sztuki”. Zwolennicy tej zasady zalecają pisanie dla potomności (co praktycznie rzecz biorąc jest przekreśleniem perspektyw literatury na emigracji). Często przy tym stawiają oni za wzór Norwida. Podejście z gruntu fałszywe. Pisarz w zasadzie pisze i chce pisać dla współczesnych. To jest normalny, zdrowy instynkt pisarza. Czas zdać sobie sprawę z tego, że sprawa Norwida była skandalem dla naszej literatury i tego skandalu za wzór pisarzom stawiać nie można. Samego Norwida trzeba podziwiać, ale naśladowanie tego, co się stało jego udziałem — z winy jego współczesnych — byłoby absurdem, który by został na pewno potępiony przez poetę, mówiącego o książkach wychodzących za późno. Robienie z Norwidowej golgoty aksjomatu dla polskiego pisarza jest — mimo, że część jego twórczości cudem uratowano — zbrodnią i dla literatury naszej prawdziwą drogą do nikąd.

Cóż więc z tego wynika dla młodego pisarza na emigracji? To, że winien mieć możliwość przedstawienia się narodowi, do którego należy i pisania dla niego, z chwilą gdyby zostały zagwarantowane warunki pełnej niezależności dla ogłaszanych w Kraju prac. Niezależność ta oznaczałaby zarówno wykluczenie przedmów i zmian tekstu przez wydawnictwo, jak i zużytkowanie ewentualnych honorariów w Kraju, na cele krajowe. Należy dążyć również do uzyskania debitu w Kraju dla pism i książek wydawanych na Emigracji, ale gdyby postulat ten —

(*) Między innymi szereg pismaków, a nawet publicystów, powtarzało uporczywie pogłoskę o tym, że wydawnictwa krajowe zaproponowały bezpośrednio lub przez swoich agentów młodym poetom na emigracji wydanie tomów w Kraju. Znam niemal wszystkich młodych poetów na emigracji i, o ile mi wiadomo, nic podobnego nie miało miejsca. Gdzież więc ukrywają się ci mityczni młodzi poeci, którym wysunięto kuszące propozycje i przedstawiono umowy do podpisania?

(**) Rozmaite związki czy kółka mogły sobie podejmować takie czy inne uchwały w tej sprawie, dla własnych celów i na własny użytek. Zobowiązuje to jedynie ich własnych członków, jeśli w ogóle.

sam w sobie słuszny — miał być warunkiem absolutnym druku w Kraju, niemożność jego realizacji (z czym trzeba się liczyć) oznaczałaby, że sami stawiamy bariery pomiędzy wolną twórczością polską na emigracji a narodem, co jest absurdem nie do przyjęcia.

Myśli te rzucam do rozważy i ewentualnej dyskusji. Ale historyków do tej dyskusji nie zapraszam. Praca pisarza jest ciężka i wiąże się z rozmaitymi dziedzinami życia, zmuszając go nieraz do podejmowania poza-literackich decyzji. Obejdzcie się on bez terroru ze strony samozwańczych kuratorów, za których wielkimi słowami kryją się aż nadto często osobiste i partykularne cele i interesy. A zwłaszcza młody pisarz sterroryzować się nie da i terroryści osiągną cel odwrotny od zamierzonego — za to mogą być. Cele młodości są czyste, jeśli czegoś jej czasem brak, to doświadczenia. Przyjaznych i *bezinteresownych* rad słucha ona chętnie. Przestrzegał jeden przyjazny krytyk przed drukiem w Kraju mówiąc, że się krytyka do tych pisarzy dobierze, a ludzie spodziewający się po emigracji wielkich rzeczy rozczarują się i zawiodą. Ale otóż byłby to najmniej ważny argument przeciw drukowaniu w Kraju. Prawda wymaga, by nie utrzymywać sztucznych mitów. Jesteśmy gotowi na próbę sił, bo pracujemy i uważamy, że jest to praca rzetelna. Kraj, czy Emigracja? Perspektywy, czy ich brak? Rozpisaawszy się na ten temat — a można by powiedzieć więcej — wniosek stawiam ten, że perspektywy na rozwój młodej literatury emigracyjnej tkwią przede wszystkim w *pracy* młodych pisarzy. Na tyle mają już oni doświadczenia, by wiedzieć, że gdy wszystko inne zawiedzie, tylko własny wysiłek jest wartością niezawodną i konkretną w ich rzeczywistości.

Bolesław TABORSKI

ANKIETA O ANTYSEMITYZMIE

Ankieta wywołała żywe zainteresowanie wśród naszych Czytelników i stale napływają odpowiedzi. Termin zamknięcia ankiety Redakcja ustala na 1 grudnia br.

NIE ZWLEKAJ Z ZAMÓWIENIEM
AŻ KSIĄŻKA BĘDZIE WYCZERPANA
JUŻ PRAWIE 2000 EGZEMPLARZY SPRZEDANYCH

 ZOFIA ROMANOWICZ
BAŚKA I BARBARA 

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do :

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l’Ile, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży :

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach oraz u przedstawicieli polskich pism, jak również w księgarniach „Hachette”, jeżeli takowe są w danym kraju — podając adres „Libelli” jako wydawcy.

Książki

Na progu wojny

Walter Hofer, *Die Entfesselung des zweiten Weltkrieges*, Deutsche Velagsanstalt Stuttgart 1954, Str. 221.

Wydanie angielskie: *War Premeditated*, Thames and Hudson, London (1955, str. 227).

Przed niespełna trzydziestu laty, a w dziesięć lat po zakończeniu pierwszej wojny światowej, wybitny historyk francuski, Pierre Renouvin, ogłosił podstawową książkę o „bezpośrednich przyczynach i źródłach” — *Les Origines* — europejskiej katastrofy. Mniej więcej w tym samym odstępie czasu od zaszłych wypadków pojawiła się obecnie w Niemczech książka analogiczna o tym co doprowadziło do wojny drugiej; przy czym, podczas gdy sam tytuł u Renouvina określał kwestię jako sporną i wymagającą zbadania, Hofer stwierdza wybranym przez siebie tytułem kwestię bezsporną — wywołanie i „rozpętanie” tej drugiej wojny przez Hitlera.

Autor, Szwajcar z pochodzenia, obecnie profesor wolnej berlińskiej wszechnicy, stawia na czele swych wywodów pewne przesłanki o charakterze etycznym: „zbrodnia winna być nazwana zbrodnią, a kłamstwo kłamstwem; szaleństwo należy uważać za szaleństwo, a nie za genialność...” Zadaniem historyka nie jest „konstruowanie logiki dziejów, czy ich estetyki — raczej może etyki...”

Zdaniem autora omyłkę zasadniczą historyków „rozpętania” wojny stanowi „usiłowanie wytłumaczenia całego procesu w sposób racjonalny”. W pierwszej linii dotyczy to zapewne historykopolityków angielskich, szukających przyczynowego wytłumaczenia i konsekwencji w pomysłach i działaniach Hitlera. „Stając przed wydarzeniem tak jedynym w swoim rodzaju jak powstanie i upadek narodowego socjalizmu, historyk musi zastosować metody i kategorie, nie koniecznie dotychczas przyjęte. Nie znajdzie on żadnych racjonalnych pobudek czy względu na narodowy interes tam, gdzie najczęściej przeważały instynkty pierwotne, od-

ruchy chorobliwe, psychoza masowa i auto-sugestia... Musi więc przyjąć terminologię właściwą dla jedyne go w swym rodzaju fenomenu..." Fenomenem tym jest przede wszystkim sama postać i charakter *Führer'a*, z jego „cechami patologicznymi”. Nie podobna dopatrywać się jakiegokolwiek myśli albo konsekwentnej intencji tam, „gdzie instynktowna chytryść, patologiczna arogancja i fałszywa interpretacja historii znajdowały się w grze — mieszanina emocjonalnych odruchów pod maską patosu histriona”.

Pozostaje kwestia: jak się stało, że naród niemiecki poszedł za Hitlerem? że udało mu się narzucić swą wolę jego całości? Jak wreszcie zdołał on realizować swoją wolę i postanowienia wbrew całemu światu? Odpowiedź na te pytania, którymi zamyka się książka, wiąże się z ogólnym stanem społeczeństw europejskich — znajduje się więc poza właściwym tematem pracy Hofera. Odpowiedź, aby być zupełna, musiałaby również zawierać analizę bolszewizmu, który wyprzedził narodowy socjalizm i był poniekąd jego wzorem. Musiałaby wejść w arkana psychologii i polityki działaczy sowieckich, w pierwszym rządzie Stalina. Te zagadnienia, złączone organicznie z „rozpętnaniem wojny”, nie zostały dostatecznie uwzględnione przez Hofera; sam daje on częściowe wytłumaczenie tego braku — niedostępność lub nieistnienie źródeł sowieckich.

Punktem wyjścia książki jest zajęcie Pragi — moment, gdy szala zdarzeń przechyliła się ku wojnie. Głównym zaś etapem jest negocjacja niemiecko-sowiecka, przy czym jednak wątpliwe pozostaje, aby „dyktator niemiecki wziął ją pod uwagę od samego początku”. Przeciwnie, pomysł ten rozwinął się stopniowo i był realizowany w miarę jak zaczął przeważać plan rozpętnania wojny przez rozpoczęcie jej od strony wschodu. Wówczas, i dla tego celu Hitler zawarł pakt, dający mu możliwość zlokalizowania wojny, czyli ograniczenia jej do uduszenia Polski. Negocjacje niemiecko-brytyjskie, których jawnym celem było „odłączyć Anglię od Polski”, stanowiły więc tylko kamuflaż-próbę rozerwania gwarancji wzajemnej polsko-brytyjskiej. Niepowodzenie tej próby, zdemaskowanie ostatecznie oszustwa przez Anglików, zamieniło wojnę „lokalną” w wojnę powszechną.

Strona polska w dyplomatycznym konflikcie przedstawiona jest przez Hofera z chłodną bezstronnością. O Becku mówi autor, że nie zrozumiał rzeczywistego Hitlera: „wielkim błędem w rachunku Becka pozostała fałszywa ocena dyktatora i jego intencji... Poza tym, nieodpowiedzialnie przecenił on własne możliwości i rolę, jaką Polska mogła odegrać w systemie europejskim”. Polacy „przecenili siły własne, a nie docenili wojskowej potęgi swoich dwóch wielkich sąsiadów”; wyobrazili sobie, że „łącznie z pomocą Zachodu oprą się Niemcom” — było to „złudzenie, którego zachodnie mocarstwa nie podzielały”. Tutaj wypada zaznaczyć, że oba te mocarstwa podtrzymywały jednakże owo „złudzenie” przez swą politykę „gwarancji”, ubezpie-

czeń, potem niepodpartych zawczasu ani finansowo, ani technicznie, ani wojskowo. Autor sam zresztą dostatecznie surowo ocenia niewczesną interwencję obu zachodnich ambasadorów z 29 sierpnia, która powstrzymała polską mobilizację powszechną o 24 godziny, i obiektywnie stwierdza fatalne skutki tej interwencji. Wskazuje także, iż wszystkie próby negocjacyjne ostatnich dni miały za domniemaną podstawę poświęcenie Polski.

Między epizodami przedwojennymi, dotyczącymi Polski, Hofer omawia dwa, zasługujące na szczególną uwagę.

Pierwszy z nich — to kwestia: jakie właściwie propozycje, a raczej dyktanda, miały być przedłożone „pełnomocnikowi” polskiemu, wezwanemu do Berlina na dzień 30 sierpnia? Kwestia ta po dziś dzień nie jest jasna i jak się zdaje może być wyjaśniona jedynie rachunkiem prawdopodobieństw. Wszelkie późniejsze odnośne deklaracje Hitlera, jego opowiadania o „wielkodusznych” warunkach przygotowanych rzekomo dla Polaków, a także wnioski późniejszych apologetów — włącznie z angielskimi — o warunkach „umiarkowanych” i godnych rozpatrzenia, jeśli by tylko nie były wprowadzane siłą, — nie zasługują na traktowanie serio. Natomiast interesujące są słynne dwie mapki, wydarte z atlasu dla Dahlerusa, na których Göring rysował niemieckie żądania terytorialne: pierwsza z 29 sierpnia wieczorem, zarysująca terytorium zamierzonego plebiscytu, obejmowała Poznań (80 klm. na wschód od Poznania), Gniezno, Pułtusk i Łódź — czyli obszary, z wyjątkiem krótkiego okresu po drugim rozbiorze, nienależące nigdy do Prus; skąd wyraźna tendencja, aby na podstawie tajnego protokołu podpisanego 23 sierpnia z Sowietami wznowić granicę tego podziału. Druga mapka, pokazana przez Göringa w nocy z 30 na 31 sierpnia, więc już wobec niezjawienia się pełnomocnika nieaktualna, określała tylko, jako obszar plebiscytowy, Pomorze włącznie z Bydgoszczą. Która z tych map miała być przedstawiona jako ultimatum graniczne Polsce? Nie podobna dziś jeszcze powiedzieć. Pewne jest jedynie, że historiografia zachodnia, włącznie z Hoferem, niedocenia ani przewrotności tych kombinacji zaborczych, wykraczających poza granice 1914 roku, ani ich prowokacyjnego znaczenia, w związku z protokołem sowiecko-niemieckim. A już biedny Dahlerus, samozwańczy pośrednik z Anglikami, najmniej był do tego przygotowany, aby się w tych matactwach rozeznąć.

Drugie zagadnienie — to sama kwestia niedosłzłego polskiego „pełnomocnika”. Żądanie jego przybycia postawił Ribbentrop w rozmowie z ambasadorem Hendersonem 29 sierpnia około 8 wieczorem; przekazane ono zostało, najpewniej drogą radiową, jeszcze tej samej nocy do Londynu, przy czym Rząd brytyjski od razu zaznaczył, że „nie jest rozsądne”. Odpowiedź brytyjska na równoczesną notę niemiecką została udzielona już 30 sierpnia wieczorem, natomiast zgoda niemiecka na tak zwane „rokowania bezpośrednie” z Polską nie była przekazana Warszawie aż do późnego wieczora 30 sierpnia, czyli przez około 20 godzin,

nie mówiąc o tym, że odnośna depesza nadeszła w nocy i ambasador Kennard mógł ją zakomunikować Rządowi polskiemu dopiero rano 31 sierpnia. Reakcja ministra Becka była natychmiastowa: już w południe przystał on na prowadzenie bezpośrednich rokowań z Niemcami, a o 12.40 upoważnił ambasadora Lipskiego do nawiązania kontaktu z Ribbentropem. Oczywiście, na jakiegokolwiek rozmowy było już za późno: dwanaście godzin wcześniej, dokładnie o 12.40, Hitler wydał swą wojenną dyrektywę Nr 1, naznaczając działania zaczepne na 1 września, godz. 4.45 rano. Hofer konkluduje: „Hitler nie był ani przez jedną chwilę zainteresowany w rozpoczęciu rokowań bezpośrednich na stopie równości stron obu; chodziło mu wyłącznie o doręczenie ultimatum... Państwu polskiemu pozostawała w rzeczywistości jedna jedyna możliwość: pozostać stanowczym i bić się. Było to logicznym następstwem sytuacji... wytworzonej przez tajne porozumienie Hitlera ze Stalinem”.

Motywy polskie z tej ostatniej chwili są dosyć jasne. Beckowi chodziło o to, aby do końca wobec Anglii być poprawnym i okazywać gotowość do udziału w próbach utrzymania pokoju; nadziei na zmianę sytuacji przez swoje warunkowe i ostrożne akceptowanie rokowań nie mógł mieć żadnej. Natomiast postępowanie angielskie i motywy *Foreign Office*'u pozostają po dziś dzień niewyjaśnione. Dlaczego niemieckie wezwanie pełnomocnika nie zostało przekazane Warszawie 30 sierpnia rano, ale dopiero następnej nocy? Jakże były racje tego opóźnienia, które — jak Hofer słusznie zauważa — nie mogło być przypadkowe? Czy wystarcza tłumaczenie, że Halifax „stracił cierpliwość”? W każdym razie opóźnienie to jest dowodem, iż Ministerstwu brytyjskiemu nie zależało w tej chwili na powstrzymaniu katastrofy. Stąd się rodzi ostatnie pytanie: dlaczego w tych warunkach Gabinet angielski nie doradził Polsce przyspieszyć mobilizację, zamiast, jak to Kennard wraz z Noëlem 29 sierpnia uczynił, mobilizację tę powstrzymać?



Weltgeschichte der Gegenwart in Dokumenten, hgg. von Professor Dr. Michael Freund. *Geschichte des Zweiten Weltkrieges in Dokumenten*, I. *Der Weg zum Kriege 1938-1939*. II. *An der Schwelle des Krieges 1939*. Vlg. Herder Freiburg u. Karl Alber Freiburg-München, 1953-1955. Str. XII, 474; XVI, 503.

Badanie początków światowej wojny będzie znacznie ułatwione przez niniejszą publikację źródeł. Jest ona metodyczna i wszechstronna. Zawiera dokumenty zebrane z różnych wielotomowych kolekcji: brytyjskiej — 7 tomów za okres 1937-1939; alianckiej, zawierającej dokumenty niemieckie — dotychczas 9 tomów; włoskiej — 2 tomy za tenże okres; następnie z książek kolorowych wydanych w czasie wojny — między nimi z trudno

dziś dostępnych publikacji, jak Berbera zbioru dokumentów praktycznych; wreszcie z diariuszy, pamiętników i historycznych monografi. Całość tych źródeł stanowi już dzisiaj znaczną bibliotekę, wydobyć więc z niej rzeczy istotnych i niezbędnych, podanie w skrótach lub urywkach rzeczy drugorzędnych ułatwi znakomicie pracę historyka. Tam nawet, gdzie podany dokument lub jego skrót go nie zadowolili, może on zawsze odnieść się do podanego w dokładnej bibliografii pierwszego źródła. Publikacja niemiecka jest nie tylko ważna i pożyteczna, ale przedstawiona w niej historia w uszeregowanych chronologicznie autentycznych aktach stanowi lekturę pasjonującą i ożywia raz jeszcze przed czytelnikiem sam dramatyczny przebieg wypadków.

Wydawcy zbioru zdecydowali się — może między innymi dla podwyższenia efektu publikacji — na krok nieco ryzykowny: uzupełnienie dokumentów każdorazowym komentarzem. Takie uzupełnienie posiada istotnie duże zalety: daje możność przytoczenia materiałów drugorzędnych, pozwala na lepsze zrozumienie tła zdarzeń, czyni całość, podzieloną na poszczególne rozdziały, bardziej przejrzystą. Zgrupowane dokumenty nabierają ciągłości, rysuje się wyraźniej przyczynowa więź. I tak na przykład dokumenty kontrowersji Ribbentrop-Bonnet o rzekome zrzeczenie się Francji wpływu w sprawach środkowo-wschodniej Europy (grudzień 1938-lipiec 1939) zyskują jeszcze na plastycie przez objaśnienie ich znaczenia. Podobnie uplastycznia się hipoteza o tendencji czynników anglo-saskich przesunięcia niebezpieczeństwa wojny, poczynszy od jesieni 1938, z zachodu na wschód. Jaśniej rysuje się przed nami przełom w polityce światowej, a szczególnie brytyjskiej, spowodowany przez najazd Hitlera na Pragę (15 marca 1939) i mający za skutek gwarancje brytyjskie dla kontynentu; z drugiej zaś strony — niespodziewane ociążanie się i niepewność polityki francuskiej. Obserwujemy naocznie te na odwrót przedstawione kategorie: Wielka Brytania, dotychczas przeciwdziałająca sojuszom Francji na kontynencie, jej zaangażowaniom z jej „klientami”, i od wstrzymania tych zobowiązań uzależniająca własne dla niej gwarancje, nagle wysforowuje się naprzód, podejmuje na wschodzie inicjatywę, wprowadza i rozszerza zabezpieczenia aż po Wisłę i Morze Czarne; zaś Francja, dotychczas opierająca się na swych kontynentalnych wpływach, prowadząca europejską politykę od Polski aż po Rumunię i Turcję, nagle cofa się, waha, obawia zaangażowań, gotowa sama powstrzymać, przeszkadzać angażowaniu się Anglii, hamować jej inicjatywy, osłabiać jej stanowczość!

Metoda opisowa, zastosowana przez wydawców dokumentacji ma jednak również i swoje przywary, mianowicie wtedy, gdy do komentarzy wplączę się tendencja: czasami wynikająca z przekonania, czasem zaś, co gorsza, nieumyślna. W książce opracowanej przez profesora Freunda znajdujemy przykłady jednej i drugiej, przy czym niestety sprawy polskie są i tutaj, jak

zazwyczaj, niezawodnym probierzem. Już same tytuły nieraz wprowadzają w błąd: notę niemiecką z 27 kwietnia, zrywającą jednostronnie umowy z Polską, wydawca nazywa „proponowaniem dwustronnego układu”; rozmowę Bonneta z ambasadorem sowieckim Suriczem poprzedza interpretująca ją nagłówka: „Polska jest troską drugorzędną”. Poszczególne komentarze na temat Polski są równie dowolnym rozszerzaniem tekstu dokumentów: i tak komentator informuje wręcz fałszywie o danym jakoby przez Becka Halifaxowi w rozmowie londyńskiej z 6 kwietnia „pełnomocnictwie” do rokowań z Sowietami. O takim pełnomocnictwie nie było wcale mowy.

Od czasu do czasu taki tytuł przeinaczający dokumenty, lub takie hasło rozszerzające ich treść przemienia sam przebieg historycznych wydarzeń. Wydawcy kwalifikują polskie zarządzenia wojskowe z końca marca 1939 jako „mobilizację”; wskutek tego reakcja czynników hitlerowskich wygląda jako naturalna i poniekąd słuszna. „Z wielkim gestem i nieposkromionym rozpaczem Polska buntuje się przeciw nieuchronnemu losowi” — tak w komentarzu interpretuje się rzekomą mobilizację, upatrując w niej „pierwszą odpowiedź na niemiecką propozycję rozległego porozumienia”. Otóż, jeżeli nic się nie mówi o uprzednich wojennych przygotowaniach Hitlera, czynionych w największej skali; jeżeli po drugiej stronie nie precyzuje się ograniczonego zakresu ostrożnych zarządzeń polskich, to powstaje fałszywy obraz, jakoby Polska swą „mobilizacją” i „odmową” spowodowała wojenne decyzje Hitlera. Analogicznie, i w tymże związku przypisane jest rozszerzające i potęgujące znaczenie samemu polskiemu „nie” (przez wielkie N). To „nie”, przeciwstawione Ribbentropowi w Warszawie w styczniu 1939 przez Becka, miało „zadecydować nie tylko o własnym (Polski) losie, lecz również o losach Czechosłowacji”: inaczej mówiąc, odmowa podporządkowania Polski Hitlerowi spowodowała najazd Hitlera na Pragę! Twierdzi się tak, pomimo, iż przedtem podane były dokumenty (instrukcja z 21 października 1938), świadczące o powziętej od czasów Monachium decyzji Hitlera zlikwidowania wcześniej czy później kraju nazwanego Rest-Tschechoslovakei. Powtórnie, polskie „nie”, sformułowane ostatecznie w instrukcji Becka dla ambasadora w Berlinie z 25 marca, określone jest nie tylko jako decydujące o dalszym kierunku agresji hitlerowskiej — i to pomimo, że jeszcze w tym czasie, i aż po polsko-brytyjskie układy z kwietnia, dokumenty wskazują na brak ostatecznego postanowienia — ale uważane jest za odrzucenie niemieckiej propozycji „zasadniczego” uregulowania wzajemnych stosunków. „Polska nie daje najstabszej choćby zachęty, nie odwzajemnia w niczym podjętej z wielkim gestem próby ogólnego wyjaśnienia”. Takie, wprowadzające wręcz w błąd twierdzenia wypowiadane są z okazji „planu” niemieckiego, wymagającego od Polski jednostronnych ustępstw z jej praw, i „propozycji” Ribbentropa, postawionych Polsce prowokacyjnie nazajutrz po „coup”

praskim i mających za cel oczywiste dalsze skłócenie Polski z Zachodem.

Autor komentarza potrafi zresztą spojrzeć na rzeczywistość bez uprzedzeń: widzi sam, że „wielkim celem” Hitlera było „podporządkowanie polityki zagranicznej polskiej polityce Rzeszy”, czyli zrezygnowanie z niepodległości; „nie o Gdańsk chodziło (Hitlerowi) — chciał wojny”. Pomimo to polityka polska ukazuje się w komentarzach jako lekkomyślna, nie wiedząca co czyni, „niezdolna zrozumieć co dla Polski oznacza wojna z Niemcami”. Wyrokowanie to jednostronne, gdy nie cytuje własnych opinii polskich, a natomiast użytkuje po kolei wszelkie antypolskie wypowiedzenia polityków czy pisarzy Zachodu. W ślad za Komisarzem Gdańskim Burckhardtem komentator upatruje w polityce polskiej „połączenie heroizmu i głupoty”; wyszydza „mocarstwowość”, choć na poparcie takiej pretensji nie umie przytoczyć żadnej poważnej i odpowiedzialnej polskiej wypowiedzi; mimochodem zaś wzmiąkuje „krańcowo złe a nawet okrutne obchodzenie się w Polsce z niemieckimi mniejszościami”. Czasem odnosi się wrażenie, że komentarz pisany jest z chęcią przypodobania się Anglo-sasom i że w tym celu wtóruje ich uprzedzonom: zadziwia w szczególności, że niemiecki komentator przedwojennej historii zgorszony jest faktem, iż Polska nie okazała gotowości pójścia przeciwko Rzeszy ze Związkiem Sowieckim, a także iż Anglia nie zażądała tego od Polski jako warunku udzielenia jej gwarancji. A jednak sam autor komentarza na innym miejscu potrafi określić lapidarnie sytuację Polski: „jastrząb ma chronić gołębia przeciw sępowi”.

Teza wciąż powtarzana o „szaleństwie” przedwojennej polityki polskiej domaga się w każdym razie jednej zasadniczej korektury. Polska miała formalny układ na wypadek wojny z Francją, zaś ze sztabem brytyjskim prowadziła odpowiedzialne przygotowawcze rozmowy. Otóż nie znajdujemy, nie tylko w zachodniej, ale podobnie i w niemieckiej ocenie decyzji polskich, uwidocznienia niewątpliwego faktu, że umowy i układy, zawarte czy prowadzone z Polską, nie zostały honorowane przez jej sprzymierzeńców i że inaczej przedstawiałby się przebieg wojny, gdyby zostały one dotrzymane. Hitler rachował właśnie na bezczynność mocarstw zachodnich i chciał od początku izolować Polskę, w pierwszej kolejności, a w razie nieudania — militarnie. Pod tym ostatnim względem Hitler osiągnął zamierzony swój cel, co wprawdzie nie dało mu zwycięstwa, lecz obaliło Francję i przedłużyło wojnę. Oczywiście, publikacje alianckie niechętnie dotyczą tych drażliwych tematów. Publikacje niemieckie, dla niezbyt zrozumiałych powodów, im wtórują.

Argument, że Polska popełniła szaleństwo, podejmując rzucaną jej przez Hitlera rękawicę, że w gruncie rzeczy poszła mu na rękę, stwarzając dla pożądanej przezeń wojny pretekst, że nawet, jak chce komentator dokumentów, sama swój los wyzwała, nie znajduje swego odpowiednika w ocenie szaleństwa

hitlerowskiej Rzeszy. Szaleństwo to ujawniło się przecież nie tylko w fakcie wywołania ryzykownej, groźnej dla Niemiec, światowej wojny, lecz także w fakcie, stwierdzonym raz jeszcze w tej dokumentacji, że główne przedsięwzięcie Hitlera zwracało się od początku przeciw bolszewizmowi, przeciwko Rosji sowieckiej. Wojna 1941 roku nie była więc tym szaleństwem, za jakie ją przedstawiają najchętniej, zarówno na Zachodzie, jak w Niemczech: odpowiadała ona założeniom teoretycznym ustroju i głoszonej przezeń ideologii. Prawdziwym szaleństwem było dopiero przedsięwzięcie tej wojny bez naturalnego zaplecza — bez Polski, poprzez Polskę obezwładnioną; podczas gdy zwalczanie Rosji i zburzenie bolszewizmu było możliwe jedynie we współdziałaniu z Polską. Układ niemiecko-sowiecki z 23 sierpnia 1939, sławiony nieraz jako majstersztyk Hitlera, był zaprzeczeniem wszystkiego co zamierzył, zaparciem się wszystkiego co myślał, i stał się jego kardynalną pomyłką.

Helmut Krausnick, *Legenden um Hitlers Aussenpolitik, Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte*, 1954, III. Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart.

Redagowany w Monachium kwartalnik poświęcony jest historii współczesnej, w szczególności erze Hitlera i drugiej wojnie światowej. Pismo to, świetne w swym układzie i bogate treścią, odznacza się chłodnym obiektywizmem i wnikliwą krytyką Trzeciej Rzeszy. Tym założeniom odpowiada również stosunek do spraw i zagadnień polskich, w przeciwieństwie do *Historisch-Politisches Buch*, sprawozdawczego miesięcznika, organu uczonych getyngeskich, gdzie wciąż jeszcze mówi się o okrucieństwach w stosunku do mniejszości niemieckich, o polskich „mordach z września 1939”. Kwartalnik ogłosił między innymi interesujące listy generała Stieffa (list o kampanii polskiej z 21 października), oraz rzeczową analizę polskiej polityki zagranicznej, opartą na książce Becka i Dzienniku Szembeka.

Na szczególną uwagę zasługuje artykuł H. Krausnicka, omawiający legendy głoszone o polityce zagranicznej Hitlera. Punktem wyjścia rozprawy jest przewrotna książka nazistowskiego urzędnika prasowego Fritza Hesse — „Gra o Niemcy”, na którą zbyt mało zwrócono dotychczas uwagi w publicystyce polskiej. W omówieniu tej książki autor wykracza jednak poza jej treść i szereg ważnych problemów związanych z polityką Hitlera.

Co było zasadniczym rysem i walorem tej polityki? Świadomy i celowo przeprowadzony program, czy czasowe i spontaniczne improwizacje? Własna intuicja i wola *Führer'a*, czy intrygi w jego obozie i podpowiadania doradców? Autor przytacza szereg dowodów konsekwencji i trwania przy raz ustalonym założeniu. Zbrojenia były od początku warunkiem podstawowym tej poli-

tyki. Dyrektywy zarówno polityczne jak wojskowe świadczą o logicznie realizowanym zamiśle: między innymi słynna dyrektywa dla sudeckiego Henleina z 28 marca 1938, aby „zawsze stawiać takie żądania, których nie można zadowolnić”, a to w obawie, iż Czesi mogliby skromniejsze żądania przyjąć; podobnie komedia każdorazowych ofert, zaraz potem wycofywanych i zastępowanych dalej idącymi żądaniami. Nie układ więc, a tym mniej jakikolwiek uzgodniony kompromis, lecz „wojna była świadomym i niezmiennym celem” Hitlera. Plany układał i decyzje pobierał on sam i rola doradców sprowadzała się przede wszystkim do wykonywania.

Metoda znalazła pełne swe zastosowanie w stosunku do Polski. „Na razie” plany Hitlera na przełomie lat 1938-1939 nosiły charakter „ograniczonego uregulowania całości (*Generalbereinigung*)”; w istocie miały na widoku sprowadzić Polskę do roli „satelity w systemie politycznym zwróconym przeciw obszarowi rosyjskiemu — a to bez żadnej gwarancji oszczędzenia jej w przyszłości”. Takie było sedno wszystkich zamierzeń i stopniowych posunięć, podjętych w uderzającej analogii do poprzednio ułożonej gry w stosunku do Czechosłowacji — w ten mianowicie sposób, aby kolejne żądania były każdorazowo nie do przyjęcia i aby można było wciąż je powiększać — poczynając od „skromnych” i „ograniczonych”, przechodząc przez „jednorazowe” i „wielkoduszne”, kończąc ultimatywnym wymuszaniem: całość nie była niczym innym, jak tylko „cynicznie wypracowanym rozpętaniem wojny”.

Hesse interpretował tę mało wyszukaną i do obrzydzenia jednostajną grę jako z jednej strony wpływ otoczenia Hitlera, z drugiej — przejaw jego własnych sporadycznych wybuchów. Krausnick zbija skutecznie te apologetyczne legendy: nie ma żadnych dowodów aby ktokolwiek miał skuteczny wpływ na Hitlera, a taktyka przez niego zastosowana, wraz z własnymi o sobie wyznaniem, wystarcza aby „rzekome wybuchy” sprowadzić do odgrywanych raz po raz komedii, podejmowanych celowo i ciągle prób oszustwa. Do takich legend zalicza autor słusznie plotkę ukutą przez Hessego o okolicznościach wydania ostatecznych operacyjnych rozkazów na dzień 1 września. Mianowicie, zameldowano jakoby Hitlerowi — Hesse nie podaje dokładnego momentu — o rzeziach dokonywanych na Niemczech w Polsce, przy czym meldujący urzędnik propagandy powiększył o jedno zero liczbę 30 tysięcy (!) rzekomo zamordowanych; pod wrażeniem tego meldunku Hitler dostaje „napadu szału” i wzywa Keitla. Krausnick podaje świadectwa, że „dziki krzyk”, jaki istotnie słyszano, wydał Hitler, gniewnie odrzucając sugestię dalszych rokowań z Polską; tym samym plotka czy legenda nie będzie nadal trapiła historyków.

Taktyką, w podobnie jednostajny sposób stosowaną przez Hitlera, zarówno w kryzysie monachijskim, jak w konflikcie z Polską było usiłowanie izolowania ofiary: Czechosłowacja

miała być w 1938 pozbawiona pomocy, a nawet dyplomatycznego poparcia anglo-francuskiego; i tak samo, w sierpniu 1939, miała być wbity klin między Polskę a jej sojusznika brytyjskiego; Francja w oczach Hitlera już się w tej chwili nie liczyła.

Wszystko to leżało w naturze rzeczy i odpowiadało założeniom hitlerowskiej polityki. To co jest mniej znane i zasługuje na dalsze rozpracowanie, to stanowisko polityki brytyjskiej. Krausnick zestawia dotychczas istniejące dane, zaś w *Well-geschichte in Dokumenten* znajdujemy odnośne wyciągi ze źródeł. Wynika z nich niezbicie nie tylko działalność niektórych agentów rządu brytyjskiego, próbujących aż do połowy sierpnia 1939 ułożyć porozumienie z Trzecią Rzeszą, ale także chwytne i składające się do takiego wyjścia stanowisko premiera Chamberlaina. Chodziło tu także o coś w rodzaju „generalnego porozumienia”, i ni mniej ni więcej, tylko o podział światowych obszarów wpływu, przy czym Niemcy miały otrzymać uznanie ich przewagi w Europie wschodniej i południowo-wschodniej, oraz pożyczkę w wysokości półczwarta, czy nawet półpięta miliarda marek. Nie tylko więc oburzenie wywołane najazdem Pragi nagle wygasło, ale wracała w pełni atmosfera monachijskich handlowań narodami. Cóż bowiem miało pozostać z oświadczeń niedopuszczenia do dalszej ekspansji, z gwarancji udzielonych Polsce i innym państwom tamtego rejonu? — wystarczało tylko wyrzeczenie się przez Niemcy bezpośredniej agresji i użycia siły, a wówczas wszystkie zobowiązania przyjęte na siebie przez Wielką Brytanię uznane by zostały „ipso facto za niedziałające (inoperative)”. Wyrażano przy tym ze strony angielskiej nadzieję, że Hitler „wycofa się na pozycję żądań wykonalnych” dla uzyskania „powszechnego pokojowego układu”.

Taki układ, sprzedający dopiero co uzyskanych sojuszników, był dość już daleko posunięty w swym stadium przygotowawczym, gdy nagle Hitler, uzyskawszy 12 sierpnia obietnicę sowiecką, brutalnie zerwał wszelkie snute dotąd nici. Nie Anglia więc, przez wierność dla zaciągniętych zobowiązań, lecz Niemcy przez odrzucenie „umiarkowanych” zysków spowodowały ostateczne zerwanie. „Cynicznie przedsięwzięte rozpętanie wojny” było w pełni dziełem Hitlera w obliczu dośmiertnego uporu osaczonyj Polski i niepewnych wahań jej sprzymierzeńców. W przededniu rzucenia się w otchłań, 31 sierpnia, Hitler wyraził swą „niezachwianą pewność, że Anglia i Francja nigdy nie pomaszerują: w najgorszym zaś razie będą udawać jak gdyby miały prowadzić wojnę, aż do czasu gdy polski sojusznik zostanie faktycznie usunięty...”

I w gruncie rzeczy, na razie przynajmniej, Hitler tak bardzo się nie pomylił.

Michał SOKOLNICKI

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

- KRIDL (Manfred). *A survey of Polish Literature and Culture*. Str. 525. (Slavistic Printings and Reprintings, nakł. Cornelis H. van Schooneveld, Leiden University, T. IX: Wyd. Mouton and Co., S. Gravenhage, 1956. Tłum. z polskiego Olga Scherer-Virski).
- URSYN (Józef Maria). *Toricola*. Str. 213. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Tom 3 „Książki dla Wszystkich”, Londyn, 1956, cena 12 sh.).
- DEWHURST (Claude H.). *Kontakt bezpośredni. Z przedmową gen. Władysława Andersa*. Str. 230. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Tom 4 „Książki dla Wszystkich”, Londyn, 1956, cena 12 sh.).
- ROMAŃSKI (Andrzej C.). *Więźniowie Nocy*. Str. 286. (Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Tom V „Biblioteki Autorów Polskich”, Londyn, 1956, cena 16/6).
- CZUCHNOWSKI (Marian). *Pierścień i zamiec*. Str. 245. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Tom XXV Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1956, cena 15 sh.).
- BRONARSKI (Alfons). *Adam Mickiewicz i jego stosunek do Szwajcarii*. Str. 22. (Wyd. Stowarzyszenie Polaków w Genewie „Polonia”, Genewa 1956, cena 1 fr. szw.).
- TROYAT (Henri). *Sainte Russie. Souvenirs et reflexions*. Pp. 272. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 750).
- PICHON (Jean-Charles). *L'autobiographie*. Pp. 375. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 750).

GARNIER (Christine). *Elsa de Berlin*. Roman. Pp. 255. (Ed. Grasset, Paris 1956, fr. 585).

HISTORIA

- KOT (Stanisław). *Szymon Budny*. Str. 118. (Wyd. Hermann Boehlaus Nachf., Graz-Koeln, 1956).
- KOT (Stanisław). *Nieznanego poeta Polski XVI wieku*. Str. 113-150. (Odbitka z Zeitschrift fuer slavische Philologie. Tom XXV, Zeszyt I, 1956).

DOKUMENTY CHWILI

- PANUFNIK (Scarlett). *Out of the City of Fear*. Str. 250. (Wyd. Hodder and Stoughton, Londyn, 1956, cena 16 sh.).
- Poznan go estuve alli!* Str. 32. (Wyd. „Libreria Polaca, Buenos Aires, 1956. Cena 3 peso).

RELIGIA

- JASIŃSKI (Walery J. Ks. dr). *Konstytucja Apostolska Piusa XII „Exsul Familia”. Jej treść i znaczenie dla Polonii Świata*. Str. 12. (Nakł. Seminarium Duchownego im. Śś. Cyryla i Metodego w Orchard Lake, Michigan, USA. Przedruk z „Sodalisa”, czerwiec, 1956).
- JANUS (Józef, ks. T.J.). *Wielki pasterz na wschodnich rubieżach*. Wydanie czwarte. Str. 86. (Wyd. Melbourne, 1956).

WYD. LITERACKIE

- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Książka o Sycylii*. Str. 209. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków (1956?) — brak daty ukończenia druku).

- WIKTOR (Jan). *Pieniny i ziemia sądecka*. Str. 537 (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956, cena zł. 30).
- SOLSKI (Ludwik). *Wspomnienia*. Na podstawie rozmów napisał Alfred Woycicki. Tom I.: 1855-1893, Str. 272. Cena zł. 17; Tom II.: 1893-1954. Str. 561. Cena zł. 27. (Wyd. Literackie, Kraków, T. I. — r. 1955; Tom II — r. 1956).
- PROMIŃSKI (Marian). *Salamandra*. Nowele. Str. 259. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 7.70).
- HOLUJ (Tadeusz). *Jutrzenka i inne opowiadania*. Str. 308. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, zł. 11).
- RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Poemat otwarty*. Poezje. Str. 67. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 3.20).
- RUDNICKI (Adolf). *Niebieskie kartki*. Ślepe lustro tych lat. Rysunki Adama Marczyńskiego. Str. 297. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, c. zł. 20).
- SZANIAWSKI (Jerzy). *Profesor Tulka i inne opowiadania*. Str. 272. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 13).
- DROZDOWSKI (Bohdan). *Jest takie drzewo*. Wiersze. Str. 94. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 5.60).
- SAMOZWANIEC (Magdalena). *Maria i Magdalena*. Ilustr. Antoni Uniechowski. Str. 510. (Nakł. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956, cena zł. 25).
- OSSOLINEUM**
- LESSING (Gotthold Ephraim). *Dramaturgia hamburska*. Wybór. Przełożyła i opracowała Olga Dobijanka. (Tom I. cyklu „Teksty źródłowe do historii dramatu i teatru” pod red. Grzegorza Sinka. Państwowy Instytut Sztuki). Str. 282. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1956, cena zł. 24).
- KORZENIEWSKA (Ewa). *O Marii Dąbrowskiej i inne szkice*. (Tom XXX cyklu Studia Historyczno-literackie pod red. Jana Kotta). Str. 179. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław 1956, cena zł. 20).
- KIELSKI (Bolesław). *Język francuski a polski*. Przyczynek do typologii języków. Str. 27. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich w Wrocławiu, 1956, cena zł. 2.60).
- WALLIS (Mieczysław). *Dzieje zwierciadła i jego rola w różnych dziedzinach kultury*. (Tom Nr 20 Łódzkiego Twa Naukowego). Str. 122 plus 40 stron ilustracji. (Wyd. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956, cena zł. 14).
- Polska bibliografia literacka za rok 1947*. Opr. Zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN, pod kierunkiem prof. dra St. Vrtel-Wierczyńskiego. Str. 532. (Wyd. Polska Akademia Nauk, Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956).

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

- DILIS (Jerzy mgr inż.). *Sztukatorstwo*. Część I. Str. 223, cena zł. 8.40; Cz. II. str. 231, cena 8.70. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956).
- WÓJCIK (Marian). *Ćwiczenia i pokazy z chemii organicznej*. Str. 47. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 2.70).
- Historia dla Klasy I Techników*. Opr. J. Gierowski i inni. Str. 328. (Wyd. Państwowe Wydawnictwo Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 12.50).
- Historia dla Klasy II Techników*. Opr. Wł. Bortnowski i inni. Str. 348. (Wyd. Państwowe Zakłady Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 12.50).

Listy do Redakcji

Sutton Coldfield, 15. 10. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule „Gospodarka Narodowa” („Kultura” Nr 107), pisząc o akcji przeciw Związkowi Nauczycielstwa Polskiego” (str. 89) zapomniał widocznie Janusz Negryński, że zasadniczym powodem tej akcji była działalność prezesa tego Związku, osławionej dziś Wandy Wasilewskiej, i jej niedwuznaczna propaganda komunistyczna na łamach wydawanego przez ten Związek czasopisma dla młodzieży szkolnej. A że nie był to tylko wymysł „OZONu i departamentu bezpieczeństwa M.S. Wewnętrznych”, świadczy o tym najlepiej artykuł tejże Wandy Wasilewskiej, ogłoszony na łamach sowieckiego czasopisma „Ogoniok” w 1940 roku, w którym ona sama wyraźnie stwierdza, że jedynym celem jej działalności na terenie Związku Nauczycielstwa Polskiego była propaganda komunizmu i dążenie do zaostrożenia stosunków między nauczycielstwem a władzami państwowymi, aby w ten sposób wytworzony ferment wykorzystać dla szerzenia komunizmu w Polsce.

Na stronie 93 pisze autor, że sprzedaliśmy Anglii działa przeciwlotnicze, choć „jak wiadomo obrona przeciwlotnicza w kraju była słaba” gdyż... nie mieliśmy do tych dział amunicji, przy czym opowiada on przy tej okazji nie wiadomo gdzie zasłyszana bajeczkę, jakoby powodem tej sprzedaży było, że w braku amunicji Boforsa zakupiliśmy amunicję Hotchkissa, która do naszych dział nie pasowała.

Cale to opowiadanie po prostu nie trzyma się kupy. Nie trzeba być wielkim fachowcem, aby wiedzieć, że amunicja działa A, nawet tego samego kalibru, z reguły nie pasuje do działa B (chyba że tak go umyślnie skonstruowano). Trzeba więc być kompletnym analfabetą aby kupować amunicję z jednego działa do działa innego. A nasi inżynierowie uzbrojenia na pewno nie byli analfabetami, ale fachowcami pełną gębą. Do tego działa przeciwlotnicze, jakie sprzedaliśmy Anglii, były kalibru 40 mm., a nie 8,8 centymetra, jak to opowiada J. Negryński. Dalej działa tego kalibru wyrabiała nie Francja (wtedy zresztą nazywałyby się one 88 mm.), ale Niemcy. Francja wyrabiała działa przeciwlotnicze 90 mm. i do tego nie Hotchkiss, ale Schneider. Dział kalibru 40 mm. Francja w ogóle nie wyrabiała. Jak więc moglibyśmy byli zakupić u Hotchkissa amunicję, której on w ogóle nie wyrabiał, musi pozostać tajemnicą autora.

Nie odpowiada również prawdziwie twierdzenie, jakoby Bofors zerwał z nami umowę. Wprost przeciwnie, stosunki nasze z Boforssem do wybuchu wojny były doskonałe. Jest również wyrazem całkowitej nieznajomości faktycznego stanu rzeczy, gdy autor twierdzi, jakobyśmy dla naszych działek liczyli na dostawę amunicji ze Szwecji. Było to po prostu niemożliwe. Bofors, firma obliczona na produkcję modeli, nie mogła prowadzić masowej produkcji ani dział, ani tym bardziej amunicji. Przeciż właśnie dlatego, gdy Anglia zwróciła się do niej o kupno dział przeciwlotniczych 40 mm., Bofors skierował ją do nas. Wreszcie Polska już w 1937 roku produkowała amunicję do dział 40 mm.

Trudno więc chyba o więcej bałamuctw w tak krótkim ustępie. Jeśli więc wszystkie informacje autora są równie ściśle jak ta, wartość informacyjna jego artykułu jest zaiste niewielka.

Odnośnie pytania, dlaczego Polska, sama nie mając dostatecznej ilości dział przeciwlotniczych, sprzedawała je Anglii, odpowiadałem już niejednokrotnie, ostatnio na łamach „Bellony” (rok 1955, zeszyt 2). Możliwości produkcyjne naszych wytwórni uzbrojenia, tak pod względem personelu fachowego, jak i urządzeń technicznych, były wielokrotnie większe, w przewidywaniu produkcji wojennej, niż nasza faktyczna produkcja pokojowa. Jeśli więc nie produkowaliśmy więcej dział przeciwlotniczych, to bynajmniej nie dlatego, jakobyśmy nie mieli ich gdzie lub też czym produkować, ale po prostu dlatego, że produkcja sprzętu wojennego (co chyba ekonomista powinien rozumieć) kosztuje i to kosztuje dużo. A my, niestety, nawet przy jak najbardziej wyżyłowanym budżecie, nie mieliśmy nigdy dość pieniędzy. Jeśli więc chcieliśmy produkować więcej dział, trzeba było te brakujące pieniądze skądś dostać. A że o pożyczkę na produkcję sprzętu w kraju było bardzo trudno, pozostała tylko jedna droga — eksport. A jak człowiek, który pisywał do „Gospodarki Narodowej” wiedzieć powinien, eksportuje się nie to, co się eksportować chce, ale to, na co jest zapotrzebowanie. Niestety więc potrzebne nam pieniądze na zwiększenie produkcji broni własnej musieliśmy uzyskiwać nie przez eksport żyta, węgla, czy też parowozów, bo na nie nie było nabywców, ale przez eksport tego, na co zawsze byli odbiorcy, to jest broni.

W rezultacie więc armaty przeciwlotnicze, jakie sprzedaliśmy Anglii, były armatami wyprodukowanymi *ponad* tę ilość, jaką mogliśmy produkować z naszych środków budżetowych, a uzyskane za nie od Anglii pieniądze (i to w postaci dewiz tak koniecznych dla zakupów surowców, których w kraju nie mieliśmy, a bez których broni i amunicji produkować nie można) pozwalały nam produkować *więcej* dział przeciwlotniczych i innego sprzętu uzbrojenia, niż gdybyśmy tych dział nie byli sprzedali.

W rezultacie więc eksport broni zagranicę nie tylko że nie uszczuplał własnego zapasu sprzętu uzbrojenia, ale na odwrót, go *powiększał*.

I tak samo myśleli i postępowali i inni, znacznie od nas bogatsi. Do ostatnich niemal chwil przed wojną trwała zaciekle walka konkurencyjna o rynki dla wywozu sprzętu uzbrojenia między nami, a Francją (Schneider i Hotchkiss), Anglią (Vickers), Belgią (Fabrique Nationale) i Czechami (Skoda). Zapewne, państwa tak bogate, jak Francja i Anglia mogły sobie pozwolić na ten luksus, że na krótki czas przed wojną uruchomiły swój przemysł wojenny na pełną skalę mobilizacyjną, czerpiąc ze swych dużych zapasów finansowych. Polska niestety tych zapasów nie posiadała, o uruchomieniu więc produkcji wojennej własnymi siłami na pełną skalę nie mogliśmy myśleć. I to również dla współpracownika „Gospodarki Narodowej” powinno być jasne.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Tadeusz FELSZTYN

Glasgow, dnia 6 października 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

We wrześniowej „Kulturze” p. J. Mieroszewski sformułował (str. 9-11) zasady zespołu „Kultury”, dotyczące współpracy pisarzy emigracyjnych z firmami wydawniczymi krajowymi. Zasady pomijają wydawców emigracyjnych.

Proponuję, aby wydawcy (wystarczy na początek jedna firma) ustalili, że z chwilą rozpoczęcia druku książki przedstawiają przedstawicielowi krajowemu egzemplarz korektowy albo po wydrukowaniu z zatrzymaniem składu egzemplarz normalny i zapytują, czy firmy krajowe podejmą się rozsprzedaż książki w Polsce w ustalonej ilości egzemplarzy i po ustalonej cenie, z tym, że całkowity dochód ze sprzedaży zostanie przeznaczony na przykład na odbudowę Biblioteki Narodowej. Po uzyskaniu zgody należałoby odpowiedniej firmie krajowej przekazać odpowiednią ilość egzemplarzy *za darmo*, zaopatrząc każdy egzemplarz pieczętą DAR WYDAWNICZEJ FIRMY EMIGRACYJNEJ, PRZEKAZANY DO ROZPRZEDAŻY W POLSCE — CAŁKOWITY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZONY JEST NA ODBUDOWĘ BIBLIOTEKI NARODOWEJ.

Wszelkie wyciąganie dewiz z kraju przez wydawców, księgarzy czy pisarzy należałoby stanowczo potępić.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Stanisław WESTFAL

Castell Mynach, 1 października 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o łaskawe udzielenie mi miejsca na łamach „Kultury” dla za-notowania następujących uwag, przeznaczonych dla tych z moich czytelników, których to może obchodzić.

Korzystanie od czasu do czasu z gościnności łamów „Kultury” nie upoważnia mnie do uważania się za członka „Zespołu Kultury”. Postanowienia, oświadczenia itd. tego Zespołu zapadają bez mojego udziału i nie uważam się za odpowiedzialnego za nie czy też nimi związanego. W szczególności *nie gładzam* się ze stanowiskiem czy propozycją „Zespołu Kultury” wyrażonym w artykule „Dialog” p. Juliusza Mieroszewskiego (Kultura, Nr 9/107).

W moim przekonaniu:

a) Pisarz który godzi się na drukowanie swych prac w wydawnictwie reżymu komunistycznego — a inne wydawnictwa w Polsce obecnie nie istnieją — eo ipso przestaje być pisarzem emigracyjnym, bez względu na to czy i w jakiej formie miałby pobrać honorarium autorskie;

b) Człowiek który odbywa wycieczkę do Kraju, jeżeli bierze paszport konsulatowi komunistycznego, to, rzecz jasna, przestaje być emigrantem politycznym; jeżeli natomiast ma on obywatelstwo obce, to, rzecz jasna, występuje jako cudzoziemiec — jedynie polskiego pochodzenia — i nie może mieć pretensji aby go nadal uważano za emigranta politycznego, a tym mniej za emigracji przedstawiciela czy „przywódcę” jakiegokolwiek formatu.

Co do rozmów zaś dziennikarskich pozwalam sobie przypomnieć uchwałę Warszawskiego Związku Dziennikarzy, niegdyś rygorystycznie przestrzegana: dziennikarz nigdy i nigdzie nie akceptuje łapówki, choćby w formie poczęstunku. Jakiegokolwiek posiłki czy napoje dziennikarz przyjmować się godzi tylko i wyłącznie od osób, które uważać może w pełni za swych osobistych przyjaciół, albo też za przedstawicieli swych pracodawców. Zasada ta i dziś może być doskonałym drogowskazem postępowania dla dziennikarza.

Proszę o przyjęcie wyrazów poważania.

Jerzy HORZELSKI

New York, 18 września 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Juliusz Mieroszewski w artykule pt. „Dialog” we wrześniowym numerze „Kultury” napisał:

„O demokracji powiedziano setki rzeczy mądrych i wzniosłych. Ale dopiero na Zachodzie przyswoiliśmy sobie przekonanie, że istnieje tylko jedna prawdziwa wolność to jest wolność demokratyczna. Wszystko inne nie jest wolnością choćby się nią mieniło. Bo tylko wolność demokratyczna jest wolnością dla wszystkich. ... Polska rządzona przez oenerowskiego Fuehrera mogłaby być państwem niepodległym i suwerennym, ale w tej Polsce nie byłoby wolności ani dla mnie ani dla setek tysięcy moich rodaków”.

To wszystko jest trafne i słuszne i dlatego ze zdziwieniem przeczytałem konkluzję tego artykułu, z której się dowiedziałem, że wedle opinii Zespołu „Kultury”, którego stanowiska artykuł p. Mieroszewskiego jest wyrazem — pewni ludzie z emigracji podejmujący decyzję podróży do Polski albo ją odbywający, względnie zawierający umowy w sprawie druku swych książek w Polsce itd. — mają od teraz zamknięty wstęp na łamy „Kultury”. P. Mieroszewski instynktownie odczuwa niewłaściwość tego zarządzenia, kiedy pisze: „jesteśmy daleko od organizowania terroru, ale sprawę oceniamy jako tak ważną, że postanowiliśmy ...” I tu właśnie ogłoszony został edykt zamykający dostęp do łam „Kultury”.

Nie mieszam się do zarządzeń Zespołu „Kultury” jeśli uważa ona je za stosowne, ale chce zwrócić uwagę, że nie można równocześnie mieć pretensyj do jakiegoś oenerowskiego Fuehrera w przyszłości czy w ogóle do jakichkolwiek Fuehrerów, jeżeli również uznając pewne motywy za „sprawę tak ważną” zamykają czasem łamy pism, a czasem także ludzi za ich poglądy, przekonania i decyzje. P. Mieroszewski ogłaszając edykt zamykający łamy pisma i zapowiadający ewentualność dalszego „uszywnienia” stanowiska „Kultury” nie wydaje się być pojętym uczniem „prawdziwej wolności demokratycznej”.

W artykule natomiast p. K.A. Jeleńskiego pt. „Od endeków do stalinistów” czytam co następuje:

„Muszą oni (dziennikarze i organy prasowe domagające się szeroko pojętej liberalizacji systemu w Polsce) zdawać sobie sprawę, że ta liberalizacja zagrożona jest przez stalinistów, przez kacyków zarówno przez wszystkich administratorów na uprzywilejowanych stanowiskach — jak przez odwieczną polską kołtunerię. Czują oni, że właśnie na tym odcinku — żydowskim — może powstać alians między stalinistami a kołtunerią”.

Analiza zagadnienia antysemityzmu w dzisiejszej Polsce przeprowadzona przez p. Jeleńskiego wydaje się trafna, jak słuszna jest również ocena stanowiska stalinistów, jeśli idzie o ich pogląd na stosunek obecnej Polski do Rosji. Ich zdaniem stosunek ten powinien wyrażać się w kontynuowaniu ścisłej zależności Polski od Rosji nie tylko w dziedzinie polityki zagranicznej, ale i w sprawach wewnętrznych Polski.

Ale na tym właśnie tle wywód p. Jeleńskiego i jego sugestie, jakoby kołtuneria polska, która w Polsce na pewno istnieje, jak istniała dawniej, miała wejść w „alians” ze stalinistami w związku ze wzajemnymi skłonnościami do antysemityzmu — wydaje się równie niesłuszny, jak szkodliwy. Kołtuneria polska, reprezentowana przez antysemitów w Polsce, dała już raz dowód swego stosunku do ogólnych zagadnień pomimo swoich antyżydow-

skich namiętności. Było to zarówno w okresie przed wojną, jak i w czasie wojny, kiedy szło o stosunek do naczelnego antysemity świata, bo do Hitlera. Gdyby antysemici polscy kierowali się w swojej postawie stosunkiem do Żydów i gdyby ich poglądy regulował antysemityzm, w Polsce przed i w czasie wojny powinien być istnieć zupełnie silny obóz prohitlerowski przeciwny walce z Hitlerem. Wiemy, że nie tylko takiego obozu nie było, ale antysemici z szeregów „kołtunierii” polskiej należeli do najbardziej zaangażowanych uczestników walki z Hitlerem a ich wielkie ofiary poniesione w tej walce stanowią dostateczny dowód ich stanowiska. Incydent z Brygadą Świętokrzyską nie zmienia tej oceny, tym więcej, że nastąpił on w związku nie ze sprawą żydowską, ale ze sprawą sowiecką przy końcu wojny.

Nie ma żadnych powodów wątpić w to, że jeśli w dzisiejszej Polsce stanie czy może już stanął problem wyboru między antysemityzmem a rozluźnieniem stosunków i zależności polskiej od Rosji — także „kołtuneria” polska nie będzie regulowała swego stanowiska z punktu widzenia antysemityzmu stalinistów, ale rozstrzygnie swoją postawę na rzecz nie tych, którzy są przeciw Żydom, ale przeciw Rosji czy też przeciw nieograniczonej służebności polskiej w stosunku do Rosji.

Łączę wyrazy poważania

Klaudiusz HRABYK

Jerozolima, 28. 8. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pisarze polscy, nawet duchowni, rzadko kiedy cytują Stary Zakon. Nie spodziewanie znajduję dwa cytaty wyrwane z kontekstu i niewłaściwie interpretowane. Pozwól mi, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, sprostować i związać te cytaty z ogółem ducha Pisma Świętego, który jest obcy uczonemu mało czytany i niebiegłym w Piśmie Świętym. Polskie tłumaczenie Biblii jest jednym z najgorszych, bo nie z oryginału, i nie nadaje się do cytatów poza amboną dla pospółstwa. Trzeba cytować Wulgatę. Z cytatu w numerze 105-106 na str. 22 (Exod. XXX. 20-21, mylnie, bo ma być XXI. 20-21) wyczytuje się, że i dla Pisma Św. niewolnik jest pieniądzem pana swego jak u pogan. Parę linii dalej (XXI. 26-27): *Si percussit quisquam oculum serui aut ancillae, et luscus eos fecerit, dimittet eos liberos pro oculo quem eruit. Dentem quoque si excussit seruo vel ancillae suae, similiter dimittet eos liberos.* Niewolnik wedle Biblii jest człowiekiem jak pan jego. Zabójstwo niewolnika jest karane śmiercią. Kary więzienia Biblia nie zna, za wybicie zęba musiał go pan uwolnić. Czy pan polski sto lat temu uwalniał chłopca, którego nabił po mordzie i ząb mu wybił?

Pan Andrzej Vincenz odkrył w Piśmie Świętym „tabu” podobne do prymitywnego polinezyjskiego wedle I Paralip. XIII. 9-10. Trzeba cytować II. Sam. VI. 6-7, bo to starsze źródło. Kto przeczytał całego Samuela pamięta, że trzeba się odnosić do największym uszanowaniem do Arki, ale ona chyba nie jest „tabu”, można się jej dotykać (I. Sam. VI. 1-21, II. Sam. VI. 11) w razie potrzeby: ... *dixerantque maiores natu de Israel... Afferamus ad nos de Silo arcam foederis Domini et veniat in medium nostri... Misit ergo populus in Silo et tulerunt inde arcam foederis Domini* (I Sam. IV. 3-4). Aby cytować z Biblii trzeba być „bibelfest”.

Z poważaniem

A.J. BRAWER

La Combe de Lancey, 9. 9. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Przesyłam w załączeniu z prośbą o łaskawe umieszczenie przesłany na me ręce list członka redakcji „Encyclopaedia Hebraica” dra Brawera. Jego informacje dotyczące języka Galicji są tym cenniejsze, że dr Brawer wyjechał do Palestyny przed pierwszą wojną światową. Co do mnie, chętnie przyznaję, że nie jestem znawcą Biblii, ale wydaję mi się, że mam rację jeśli chodzi o tabu związane z Arką. Cytuję przede wszystkim tekst II, Sam. VI. 6-7, na który powołuje się dr Brawer (cytuje według tekstu Authorised Version, który jest bodaj lepszy od Wulgaty): And when they came to Nachon's threshingfloor, Uzzah put forth his hand to the ark of God, and took hold of it; for the oxen shooed it. And the anger of the LORD was kindled against Uzzah; and God smote him there for his error; and there he died by the ark of God. Wszystkie inne teksty cytowane przez dr Brawera nie wspominają *expressis verbis*, by ktokolwiek Arki dotykał. Arkę przywożą, przewożą lub przenoszą, ale zapewne zawsze na wozie, tak jak w wypadku cytowanym powyżej, albo na jakichś noszach. Nie miałem zamiaru porównywać dawnych Żydów do współczesnych Polinezyjczyków, ale nie byłoby w tym nawiasem mówiąc nic ujmującego, bo Polinezyjczycy są jednym z ostatnich ludów cywilizowanych na ziemi, porównywano ich nieraz do dawnych Hellenów.

Napisałem, że w chwili gdy Galicji groziła ofensywa rosyjska w 1915, Żydzi woleli nie wymawiać słowa Rosjanin czy Moskał, a mówili zamiast tego (gdy mówili po niemiecku) *diejenigen*. Było to więc typowe tabu, „zabobonne” unikanie właściwej nazwy ze strachu. Przewidziska należą do innej kategorii, spowodowane są nie strachem, lecz pogardą.

Jeśli chodzi o etymologię *misia*, to nie mam nawet zaszczytu być jej autorem. Znaleźć ją można w Słowniku etymologicznym Bruecknera pod słowem niedźwiedz (str. 360). Etymologie Bruecknera nie zawsze są pewne, ale ta wydaje jeszcze najbardziej prawdopodobna. Nie ma żadnych powodów, by uważać *misia* za słowo pochodzące z X wieku; mogli go tak ochrzcić gdzieś w XIV lub XV wieku, kiedy imiona chrześcijańskie były już w Polsce rozpowszechnione. Św. Michał jest czczony również w Kościele Zachodnim, a zresztą nie wydaje mi się, by słowo *miś* było tylko zachodniopolskie. Ja je znam z dzieciństwa (1930-35), z Galicji Wschodniej, była nawet książka „Bohaterski miś”, a że nie było to słowo świeżo importowane, dowodzi ukraińskie *myś*. Więc może ewentualnie pochodzić z ukraińskiego, jak to przypuszcza p. Rojek. Łączenie *misia* z *miechem* jest wykluczone ze względów fonetycznych.

Zechce Pan przyjąć, Wielce Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej VINCENZ

Winnipeg, 21. 9. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł A. Kozłowskiego („Kultura” Nr 6/104) oraz list L. Kruszelnickiego (Nr 9/107) o gwarze lwowskiej świadczą dodatnio o obu autorach i o ich trosce o losy lwowskiego „balaku”. Obaj boleją nad tym, że gwara ta nie została dotychczas utrwalona „i zwolna oddała się w krainę zapomnienia” (Kruszelnicki).

Chciałbym zwrócić uwagę szanownych Panów na to, że sprawa nie wygląda tak zupełnie tragicznie. W czasie mych studiów we Lwowie miałem nieprzyjemność „siedzieć” kilka razy w więzieniu, dzięki szczególnej sympatii „organów bezpieczeństwa” do ukraińskiej młodzieży akademickiej. Rozmieszczano nas „politycznych” razem z „niepolitycznymi”, przede wszystkim z lwowskimi „frajerami”, „bachurami”, „batiarami” itd. Właśnie „na Brygidkach” powstał u mnie plan opracowania gwary lwowskiej naukowo. Plan ten został urzeczywistniony w roku 1943 w formie pracy: „Lemberger ukrainische Stadtmundart” (Leipzig, Otto Harrassowitz), o której senior slawistyki polskiej, prof. T. Lehr-Splawiński pisał:

„Opis gwary ukraińskiej jednego z przedmieść lwowskich z naciskiem na stronie fonetycznej w oparciu o zdjęcia gramofonowe. Pożyteczne uwagi historyczno-językowe i dialektologiczne. Praca metodycznie poprawna. W dodatku kilka tekstów fonetycznie zapisanych z transkrypcją literacką i przekładem niemieckim. Jeden tekst w polskiej gwarze Lwowa. Słowniczek.” — (Rocznik slawistyczny, t. 16, Kraków 1950, str. 407).

We wspomnianym słowniczku są zebrane „lwowianizmy” włącznie z „cmağa”, „balakiem”, „harą” itp. Jedynie „chabala” w nim teraz nie znalazłem, za co jako też za etymologię tego wyrazu jestem wdzięczny p. Kruszelnickiemu.

Z poważaniem

Jar. RUDNYČKYJ,
Dept. of Slavic Studies,
University of Manitoba (Canada).

Londyn, 26. 9. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z uwagami p. Adama Czerniawskiego o „Ostatnich utworach” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w 9-y m numerze „Kultury” pośpieszam stwierdzić, że poufne notatki poetki nie są w moim posiadaniu i ich ogłoszenie nie zależy od mojej woli. W zamknięciu do „Ostatnich utworów” zawarłem wrażenie z lektury tych notatników w szczególnych okolicznościach, w kilka dni po śmierci ich autorki. Osobiście jestem zwolennikiem ogłaszania materiałów tego rodzaju w jak najszerszym zakresie.

Łączę wyrazy szacunku

Tymon TERLECKI

Drogi Panie Redaktorze,

W cytowanym przeze mnie (za Przybosiem) fragmencie „Wielkiej Improwizacji” chochlik drukarski zmienił liczbę pojedynczą na mnogą. Ma być oczywiście:

.....Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję,
Ich ruch myślą odgaduję...

a nie, lubują, czują, odgadują...

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Marian PANKOWSKI

OBRAZY

JUL. KOSSAKA, J. FAŁATA,
L. WYCZÓLKOWSKIEGO, ST. WYSPIAŃSKIEGO,
ST. NOAKOWSKIEGO.

Z prywatnych rąk po okazyjnej cenie.

Mrs. Olga Czerwińska,
82, East Seventh Str.
New York 3, N.Y. USA.



MASZYNY DO PISANIA Z POLSKIMI
CZCIONKAMI

NOWOCZESNE POWIELACZE
DYKTAFONY
KALKULATORY

ADRESARKI — KASY SKLEPOWE
MEBLE BIUROWE itp.

oraz MASZYNY DO LICZENIA.

DOGODNE SPŁATY

WYSYŁKA MASZYN DO POLSKI

T. KONDYCKI 9, Pelham St., budynek kol. pod. South
Kensington, London SW7. tel. KEN 6032



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4^e Trimestre 1956.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S. & O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guirã 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H. E. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzstr. 7/l.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Källskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dzienowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; F. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XIV

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIMUM DES INTELLECTUELS*
Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

*Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu
oddalając się od ideologii?*

*Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie
ideowe?*

*Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji
w różnych krajach?*

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)

Nowość

TOM XV - Biblioteki "Kultury"

GRAHAM GREENE

MOC I CHWAŁA

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współzycia marksizmu z katolicyzmem.

Cena egz. 650 frs (13 sh., 2 dol.)